

Craig Shaw Gardner

BATMAN

Przełożyła Barbara Hollender

Data wydania oryginalnego: 1989

Data wydania polskiego: 1990

PROLOG

Była noc, jaka w mieście zdarza się często - gorąca, parna, głośna. Dźwięki muzyki mieszały się z klaksonami samochodów, śmiechami, czasem z krzykiem. Ulice tętniły życiem, bo gdy słońce zaszło, wszystkie nocne szumowiny powypęłzały ze swych nor jak karmiące się w ciemnościach karaluchy.

Co nie znaczy, że na ulicach było ciemno. Nieliczne latarnie oświetlały handlarzy narkotyków spieszących do dziwek, panienki naśmiewające się z żółtodzioba oskubywanego w trzy karty, narkomanów i lekomanów pokulonych w różnych kątach. Ciągle jeszcze było jasno przy salonach tatuażu, w teatrzykach seksu i w zrujnowanych barach, gdzie brudne okna połyskiwały neonowymi imitacjami dziennego światła. A nad wszystkim unosiła się z przyzwalającym uśmiechem Luna, księżyc w pełni, stary symbol szaleństwa.

Witajcie w Gotham!

Takie było to miasto nocą, pełne zagubionych dusz i ulicznych śmieci, które gdzie indziej chowa się w cieniu albo zmiata do rynsztoków. Ale Gotham było zbyt duże i wymykało się spod jakiegokolwiek kontroli.

Tutaj handlarze narkotyków i prostytutki, krętacze i narkomani byli najbardziej widoczni. Tutaj cienie i rynsztoki przejmowały władzę.

Tu wszyscy znali reguły gry. Wszyscy tworzyli jedną wielką szczęśliwą rodzinę - jeśli oczywiście nie pochodzili z zewnątrz.

Matka, ojciec i dwunastoletni syn, mały Jimmy, zbyt dobrze ubrani jak na tę okolicę, szli cuchnącą ulicą. Byli prowincjuszami, którzy próbując dostosować się do otoczenia jeszcze bardziej się od niego odróżniali. W rękach trzymali programy teatralne. Właśnie obejrzelik spektakl, lecz pomylili drogę i daleko za sobą zostawili teatralny tłumek.

Grupa nieznanym zlustrowała ich od stóp do głów, uśmiechając się, gdy szybko przeszli obok. Jakiś pijak zatoczył im się pod nogi. Matka wczepiła się w rękaw ojca.

- Na litość boską, Harold, czy nie moglibyśmy złapać taksówki?

Harold spojrział na żonę z rozdrażnieniem, a nawet złością. Skądkolwiek by pochodzili, takie spojrzenie czyniło zeń króla domu.

- Właśnie próbuję... - Podniósł w górę ramiona i wymachując nimi krzyknął: - Taxi!

Taksówka przejechała szybko obok nich, za nią dwie następne. Nikt nie chciał się zatrzymywać w tej okolicy.

Mały Jimmy sięgnął do tylnej kieszeni spodni i wyciągnął mapę.

- Źle idziemy.

Nieznajomi za ich plecami zaczęli chichotać.

- Schowaj to - skarcił go ojciec, usiłując zniżyć i głos, by nie przyciągnąć niczyjej uwagi. - Będziemy; wyglądać jak turyści.

Poprowadził rodzinę w kierunku dwóch policjantów opartych o wóz patrolowy zaparkowany przed całodobowym barem greckim. Policjanci byli zbyt zajęci rozmową i dowcipkowaniem z czternastoletnią prostytutką, aby zwrócić na nich uwagę. prostytutka rozejrzała się i uśmiechnęła do małego Jimmy'ego. Jimmy odesłał jej uśmiech.

Matka gwałtownie pociągnęła go za sobą. Patrzyła na męża z wściekłością. Wyglądało na to, że dojdzie do awantury.

- Nie złapiemy taksówki - przyznał Harold.

- Chodźmy w stronę Siódmej Ulicy.

Kiedy skręcili za róg, mały Jimmy zatrzymał się. Wskazał ręką do tyłu.

- Do Siódmej idzie się tędy!

- Wiem, gdzie jesteśmy - oświadczył ojciec zanurzając się w ciemność.

Na tej ulicy - właściwie zaułku - wszystkie światła dawno wysiadły. Żona i syn poszli za ojcem; szybko minęli opuszczone samochody, oświetlone jedynie blaskiem okrągłego księżyca.

- Hej, panie! - zawołał z mroku jakiś głos. - Dasz pan dolara?

Pod jednym z wraków siedział mężczyzna. Miał dziewiętnaście, może dwadzieścia lat i twarz obsypaną drobnymi bliznami po trądziku. Na jego porwanej podkoszulce można było przeczytać: "Kocham Gotham".

Ojciec ponaglił rodzinę udając, że nie usłyszał wołania.

- Panie! - wrzasnął chłopak, który kochał Gotham. - No co? Jednego dolara! - Zerwał się na nogi i zawołał jeszcze głośniejszym głosem: - Głuchy jesteś? Nie rozumiesz po angielsku?

Rodzina szybko przeszła na drugą stronę ulicy. Facet stał i obserwował ich, kołysząc się w przód i w tył, jakby poruszany przez wiatr, którego nie było. Ojciec ledwo się powstrzymał, by nie obejrzeć się za siebie i sprawdzić, czy są już bezpieczni. Nie zauważył drugiej postaci kryjącej się w mroku, trzymającej w rękach broń. Broń, która brutalnie spadła na jego głowę.

Ojciec upadł. Matka przygarnęła do siebie małego Jimmy'ego. Przyłgnęli do ceglanego muru, zbyt przerażeni, by wydać jakikolwiek dźwięk. Chłopak, co kochał miasto Gotham, przebiegł przez ulicę, by dołączyć do swojego kumpla z pistoletem, który rozpruwał już kieszenie ojca.

Z gardła matki wydobyło się ciche kwilenie. Jeden z bandytów przerwał przeszukiwanie kieszeni i skierował lufę pistoletu prosto w małego Jimmy'ego.

- Wyświadczyć dzieciakowi przysługę, paniusiu - odezwał się łagodnie i rozsądnie. - Nie krzycz.

Zdusiła w sobie krzyk. Łzy zaczęły jej płynąć po policzkach. Mocno przycisnęła do siebie małego Jimmy'ego, jakby tylko syn utrzymywał ją przy zdrowych zmysłach. Mały Jimmy też się nie odezwał. Myślał tylko o lufie pistoletu.

Dwaj przyjaciele znaleźli to, czego szukali. Śmiejąc się odbiegli w ciemność.

Matka wpatrywała się w męża leżącego pośrodku ulicy. Leżał zupełnie nieruchomo. Nie była nawet pewna, czy oddycha.

Nie mogła dłużej wytrzymać.

Zaczęła krzyczeć.

Witajcie w Gotham.

Krzyk odbił się echem w całym zaułku. Zmieszał się z muzyką, śmiechem i klaksonami samochodów w dole ulicy. Uniósł się nad opuszczonymi wrakami samochodów i zmurszałymi murami, by prześliznąć się po wieżach starej Katedry Miejskiej, będącej niegdyś duchowym ośrodkiem wielkiej metropolii, a dziś leżącej w ruinach. Z katedralnych wież patrzyły na miasto kamienne gargulce, wyrzeźbione w ścianach

kościół potwory, które - jak chce tradycja - miały odpędzać złe duchy. Ale gargulce z Gotham tylko obserwowały zło i słuchały krzyków.

Aż do momentu, gdy jeden z nich się poruszył.

Witajcie w Gotham.

Przyjaciele - "Kocham Gotham" i ten z bronią: nazwijmy ich Nick i Eddie - skryli się w bezpiecznym miejscu, na dachu, sześć pięter nad ulicą, aby obejrzeć łup. Nick otworzył portfel i zaczął przeglądać karty kredytowe.

- W porządku, "American Express" - Rzucił kartę Eddiemu. - "Nie wychodź bez niej z domu", co?

Skupił się na liczeniu pieniędzy.

Zerwał się wiatr, na dachu zawirowały drobiny żwiru. Eddie rozejrzał się. Usłyszał hałas podobny do odgłosu, jaki wydaje metal uderzający o metal.

Spojrzał na Nicka.

- Wiejmy, stary. Nie podoba mi się tutaj. Nick roześmiał się.

- Coś ty, masz lęk wysokości?

- Nie wiem. - Eddie nie przestawał się rozglądać, choć wokół były tylko ciemności. -

Po tym, co się przydarzyło Johnny'emu Gobsowi...

Ta uwaga rozwścieczyła Nicka.

- Słuchaj, Johnny'ego Gobsa rozpruli i zrzucili z dachu, nie? Niewielka strata.

Lecz Eddie wiedział, że to nie było takie proste.

- Nie, stary. Słyszałem, że było inaczej.

Na chwilę zamilkł, jakby czegoś nie chciał wypowiedzieć głośno. Ale to musiało zostać powiedziane.

- Słyszałem, że załatwił go nietoperz.

- Nietoperz? - Nick odwrócił się, jakby słowa przyjaciela nie były warte nawet uśmiechu. - Daj spokój.

Eddie potrząsnął głową.

- Pięć pięter prosto w dół. A w zwłokach nie było ani kropli krwi.

- To prawda, cholera - zgodził się Nick. - Wypłynęła na chodnik. - Odwrócił głowę i wpatrzył się w mrok. Tym razem i on usłyszał szmer.

Znów spojrzął na Eddiego.

- Zamknij się - warknął. - I słuchaj. Nie ma żadnego nietoperza.

W Eddiem wszystko się trzęsło.

- Nie trze... trzeba było kie...rować broni na tego dzieciaka, stary. Nie trze... trzeba było...

- Chcesz swoją dolę czy nie? - Teraz Nick już krzyczał. - Zamknij się! Zamknij!

Przerwał, gdy usłyszał nowy hałas; tym razem inny, zbliżał się. Obaj go poznali. Był to odgłos kroków na żwirze.

Odwrócili głowy. Eddie wydał z siebie zduszony, chrapliwy krzyk. Coś ciemniejszego od nocy stało na skraju dachu. Ruszyło w ich stronę. Może był to człowiek. Powoli, majestatycznie rozłożył ramiona. Pod tymi ramionami coś się poruszyło, jakby cień czegoś, czego nie było, jakby obciążone skórą skrzydła. Na klatce piersiowej widać było owalny kształt, który zdawał płonąć własnym światłem. Pośrodku owalu znajdował się rysunek nietoperza.

Nick wyszarpnął pistolet i padł na żwir. Oddał dwa strzały w emblemat z nietoperzem. Był blisko; nie mógł spudłować. Czarna postać cofnęła się, po czym upadła na dach z głuchym i ciężkim stukotem.

- Spływam stąd - szepnął Nick. Odwrócił się, żeby podnieść portfel.

Eddie cicho jęknął; był tak przerażony, że nie mógł krzyczeć. Nick odwrócił się. Człowiek nietoperz wstał i szedł w ich stronę.

Nick wypuścił z palców pieniądze. Pofrunęły z trzepotem, porwane przez nocny podmuch. Musiał się z tego miejsca wydostać! Schylony, na wpół biegł, na wpół pełzał przez dach. Nagle ktoś wyrósł na drodze przed nim, ktoś stał u wylotu zejścia awaryjnego. To był człowiek nietoperz.

Nikt nie mógł Nicka w ten sposób schwytać w pułapkę! Wystrzelił. Raz, potem jeszcze raz i jeszcze. Broń drżała mu w rękach.

Tym razem kule w ogóle niczego nie działały. Nietoperz wolno posuwał się do przodu. Na jego drodze znalazł się Eddie, przyklejony do dachu, niezdolny do zrobienia czegokolwiek z wyjątkiem zmoczenia spodni. Nietoperz jednym czarnym butem uderzył Eddiego w piersi, uniósł w górę i rzucił w kierunku ceglanego komina. Eddie upadł ciężko na dach, nieprzytomny.

Nietoperz nawet się nie zatrzymał. Powoli szedł dalej.

Nick musiał uciekać. Strach poruszał jego nogami. Skoczył, ominął sunący cień i puścił się pędem w stronę zejścia awaryjnego.

Nietoperz podniósł rękę, jakby coś rzucał. Nick upadł do przodu. Nie mógł już ruszać nogami. Były związane razem, owinięte w coś, sznur albo drut. Zaczął krzyczeć. Musiał się stąd wydostać. Miał jeszcze wolne ręce. Czołgał się wzdłuż dachu. Żwir wbijał mu się w łokcie, z ran płynęły dziesiątki cieniutkich strumyczków krwi. Ale Nick nie myślał o bólu. Myślał tylko o nietoperzu.

Dowlókł się do skraju dachu. Nietoperz był tuż za nim. Nie doganiał go, ale też się nie oddalał. Nick nie miał już się dokąd czołgać. Nie miał dokąd uciekać. Była tylko przepaść i nietoperz.

Stracił głowę, był bliski złania się w spodnie jak cukierkodupy Eddie. Nagle przypomniał sobie o pistolecie. Nikt nie mógł go załatwić, kiedy miał broń. Ręce mu się trzęsły, gdy podnosił pistolet, dużo cięższy niż przedtem. Wystrzelił, potem jeszcze raz. Nie mógł już otworzyć oczu, żeby spojrzeć na cel.

Klik. Młoteczek uderzył w pustą komorę.

Klik. Klik. Klik.

Z trzewi Nicka wydobył się jakiś beznadziejny kwik. Poczuł dwie ręce chwytające go za koszulę i unoszące ponad dach.

- Nie zabijaj mnie - wyszeptał. - Nie zabijaj. Otworzył oczy. Nietoperz stał na brzegu dachu i trzymał go w górze, nad czeluścią.

Nietoperz otworzył usta. Jego głos brzmiał chrapliwie i świdrująco; przypominał odgłos pilnika tnącego metal.

- Przekraczasz prawo, szczurze.

Nick spojrział w dół, na maleńkie sylwetki samochodów, sześć pięter niżej. Potem spojrział w twarz nietoperza, ale tam, gdzie powinny być oczy, spostrzegł tylko dwa lusterka, w których przeglądał się jego własny strach.

Próbował zlekceważyć bicie serca w uszach i przeraźliwe uczucie, że jego nogi wierzgają w powietrzu. Jakie to miało znaczenie? I tak czekała go śmierć. Przynajmniej przedtem odetnie się nietoperzowi.

- Przekraczam prawo? - Próbował się roześmiać, ale jego śmiech zabrzmiał jak kaszel.
- Nie jesteś właścicielem nocy.

Nietoperz uśmiechnął się.

- Opowiedz o mnie kumplom. Opowiedz o mnie wszystkim swoim kumplom. - Jego wargi rozchyliły się w uśmiechu, ukazując zęby. - Ja jestem nocą.

Nick krzyknął czując, że nietoperz przesunął uchwyt. Potwór okręcił go i rzucił brutalnie na smołowany, pokryty żwirem dach. Chłopak spojrział w górę i zobaczył, jak nietoperz na wysokości szóstego piętra schodzi z krawędzi budynku, robiąc krok w powietrze.

Co się działo? Nick nie mógł zrozumieć. Chciał zobaczyć, gdzie się podział nietoperz. Podczołgał się do brzegu i spojrział w dół.

Nikogo nie było. Nietoperz zniknął.

Wtedy właśnie Nick zaczął nieprzytomnie krzyczeć.

Witaj w Gotham, smarkaczu.

W nowym Gotham.

Człowiek nietoperz - Batman - to ja.

1.

Komisarz Gordon obserwował tłum. Duża sala Klubu Demokratów Miasta Gotham wypełniona była po brzegi. Na olbrzymim transparencie widniał napis: "Gratulacje! Nowe Gotham! Harvey Dent - prokuratorem okręgowym!"

Na transparencie wypisane były marzenia Gordona. Nowe Gotham? Gordon miał nadzieję, że może Dent coś zmieni. Ale widział już wielu polityków podobnych do Denta - oświeconych idealistów, pełnych entuzjazmu do uzdrawiania tej bestii, która nazywała się Gotham.

Zazwyczaj jednak to bestia zwyciężała swoich reformatorów, nie odwrotnie. Zbyt wielu było tu ludzi, zbyt wiele sprzecznych interesów, zbyt wiele pokus i zbyt wiele polityki. Nawet ręce Gordona nie były tak czyste, jakby on sam sobie tego życzył. A jednak komisarz ciągle tu był, trwał i przy odrobinie szczęścia mógł zrobić trochę dobrego.

Odwrócił głowę, żeby przyjrzeć się stołowi prezydialnemu. Wydawało się, że zasiedli za nim wszyscy najświetlejsi obywatele miasta: Brown, Estevez, O'Neil, Cleveland. A w każdym razie wszyscy powinni się za nim znaleźć. Gordon zauważył, że drugie krzesło od przewodniczącego, zarezerwowane dla Bruce'a Wayne, było puste. Był tym nieco zdziwiony. Nikt nie zapracował tak ciężko jak Wayne na sukces wyborczy Denta.

Mimo że gazety rozpisywały się o "milionerze-playboyu", Bruce Wayne był w rzeczywistości człowiekiem zaangażowanym, na którym można było polegać. Gdyby udało się pozyskać więcej takich "milionerów-playboyów" do pracy na rzecz Gotham, to w każdej chwili można by wywrócić miasto do góry nogami. Wayne'a musiał zatrzymać jakiś ważny powód. Być może, pomyślał Gordon, patrząc z żalem na smutne resztki na swoim talerzu, Wayne nie mógł się już zmusić do kolejnej żylastej pieczeni wołowej.

Gordon spojrzął raz jeszcze w stronę stołu prezydielnego; jego twarz rozjaśnił cień uśmiechu. Podczas wielu lat w służbie społecznej nauczył się przybierać miły wyraz twarzy niezależnie od tego, co było na obiad. A poza tym miał pewne powody do radości.

Dent odniósł miażdżące zwycięstwo nad wszystkimi konkurentami, którzy - jak słusznie zauważyli wyborcy - przez ostatnie dwadzieścia lat byli na utrzymaniu świata przestępczego. Może wybór ten oznaczał, że Gordon i miasto mieli za sobą dość ludzi, aby coś się zmieniło. Może prawda i sprawiedliwość zatryumfują i część kryminalistów znajdzie się wreszcie za kratkami.

Może będzie tak, a może inaczej. Gordon odwrócił wzrok w lewo. Niewiele było na tym świecie rzeczy pewnych, ale jedną z nich stanowił fakt, że zawsze musiał uczestniczyć w politycznych obiadach i na każdym jego dostojność, pan burmistrz, wygłaszał mowę.

Burmistrz Borg wstał, dumny i nadęty jak paw, jak gdyby wybranie Denta było wyłącznie jego zasługą. Gordon wiedział, że burmistrz miał tylko przedstawić nowego prokuratora, ale orientował się, że zadanie takie może zabrać Borgowi dobre dwadzieścia minut.

Gdy Borg zaczął mówić, tłum się uciszył. Gordon słuchał jednym uchem. Niebo świadkiem, że burmistrz sprawiał wrażenie człowieka, który nigdy nie wysłuchał sam siebie. Borg rozvodził się nad “naszym pięknym miastem”, “tym wspaniałym kwiatem wschodu”. Podziękował wyborcom, wymieniając wielu z nich z nazwiska. Dopiero potem zaczął tę część przemówienia, która mogła prowadzić do przedstawienia Denta. Wreszcie Gordon postanowił dokładniej wsłuchać się w słowa burmistrza.

Borg wziął głęboki oddech i oświadczył:

- W całym kraju nazwa “Gotham” jest synonimem zbrodni. Nasze ulice zalane są robactwem, a nasza policja jest bezradna. Jako burmistrz przyrzekłem wam, że zlikwiduję wszelkie źródła korupcji!

Zrobił przerwę na kolejny oddech, wznosząc w górę kluskowaty paluch.

- Szefie Carlu Grissomie! Nasz nowy prokurator okręgowy Harvey Dent dotrzyma mojej obietnicy. Przysięgam!

Harvey Dent podniósł się, powstali też z krzeseł słuchacze, klaszcząc i wiwatując. Zgromadzona tu społeczność Gotham naprawdę czekała na zmiany.

Dent ruchem dłoni poprosił o spokój. Publiczność uciszyła się i powróciła na miejsca, by wysłuchać przemówienia prokuratora okręgowego.

Nowy prokurator był wysoki i szczupły. Wyglądał, jakby urodził się po to, by nosić eleganckie garnitury.

Jego brązowa skóra błyszczała w światłach. Gordon uznał, że to jeszcze jedna rzecz, która powinna go cieszyć, bo Dent będzie się świetnie prezentował w telewizji - znacznie lepiej niż komisarz policji w średnim wieku, z nadwagą i przygarbioną sylwetką.

Dent zaczął mówić. Głos miał tak czysty i silny, że prawie nie potrzebował mikrofonu.

- Nie lubię długich przemówień. Ale słowa, które wypowiadam, są wiarygodne. Takie też będą nasze działania. Rozmawiałem dzisiaj z komisarzem policji Gordonem.

Gdzieniedzie odezwały się oklaski. Dla komisarza policji? Gordon uśmiechnął się grzecznie. No, no, pomyślał, publiczność jest dzisiaj naprawdę zycziwa.

- Komisarz ustala firmy - ciągnął Dent - podejrzane o kontakty z gangiem. W ciągu tygodnia zapukamy do ich drzwi - przerwał, omiół spojrzeniem tłum - i wniesiemy do tego gniazda żmij światło prawa! Tym razem wzbudził prawdziwy aplauz. Gordon żałował, że nie może się rozluźnić. Lecz miał przed sobą straszną robotę. Robotę, która wymagała czegoś więcej niż wysiadania na eleganckich kolacjach. Nigdy dotąd publiczność nie zważała na jego obecność. Uwaga, którą obdarowano go tego wieczoru, wprawiła Gordona w lekkie zakłopotanie.

Cholera! Czasem żałował, że - jak Wayne - nie mógł sobie pozwolić na wagary. Czuł już, że łykowata pieczeń da mu do wiwatu. Uśmiechnął się miło do Denta. Miał nadzieję, że żołądek pozwoli mu dotrzeć do chwili, gdy nowy prokurator okręgowy naszkicuje resztę swoich planów; planów, które - wbrew wszelkim przesłankom - zdołają może zrealizować.

Cóż za rupieciarnia!

Jack Napier machinalnie bawił się swoją szczęśliwą talią kart. Dziwiło go, że Alicja Hunt - mając tyle pieniędzy dzięki pracy modelki i drobnym prezentom, jakie dostawała od Grissoma - potrafiła wypełnić mieszkanie takimi śmieciami. Po co jej był ten stolik do kawy w stylu postjugosłowiańskim, czy jak to nazwać? Niektórzy określiliby go mianem klasycznego; dla niego był tylko kosztownym rupieciem. Tyle, że miał gdzie położyć stopy. Albo ten zwyczaj oblepiania ścian własnymi fotografiami? Cóż, przynajmniej służyły za tapetę.

Jack zaśmiał się ze swojego własnego, osobistego żartu. Skoro z nim spała, musiała mieć świetny gust co do mężczyzn. Szkoda, że nie miała takiego gustu w innych kwestiach.

Przestał tasować karty jedną ręką. Skoncentrował uwagę na telewizji i shtywniaku, który właśnie został wybrany na prokuratora okręgowego.

Kim właściwie był ten facet? Lektorka przed chwilą wymieniła jego nazwisko. Bent? Bend? Dent - o, tak. Nie było w nim niczego zwracającego uwagę. Mówił jak wszyscy politycy, których Jack wysłuchiwał. Napier musiał jednak przyznać, że wyglądał z klasą.

Wyciągnął z wierzchu talii cztery walety. Karty miały dziury po kulach.

- Razem możemy uczynić to miasto bezpiecznym dla przyzwoitych ludzi - dudnił Dent.

- Przyzwoici ludzie nie powinni tu mieszkać - powiedział Jack rozparłszy się w fotelu. - Gdzie indziej byłiby szczęśliwi.

Przez pokój przeszła Alicja. Może nie miała gustu, ale ciągle jeszcze niezłe wyglądała, zwłaszcza w tym skąnym czarnym szlafroczk. Podniosła w górę jego stopy, by uratować Vogue ze swoim zdjęciem na okładce. No i proszę! - przeszło Jackowi przez głowę. Oparł swoje włoskie buty na jej twarzy. Z pewnym niezadowoleniem zauważył, że jeden z błyszczących czarnych czubków trochę się wytarł. Będzie go musiał naprawić. Patrząc w telewizor Alicja czesała proste, jasne włosy.

- Teraz czepia się Carla. Jack śmignął szczęśliwą talią.

- Nie martw się. Gdyby ten błazen spróbował dotknąć Grissoma, zabiłbym go.

Alicja pochyliła się nad Jackiem; jej szlafroczek jeszcze bardziej się rozsunął. Złapała luźno zawiązany krawat i zacisnęła go mocno wokół jego szyi.

- Gdyby Grissom dowiedział się o nas - zauważyła - mógłby zabić ciebie.

Jack przeniósł wzrok z telewizora na lustro wiszące obok, nad toaletką. Do licha, ależ ten krawat dobrze na nim wyglądał! Uśmiechnął się do własnego odbicia w lustrze. Mógłby spróbować dać Alicji kilka lekcji, ale jeśli ktoś się z dobrym smakiem nie urodzi, to się go nigdy nie nauczy.

- Nie schlebiaj sobie, aniele - mruknął przypatrując się jej. - On jest zmęczonym, starym człowiekiem. Nie może rządzić miastem beze mnie. - Raz jeszcze spojrzął na swoją podobiznę w lustrze. - A poza tym się nie dowie.

Wyłączył telewizor za pomocą pilota. Gdy wstał, Alicja naskoczyła na niego.

- Ty się przynajmniej niczym nie martwisz! Jack uśmiechnął się, aby pokazać, jak jest zatroskany.

Spojrzał na zegarek. Czas iść. Wziął z tapczana marynarkę i stanął przed toaletką, by ją włożyć. Obciągnął ciemny kaszmirowy sweter, upewnił się, czy nie ma rozczochranych włosów. Taak. Wspaniale.

- Świetnie wyglądasz - zapewniła go Alicja. Jack uśmiechnął się do swojego odbicia.

- Nie pytałem.

Odbicie w lustrze oddało mu uśmiech.

Alexander Knox usiłował nawet nie oddychać zbyt głośno.

Szedł szybko aleją kierując się na miejsce zbrodni. Usłyszał, jak za rogiem ulicy porucznik Eckhardt rozmawia z policyjnym lekarzem. Tak jest, Eckhardt rozmawiał! W chwili gdy pojawiał się Knox, pucołowaty oficer zawsze milkł jak grób.

Czasami, pomyślał Knox, można zostać najlepszym reporterem w całym mieście dzięki temu, że dotrze się gdzieś o minutę wcześniej.

- Czy pan wie, co mówi ten chłopak? On twierdzi, że widział... - zaczął lekarz, a w jego głosie brzmiało powątpiewanie.

- Niech mi pan pozwoli zgadnąć - wysapał Eckhardt - olbrzymią, groźną, nadnaturalną postać w kształcie nietoperza?

- Dokładnie tak - odpowiedział zdziwiony medyk. - Co oni tam widzą?

Eckhardt machnął ręką.

- Majaczenia po pijaku.

- A jednak to jakaś niesamowita sprawa, poruczniku - pozwolił sobie na uwagę lekarz.

- Chryste - mruknął Eckhardt zniżając głos niemal do szeptu. - Knox!

Knox podszedł zbyt blisko. Jego maskowanie diabli wzięli, ale postanowił spróbować. Z uśmiechem zwrócił się do Eckhardta.

- Witajcie, panowie. Słyszę, że mamy następny atak nietoperza.

Eckhardt drgnął. Knox uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- To już ósmy w ciągu miesiąca. Słyszałem nawet, że komisarz założył akta sprawy.

- Wybacz, Knox - odpowiedział Eckhardt, a jego twarz wyrażała dokładnie tyle samo co granitowa płyta. - Ci dwaj pośliznęli się na skórcie od banana.

Dwaj? A więc w sprawę było zamieszanych dwóch facetów? Czasami Eckhardt podrzucał smaczne kąski nawet o tym nie wiedząc. Knox zastanawiał się, czy znajdzie jakiś sposób, by zadać pytanie lub dwa komuś, kto widział nietoperza.

W tym momencie zauważył dwóch policjantów ciągnących naocznego świadka. Przez chwilę myślał, że może Eckhardt miał rację. Ten chłopak z pewnością wyglądał tak, jakby wypił beczkę wódki. Ubranie miał porwane w kilku miejscach, skórę posiekaną brązowymi strużkami zasychającej krwi. Włosy też miał zlepione krwią. Ale coś naprawdę niezwykłego dojrzał w twarzy chłopaka. On się uśmiechał.

- Nietoperz, mówię panu, olbrzymi nietoperz! - chichotał i trząsał się, spoglądając to na Eckhardta, to na Knoxa, to na prowadzących go policjantów. - Chciał, żebym oddał mu przysługę.

Gliny odciągnęły go, nim zdołał oddać komukolwiek jakąkolwiek przysługę. Knox uśmiechnął się do Eckhardta. Dostał odpowiedź na najważniejsze pytanie.

Eckhardt nie mógł ukryć irytacji.

- Nie wypisuj tych głupot w gazecie, Knox. To by zrujnowało twoją i tak już nadszarpniętą reputację.

Ale Knox miał w ręku tego tłustego bękarta. A więc istnieje świadek, który widział nietoperza! Wykorzystał swoją przewagę.

- Poruczniku, wielu oprychów w mieście jest sztywnych ze strachu. Mówią, że on wypija krew. Mówią, że nie można go zabić!

- A ja mówię, że ty pieprzysz głupoty, Knox - warknął Eckhardt i odwrócił się. - I możesz zacytować te słowa.

A więc nawet teraz chcą to ukrywać? Knox nie poddawał się łatwo.

- Poruczniku, czy jest w Gotham blisko dwumetrowy nietoperz?

Eckhardt odszedł nie oglądając się za siebie. Knox naciskał:

- A jeśli tak, to czy jest na policyjnej liście płac? Eckhardt zniknął za rogiem.

- Jeśli tak - zawołał Knox - to ile wyciąga po odliczeniu podatków?

Nie było odpowiedzi. Knox właściwie żadnej nie oczekiwał. Przez chwilę łamał się, czy pójść za porucznikiem, ale zdecydował, że dla własnego spokoju i kariery lepiej tego nie robić. Nie znosił tego faceta, ale nie opłacało się naprzykrzać policji.

Poza tym miał już to, czego chciał. Przestraszony czy nie, ten uśmiechnięty chłopak widział człowieka nietoperza. A Knox uznał, że Fakt, iż policja z jakichś przyczyn nie chce niczego ujawniać, nadaje sprawie pikanterii. Eckhardt i inni powinni wiedzieć, że taka postawa sprawia, iż Allie Knox tym bardziej chce poznać prawdę.

Kim jest ten facet, który próbuje wyglądać jak nietoperz? Policjantem renegatem? Kryminalistą? Jakimś strażnikiem porządku? A może zwykłym wariatem?

Knox miał wrażenie, że wszystko jest możliwe. Ale postanowił odkryć prawdę i ujawnić ją w Gotham Globe. Gdy tego dopnie, Batman będzie bardziej znany niż Ronald Reagan. A tajemnice policji każdy będzie mógł znaleźć na pierwszej stronie, wydrukowane wielkimi literami.

2.

Ach, oto i grubas. Szedł kołyszając się w ich kierunku i rozglądał się nerwowo po ulicy. "Elegancik" z Gotham, nieogolony, z brzuchem trzęsącym się pod zbyt ciasnym ubraniem, w którym przy każdym kroku mogły popękać guziki. Dlaczego Eckhardt tak o siebie nie dbał?

Jack Napier oparł się o maskę limuzyny. Bob Hawkins, jego prawa ręka i goryl, robił to co zwykle - poprawiał lusterko, pucował klamki przy drzwiach. Był zajęty, ale w każdej chwili dyspozycyjny, gdyby wymagała tego sytuacja.

Jack wychylił się do przodu i rzucił porucznikowi torbę śniadaniową.

- Przyniosłem ci małą przekąskę, Eckhardt. Porucznik otworzył torbę i spojrzał na kanapkę.

Chleb nadziany był studolarowymi banknotami. Eckhardt rozejrzał się w prawo i w lewo, po czym wsunął kanapkę do kieszeni płaszcza.

- Dlaczego nie ogłosisz tego w telewizji, Napier? - Porucznik sprawiał wrażenie rozdrażnionego. Musiał wstać z łóżka lewą nogą. Ale nie było powodu, żeby zadzierał nosa przy Jacku. Napier doszedł do wniosku, że czas pokazać temu facetowi, siedzącemu w kieszeni Grissoma, jego miejsce.

- Zamknij się i słuchaj - rozkazał. - Harvey Dent węszy wokół jednej z naszych firm.

Ten ton wprowadził porucznika w jeszcze większe rozdrażnienie.

- To jest mój teren, Jack - warknął idąc w stronę limuzyny. - Jeśli będzie jakiś problem...

Jack miał dość grubasa. Wyciągnął ręce i chwycił go za kłapy marynarki.

- Eckhardt - powiedział zwyczajnie i bez ogródek - twoje problemy są naszymi problemami.

Policjant zrzucił z siebie ręce Jacka.

- Odpowiadam przed Grissomem, nie przed jakimiś maniakami!

- Uważaj, Eckhardt - odpowiedział Jack nieco zdziwiony. - Powinieneś myśleć o przyszłości.

- Mówisz o czasach - uśmiechnął się szyderczo policjant - kiedy ty będziesz na czele?

- Machnął tłustą ręką. - Ty nie masz przyszłości, Jack. Jesteś wielkim zerem i Grissom o tym wie!

Jack uderzył Eckhardta w otluszczoną twarz. Obrócił się i pchnął policjanta na ceglany mur. Eckhardt zmrużył oczy oszołomiony gwałtownością ataku. Przez chwilę Jackowi było przykro. Ale grubas miał taką podściółkę z tłuszczu, że pewnie niczego nie poczuł.

Twarz Eckhardta była biała jak papier. Złapał Jacka za kołnierz marynarki i wyciągnął policyjny pistolet.

Jack cofnął rękę, gdy Eckhardt podniósł broń do góry. Spojrzał na pistolet, potem na grube palce na swoim kołnierzu.

- Uważaj na ubranie - powiedział spokojnie. Eckhardt z trudem łapał oddech. Spojrzał na Napiera spod zmarszczonych brwi, po czym puścił płaszcz i zniżył lufę pistoletu. Jack uśmiechnął się. Dobry grubasek.

- Widzisz? - odezwał się łagodnie. - Gdy się postarasz, potrafisz podejmować właściwe decyzje.

Zaczął się śmiać. Z twarzy Eckhardta odpłynęła cała krew. To jeszcze bardziej rozśmieszyło Jacka. W grubasku wszystko się gotowało! Bob otworzył tylne drzwi limuzyny. Jack cofnął się. Nie mógł dłużej patrzeć na policjanta, po którego twarzy spływały łzy. Ale kiedy siedział w samochodzie, obejrzał się raz jeszcze.

I wtedy coś przyćmiło jego zadowolenie.

Nie rozumiał dlaczego Eckhardt się uśmiecha. Nie mógł usłyszeć jego ostatnich słów:

- A gdzie spędzałeś ostatnie noce, przystojniaczku?

Na wczesnojesiennym wietrze powiewał czerwono-żółto-czarny transparent: "200 LAT GOTHAM".

Borg niecierpliwie skinął na Denta i Gordona, aby poszli za nim. Burmistrz, gdy chciał, potrafił być zadziwiająco energiczny, a w uczczenie wielkiej rocznicy zaangażował się osobiście. Odwiedzili już jednego z wytwórców platform reklamowych oraz firmę dostawczą, osobiście sprawdzając, czy wszystko będzie gotowe na ten podniosły dzień. Teraz burmistrz ciągnął ich, by osobiście dokonali inspekcji końcowych prac przy stawianiu trybuny na głównym placu Gotham.

Gordon czuł się tak, jakby maszerowali całe godziny. Dopiero dzisiaj, pomyślał, Dent zrozumie, co to znaczy pracować dla Gotham.

- Nie obchodzi mnie, jak bardzo zadłużony jest festiwal - krzyknął do nich burmistrz.
- Chcę mieć paradę, hot-dogi, balony i cały ten bajer. Godnie uczcimy dwóchsetlecie Gotham! I szumnie! Dent próbował zachować zdrowy rozsądek.

- Możemy je uczcić jako bankruci - przypomniał grzecznie burmistrzowi. - Nasze wpływy z podatków spadają, a jeśli ten festiwal się położy, to może się pan pożegnać z kredytami. Festiwal ma trzysta pięćdziesiąt tysięcy deficytu, a my nie widzieliśmy ani jednego balona.

- Budżet - festiwalu to moja sprawa - upierał się burmistrz, podnosząc głos. Gordon odnosił czasem wrażenie, iż Borg był pewien, że jeśli tylko dostatecznie podniesie głos, to może przekrzyczeć każdy logiczny argument, jaki zostanie przeciw niemu wytoczony.

- Znam grupę starych, bogatych pań, które zapłacą nawet po tysiąc dolarów, żeby znaleźć się w pałacu Wayne'a - huczał burmistrz. - Wypełnicie ten plac ludźmi, dziećmi, psami, rodzinami, a firmy też tu wrócą!

- Myślę, że wiele osób nie będzie chciało przyjść - powiedział Gordon, próbując wesprzeć Denta. - Ludzie się boją.

- Nie będą się bali, kiedy doprowadzi pan Grissoma do sądu - upierał się Borg. - Przyrzekłem im to.

Gordon westchnął i pokiwał głową. Burmistrz istotnie im to przyrzekł. Spojrzał na Denta. Nowy prokurator okręgowy bezradnie wzruszył ramionami. Obaj przyspieszyli kroku, by dogonić Borga wchodzącego już na schodki wykańczanej trybuny.

Knoxowi nie spodobał się widok, jaki ujrzał. Reporterzy zebrali się w kącie działu miejskiego koło biurka rysownika Boba. Gdy Knox wszedł, wszyscy zaczęli się uśmiechać. Knox znał te wygłodniałe uśmieszki - wilki zawsze polują razem.

- No, no! - zawołał wesoło MacPhee - Hrabia Drakula! - Widziałeś ostatnio Yeti?

- Wyrzucili twoją historyjkę o człowieku nietoperzu na ostatnią stronę - odezwał się Thompson z ponurym uśmieszkiem.

- Zawsze tam wyrzucają śmieci - dodał MacPhee. Knox nie mógł pozwolić, by te ludzkie wraki z Gotham Globe nim pomiatały.

- To strefa nagrody Pulitzera, chłopcy. Poczekajcie tylko!

- Knox? - odezwał się słodko rysownik Bob - mam coś dla ciebie.

Podniósł w górę rysunek nietoperza: ohydną, pełną kłów twarz gryzonia osadzoną na ciele mężczyzny w eleganckim garniturze. Pod spodem widniał napis: "Czy znasz tego człowieka?"

Thompson, MacPhee i inni uznali, że to najśmieszniejsza rzecz, jaka kiedykolwiek wydarzyła się w redakcji. Knox nie uśmiechał się. Szkoda, że nie zaatakowali go w jakiś bardziej oryginalny sposób.

- Świetnie, chłopcy - odpowiedział. - Może tylko trochę więcej posoki na kłach? - Odwrócił się i ruszył w kierunku swojego gabinetu.

Zanim otworzył drzwi, zatrzymał się. W jego pokoju siedziała dziewczyna. Widział ją przez szybę - ale co widział!

Gdy uspokoił serce i hormony, przyjrzał się uważnie. Widział tylko parę nóg. Tylko! Każde szanujące się rajstopy dałyby się zabić za to, żeby znaleźć się na takich nogach! Knox zrobił krok, żeby zobaczyć resztę. Wcale nieźle. Te nogi spoczywały na biurku Knoxa, a ona rozpierała się w jego obrotowym fotelu, rozmyślając nad egzemplarzem Gotham Globe. Ładna figura, ładna sukienka, ładne jasne włosy.

Knox wszedł do biura. Nie mógł się powstrzymać. - Cześć, nogi! - powitał ją.

Kapelusz przechylił się do tyłu. Twarz, doskonale pasująca do reszty, uśmiechnęła się do niego.

- Czytam tę twoją rzecz - poinformowała go twarz.

- A ja twoją - odpowiedział. Przyglądał się dużej torbie fotograficznej opartej o róg biurka. Był na niej wytłoczony monogram "V.V."

Nogi wstały i podały mu rękę. Knox wyciągnął dłoń. Spotkał się z mocnym, śmiałym uściskiem.

- Cześć - powiedziała. - Jestem Vicki Vale. Knox znał skądś to nazwisko. Gorączkowo szukał w pamięci.

- Vicki Vale... Vicki Vale... zaraz, zaraz. - Strzelił palcami. - Vogue, Cosmo... widziałem twoje zdjęcia. - Ton jego głosu stał się teraz konfidencjonalny. - Słuchaj, nie przysłaś tu chyba po to, żeby mnie prosić o pozowanie nago. - Przerwał, zamrugał oczami. - Musiałabyś mieć naprawdę długie obiektywy.

- Właściwie - odpowiedziała Vicki jasno i rzeczowo, jak gdyby nie zrobił tej niewiarygodnie głupiej uwagi - byłam w Corto Maltese.

Corto Maltese? Knox myślał. W strefie wojny? To zupełnie nie pasowało do gustownej cizi, którą widział przed sobą. Vicki sięgnęła do torby i wyciągnęła z niej niewielką teczkę ze zdjęciami. Były na nich utrwalone wydarzenia wojenne. Knox szybko przerzucił zdjęcia. Partyzanci w kryjówkach, eksplodujący jeep, oddziały rządowe podpalające domy wieśniaków, ciała ułożone w stosy jak drwa. Vicki nie bała się podejść do pierwszej linii frontu. Jej zdjęcia ukazywały twarze wojny i zawierały duży ładunek prawdy.

- Hej - powiedział z podziwem. - Dziewczyna może uciepieć przy takiej robocie. - Znów na nią spojrział. - Ale co robisz tutaj?

Teraz Vicki uniosła brwi.

- Przyjechałam, żeby zobaczyć faunę w Gotham. Knox nie rozumiał.

- Faunę? Na przykład co?

- Na przykład nietoperze. - Wskazała papiery rozrzucone na biurku Knoxa. Papiery wypełnione faktami, domysłami, nieudanymi wstępami, a nawet rysunkowymi wygłupami na temat obsesji Knoxa: człowieka nietoperza.

To niemożliwe. Ktoś mu uwierzył? Patrzył na Vicki ze zdziwieniem.

- Kto cię nasłał?

- Nikt - odpowiedziała z uśmiechem. - Przeczytałam twój kawałek. Jest w tym coś, co mnie ogromnie interesuje.

Interesuje? Nie, pomyślał Knox, to zbyt proste.

- O co ci chodzi? - spytał.

- Wizerunek faceta w kostiumie nietoperza łapiącego kryminalistów. - Wymachiwała ręką jakby pisała w powietrzu nagłówek - "Batman wypędza z Gotham zbrodnię". Moje zdjęcia. Twój tekst. To materiał na nagrodę Pulitzera.

Taak. Cały czas o tym myślał. Czy przed chwilą nie mówił o tym chłopakom z działu miejskiego? Roześmiał się.

- Jesteś wizjonerką! Problem polega na tym, że nikt poza tobą mi nie wierzy. - Jego entuzjazm zaczął umierać, jak gdyby znów pożarła go rzeczywistość. - Potrzebuję czegoś namacalnego. Gordon założył w tej sprawie akta, ale nie mogę go dorwać przez telefon.

- Gordon? - Vicki mrugnęła do Knoxa konspiracyjnie. - Czy on będzie na przyjęciu u Wayne'a?

Knox zmieszany przytaknął.

- Nie wydaje mi się, żebym ja był na liście gości. - Spojrzał na sufit. Jak mógłby się przebić do Gordona w sprawie tego nietoperza? I co daje Knoxowi poznanie prawdy, skoro nie może nikogo do niej przekonać?

A to co? Vicki podsunęła mu coś przed oczy. Coś małego i białego dyndało dziesięć centymetrów od jego nosa. To coś cholernie przypominało zaproszenie do pałacu Wayne'a.

Knox niemal krzyknął z radości. Kiedy Vicki wkładała zaproszenie z powrotem do torby, uśmiechnął się do niej.

- Panno Vale - zapytał unizienie. - Czy jest pani zajęta dziś wieczór?

Panna Vale zatrzepotała długimi rzęsami kręcąc przecząco głową.

- Pomożesz mi? - spytała.

- Tak - odpowiedział szczerze. - A wyjdiesz za mnie?

- Być może - odparła wesoło. - Chrapiesz?

- Nauczę się - obiecał szczerząc zęby w uśmiechu.

Carl Grissom chciał mieć w życiu wszystko co najlepsze. Na przykład to biuro na szczycie wieżowca. Z najpiękniejszym widokiem w Gotham. Albo tę jasnowłosą modelkę Alicję, która tak dobrze wyglądała uwieszona u jego ramienia. I największych zdolniaków w Gotham, od księgowych zaczynając, na politykach i gliniarzach kończąc. Kupił sobie ludzi, którym mógł zaufać - albo się ich pozbyć. Dawno już nie zwoływał wszystkich razem do siebie. Ale teraz musiał.

Po to ich miał na swoim łożdzie od wytwornych facetów w garniturach i krawatach, do chłopaków wyglądających tak, jakby przed chwilą bili się w rynsztoku. Sprowadził tu najlepszych, aby wymyślili, co zrobić z nową, polityczną pchłą - Harveyem Dentem.

Przez wiele lat Grissom nie musiał się martwić o notabli Gotham. Burmistrz był głupcem - to jeden z powodów, dla których utrzymywał go na tym stanowisku. Komisarz Gordon mógł przysporzyć trochę kłopotów, gdyby nie to, że połowę jego oficerów Grissom opłacał. Ale Denta nie mógł kupić, a był on dostatecznie mądry, by zebrać nowy zespół uczciwych współpracowników. A więc trzeba było znaleźć sposób, aby się go pozbyć. Nowy prokurator to nowy ból głowy - a Grissom po to opłacał dziesiątki facetów siedzących teraz wokół niego, żeby zdejmowali z niego kłopoty.

- Wszyscy to widzieli? - zapytał Grissom wymachując egzemplarzem Globe. Dużą część pierwszej strony zajmowało zdjęcie Denta.

Wszyscy na głos szefa podnieśli wzrok. Wszyscy z wyjątkiem Jacka Napiera, który - jak zwykle - ćwiczył tasowanie jedną ręką swojej talii kart.

Grissom spojrzał na Luce'a, jednego z gości "eleganckich", doskonale znającego się zarówno na prawie, jak i na finansach. Zadał mu pytanie:

- Powiedzmy, że ten skurwysyn ustali nasze powiązania z Axis Chemicals. Jakich strat możemy się wówczas spodziewać?

Luce wyglądał na zmieszanego zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Jeśli powiąże nas z Axis Chemicals, jesteśmy martwi i pogrzebani. - Przerwał, żeby odchrząknąć. - Powinniśmy natychmiast się stamtąd wynieść.

Jack Napier przemówił nie odrywając oczu od kart.

- Po prostu trzeba się tam wdrzeć, rozwalić biuro, wynieść kartoteki i ogłosić, że było to "szpiegostwo przemysłowe".

Grissom uśmiechnął się. Tego właśnie oczekiwał.

- Bardzo sprytnie, Jack. - Przerwał na chwilę, jakby myślał. - Chciałbym, żebyś zajął się operacją osobiście.

Jack po raz pierwszy podniósł wzrok:

- Ja?

Odkrył kartę. Grissom zauważył, że tym razem nie był to walet.

Jack wyciągnął dzokera z kulą po naboju dokładnie pośrodku twarzy.

Ciszę przerwał sygnał prywatnej windy Grissoma. Metalowe drzwi rozsunęły się i z windy wyszła Alicja obładowana tak dużą ilością toreb z zakupami, że ledwie mogła je utrzymać. Jak zwykle, pomyślał Grissom. Była najszczęśliwsza, gdy pozwalał jej pójść po zakupy. Tak przynajmniej do niedawna sądził.

- Witaj, kochanie - ode/wał się Grissom z uśmiechem zamrożonym na twarzy. - Czy zechciałabyś poczekać w drugim pokoju?

Alicja kiwnęła głową zza stosu zakupów. Zanim zniknęła za drzwiami prowadzącymi do prywatnego apartamentu Grissoma, jej wzrok prześliznął się po zebranych, by odszukać Jacka Napiera.

No właśnie, pomyślał Grissom.

- Dziękuję, panowie - obwieścił żwawo. - Na razie to wszystko.

Wszyscy ludzie Grissoma wyszli z pokoju. Tylko Jack Napier stał obok krzesła. Jego karty stale jeszcze rozłożone były przed nim na stoliku.

- Carl - zapytał - nie mógłbyś tam posłać kogoś innego? Wiesz, że nie znoszę oparów...

- To ważna robota, Jack - powtórzył Grissom. Potrzebuję kogoś, komu mogę zaufać. A ty jesteś numer jeden. - Uśmiechnął się i wskazał na stolik. - Nie zapomnij swojej szczęśliwej talii.

Jack skinął głową i zebrał karty. Gdy wyszedł z pokoju, Grissom wciąż jeszcze się uśmiechał.

- Cóż, przyjacielu - powiedział miękko - twoje szczęście wkrótce się od ciebie odwróci.

Otworzyły się boczne drzwi. Wyszła z nich Alicja, aby zademonstrować pierwszy z zakupów. Tak jak to robiła zawsze.

Grissom pomyślał, że zajmie się nią później. Podniósł słuchawkę telefonu.

- Proszę mi dać porucznika Eckhardta.

Będzie musiał dać porucznikowi jakiś ekstra napiwek. Oczywiście gdy już upewni się, że Napier nie żyje.

3.

Wayne Manor był czymś szczególnym.

Na Vicki Vale nie tak łatwo robiło się wrażenie. Wykonywana przez nią profesja wiodła ją do zamków i pałaców, na spotkania z królami i królowymi. Posiadłość Wayne'a nie należała do tej klasy; była po prostu bardzo duża, elegancko urządzona i coś w sobie miała. Wysokie sufity i olbrzymie powierzchnie rzeźbionego mahoni sugerowały umiłowanie tradycji. Z pewnością Wayne Manor nie był pałacem Buckingham, ale czuło się tu jakiś posmak królewskości.

Vicki odniosła wrażenie, że Knox nie jest przyzwyczajony do tego rodzaju otoczenia. Gdy szli eleganckimi korytarzami prowadzącymi do galerii, mimo woli zwalniał, a kiedy wreszcie dotarli do celu, stanął jak zaczarowany i wytrzeszczał oczy na wszystko jak gamoń.

Po kilku minutach rozluźnił się i zaczął się samodzielnie włóczyć po sali. Wyglądał nieco dziwnie w poliestrowym garniturze od Searsa wśród ludzi w smokingach. Ale Vicki nie martwiła się o niego. Miał swoją robotę, ona swoją. Chciała spotkać Bruce'a Wayne'a. Chciała zrozumieć, czym kierował się ten milioner uchodzący za playboya i filantropa. Zdawało się jej, że poza Batmanem może znaleźć w Gotham całkiem inny temat.

Jeśli, oczywiście, uda jej się dotrzeć do Wayne'a. Zastanawiała się, jak wyglądała tu prezentacja gości.

Jeden z kelnerów podał coś do podpisania ciemnowłosemu mężczyźnie w smokingu. A więc człowiek ten musiał być kimś ważnym. Nieźle zresztą wyglądał. Podpisał papiery i kelner zniknął.

Mężczyzna w smokingu stał trzymając w ręku pióro. Rozglądał się za miejscem, gdzie mógłby je odłożyć. Przez moment wyraźnie zastanawiał się, czy nie zostawić go w stojącej obok doniczce z kwiatami. Ale wówczas zbliżył się doń szczupły, siwy człowiek - ten sam,

który wpuścił do pałacu Vicki i Alliego. Zgrabnie zabrał ów instrument do pisania, po czym uśmiechnął się, a mężczyzna w smokingu ruszył w kierunku wielkiej sali balowej i nocnego kasyna.

W ogromnym pomieszczeniu stało kilka ruletek i tyleż samo stołów do gry w oko i w kości. Spod sufitu zwisały małe, gustowne chorągiewki z napisami: "Wspieraj festiwal". Sala była tak wypełniona gośćmi, że trudno było się przecisnąć. Wielkie lustro po obu stronach odbijały wszystko, co było pomiędzy nimi, a te odbicia sprawiały wrażenie, że przyjęcie jest wręcz gigantyczne.

To był widok! Cała elita władzy miasta Gotham w szykownych kreacjach oddawała się hazardowi, z którego dochód szedł na cele charytatywne. Vicki przyglądała się biżuterii iskrzącej się w świetle wielkich kryształowych kandelabrow. Raz jeszcze pomyślała o posmaku królewskości.

Rzuciła okiem na gapiącego się w sufit Alliego. Człowiek, który ich wpuścił do pałacu, szedł teraz przez salę z tacą pełną kieliszków szampana. Zatrzymał się przy Alliem i także spojrzął w sufit.

- Czy mogę panu w czymś pomóc?

- Wie pan, gdyby przeciąć waszą łazienkę na pół, to byłaby ona wielkości całego mojego mieszkania.

- Rzeczywiście mamy dosyć dużą łazienkę, proszę pana - zgodził się mężczyzna.

- Nie - sprostował Allie - mówiąc o łazience, miałem właściwie na myśli wannę.

Allie wziął z tacy kieliszek szampana. Mężczyzna uklonił się i ruszył dalej. Szybko i pewnie przedzierał się przez tłum. Gdy dotarł do Vicki, połowa kieliszków z szampanem zniknęła już z tacy.

Nagle Vicki przyszło do głowy, że ten człowiek jest zapewne lokajem - jeśli ludzie mają jeszcze lokajów. Takie właśnie rzeczy robi lokaj - otwiera drzwi, serwuje szampana, czyż nie? W miejscu tak ogromnym jak Wayne Manor musiał chyba być lokaj?

Mężczyzna, lokaj czy nie, wychylił się do przodu, by zebrać puste kieliszki. Źle jednak ocenił wagę pozostałych pucharów wypełnionych szampanem, które zaczęły się

ześlizgiwać z tacy, grożąc katastrofą. Vicki podbiegła i złapała dwa pierwsze kielichy, nim zdążyły się wywrócić.

W jednej chwili lokaj poprawił inne.

- W porządku? - zapytała Vicki ustawiając na tacy uratowane szkło.

- Tak, dziękuję pani - odpowiedział lokaj z ciepłym i szczerym uśmiechem. To był najmiłszy uśmiech jaki Vicki zobaczyła owej nocy wśród całego tego bogactwa.

Ale ciągle jeszcze ani na moment nie zbliżyła się do celu, jakim było spotkanie Bruce'a Wayne'a. Lokaj zdążył już odejść, a ona znów spostrzegła owego przystojnego mężczyznę w smokingu. Gdy ją mijał, odwróciła się do niego. To była dobra okazja, by zacząć rozmowę.

- Przepraszam - zagadnęła. - Który z tych facetów to Bruce Wayne?

Mężczyzna w smokingu sprawiał wrażenie zaskoczonego.

- Ja... ja nie jestem pewny. Vicki uśmiechnęła się do niego.

- No nic, dzięki.

- A, tak - odpowiedział.

Wyglądało na to, że Allie miał więcej szczęścia niż ona. Udało mu się złapać komisarza Gordona przy stoliku do gry w kości. Vicki przeprosiła. To mogło być interesujące.

- Witam, komisarzu Gordon - zaczął Allie. - Pani Gordon, pięknie pani dziś wygląda.

Po tych zdawkowych uprzejmościach zwrócił się do komisarza:

- Czy słyszał pan te idiotyczne plotki, że założył pan akta sprawy Batmana? To prawda?

Dla większego efektu Knox przyłożył palce do głowy imitując parę kołyszących się uszu nietoperza. Gordon jęknął.

- Knox - odpowiedział, starając się mówić spokojnie - dziesiąty raz powtarzam: nie ma żadnego nietoperza. Gdyby był, znaleźlibyśmy go. Aresztowalibyśmy go!

- Znaleźlibyśmy, aresztowalibyśmy... zawsze tak się mówi odparł Knox. - Komisarzu, niech pan będzie ze mną szczerzy.

Harvey Dent położył dłoń na ramieniu Gordona. Vicki była tak pochłonięta wymianą zdań między komisarzem i Alliem, że nie zauważyła nawet, kiedy zjawił się prokurator.

- Szczęście ci dopisuje, Jim?

Zanim jednak Gordon zdążył odpowiedzieć, Knox rzucił się na nową ofiarę.

- Panie Dent, rozmawialiśmy właśnie z komisarzem Gordonem o skrzydlatym strażniku prawa. Jaka jest pana opinia na ten temat?

Dent spojrział na reportera. Nie przybrał tonu cierpiętника jak Gordon. Odpowiedział spokojnie.

- Panie Knox, mamy w tym mieście za dużo prawdziwych problemów, żebyśmy jeszcze przejmowali się duchami.

Ta odpowiedź nic nie znaczyła. Więc Knox też właściwie nie miał szczęścia. Vicki zaczynała wątpić, czy ten wieczór spędzony w wielkim świecie cokolwiek im da.

W tym momencie wszedł policjant i poprosił Gordona, by zechciał z nim opuścić salę. Knox spojrział na Vicki. Dziewczyna skinęła głową i oboje ruszyli za Gordonem. Ta noc mogła jeszcze przynieść jakieś niespodzianki.

Ale gdzie zniknął Gordon?

Vicki i Allie wyszli z sali i zobaczyli troje drzwi. Wszystkie były zamknięte. Jedne prowadziły do kredensu, drugie na wiodącą w dół klatkę schodową. Za obopólną zgodą wybrali drzwi środkowe wiodące do hallu i następnych kilkunastu drzwi.

Po paru minutach zorientowali się, że zgubili się w tym labiryncie. Knox na chybił trafił wybrał kolejne drzwi, otworzył je i wpadł do jakiegoś pokoju. Vicki szła za nim. Nie było tam ludzi. Ale za to mnóstwo innych rzeczy.

- Chyba znaleźliśmy się w arsenale - zażartował Knox.

Gwizdnął. - Popatrz na to. Kim jest ten facet?

Wydawało się, że Wayne zgromadził wszelkie rodzaje broni znane gatunkowi ludzkiemu. Na ścianach wisiały miecze, w szklanych gablotach można było znaleźć wszystko - od dmuchawek aż po ręczne granaty.

Drzwi za ich plecami otworzyły się. Allie był zbyt pochłonięty oglądaniem broni, aby to zauważyć, ale Vicki obejrzała się. Do pokoju wszedł ów przystojny mężczyzna w smokingu, trzymając w ręku kieliszek szampana. Uśmiechnął się do niej trochę nieśmiało. A więc inni też gubili się w Wayne Manor. Vicki odpowiedziała uśmiechem.

Było coś niezwykłego w tej wędrującej duszy, coś z “małego zagubionego chłopca”, co wydało się Vicki niezwykle podniecające. Miała nadzieję, że nieznajomy nie odejdzie. Z jego reakcji podczas ich poprzedniego spotkania odniosła wrażenie, że trochę go wystraszyła. Postanowiła dalej gawędzić z Alliem, aby przekonać się, czy mężczyzna w smokingu włączy się do ich konwersacji.

- Dziwne - odezwała się do Knoxa. - Łoży na cele humanitarne, a kolekcjonuje broń.

- Pewnie robi to, by zyskać zwolenników. - Knox znów uniósł brwi.

- A ja myślę, że im wszystkim chodzi o jego olbrzymią forszę.

Allie roześmiał się z pobłażaniem.

- Pamiętaj, im więcej mają forsy, tym mniej są warci. Vicki skinęła głową lustrując pokój.

- To ten człowiek musi być najmniej wartościowym facetem w całej Ameryce.

Knox wskazał długą, delikatnie rzeźbioną szablę w starannie tłoczonej srebrnej pochwie.

- Ciekawe, skąd ona pochodzi?

- Z Japonii - odezwał się głos za ich plecami. Vicki i Knox odwrócili się. Mówił do nich przystojny mężczyzna w smokingu.

- Skąd pan wie? - zapytał Knox. Mężczyzna uśmiechnął się.

- Kupiłem ją w Japonii.

Ale Allie Knox nie poddawał się łatwo.

- Kim pan jest?

- Och - odparł człowiek w smokingu - nazywam się Bruce Wayne.

Bruce Wayne? Vicki zastanawiała się. Ale przecież on... przecież ona...

Knox szybko przeszedł przez pokój, wyciągnął rękę.

- Allie Knox. - Uścisnęli sobie dłonie.

- Czytałem pana artykuły - powiedział Bruce. - Podobały mi się.

- Znakomicie - odpowiedział Knox nie wychodząc z uderzenia. - Niech mi pan da jakieś stypendium.

Bruce uśmiechnął się, potem spojrzał na Vicki. A więc doszło wreszcie do poznania. Wyciągnęła rękę.

- Vicki Vale.

Uścisk jego dłoni był miły i mocny.

- Bruce Wayne.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem:

- Jest pan już pewny?

- Tym razem tak - odpowiedział i uśmiechnął się. Vicki pomyślała, że z takim uśmiechem można dać sobie radę ze wszystkim.

- Widziałem pani zdjęcia z Corto Maltese - powiedział. - Ma pani niezwykle oko.

- Niektórzy twierdzą, że ma nawet dwa - zauważył Allie, wchodząc pomiędzy nich.

Ho, ho, pomyślała Vicki. Męski honor. Być może Allie traktował ich randkę jako coś więcej niż tylko wygodną dziennikarską przygodę.

- Ten dom jest zachwycający - powiedziała, próbując zmienić temat. - Chciałabym go kiedyś sfotografować.

Rozległo się pukanie do drzwi. Wszedł sztywno wyprostowany facet w czerwonej liberii. Spojrzenia Vicki i Knoxa znów się spotkały. Ilu służących mógł mieć Bruce Wayne?

- Panie Wayne - odezwał się służący, który zapewne rządził piwnicą. - Powinniśmy otworzyć pięć następnych skrzynek szampana. Czy pan zezwala?

- Ależ oczywiście - odpowiedział Bruce z tym samym zakłopotaniem, które Vicki pochwyciła w jego głosie, gdy odezwał się do niej po raz pierwszy. - Proszę otworzyć sześć.

Kelner okręcił się zgrabnie na pięcie i opuścił pokój. Bruce Wayne zamrugnął oczami, jak by chciał sobie przypomnieć, gdzie się znajduje. Odwrócił się do Vicki.

- Tak. Czy ma pani zamiar zostać jakiś czas w Gotham?

- Chciałabym - odpowiedziała Vicki. - Zaintrygował mnie bardzo artykuł Alliego o gigantycznym nietoperzu.

Aż nazbyt wytwornie ubrana para zatrzymała się w holu przed otwartymi drzwiami. Żegnali się z panem Wayne robiąc grzeczne uwagi na temat cudownego przyjęcia. Bruce odkłonił się uprzejmie, choć sprawiał wrażenie, że nie wie, z kim rozmawia. Nagle jego oczy spojrzały przenikliwie, gdy zwrócił się do nich po imieniu. Bogata para pomachała mu po raz ostatni i uszczęśliwiona odeszła.

Bruce odwrócił wzrok w stronę Vicki.

- Czyż to nie banalne po okropnościach wojny w Corto Maltese?

Tym razem to Vicki musiała chwilę pomyśleć, żeby przypomnieć sobie temat ich konwersacji. A, tak, Batman.

- Banalne? - odpowiedziała nieco ironicznie. - A czym pan się zajmuje?

Przy drzwiach rozległo się dyskretne kasznięcie. Vicki podniosła wzrok i zobaczyła lokaja.

- Proszę pana - zaczął lokaj - komisarz Gordon był zmuszony wyjść.

- Dziękuję, Alfredzie - powiedział Bruce nie patrząc w jego stronę.

- Hm - dodał stanowczo Alfred - musiał wyjść bardzo nieoczekiwanie.

- Och - odrzekł Bruce, spoglądając wreszcie na lokaja. - Dziękuję, Alfredzie.

Gdy zwrócił się do Vicki, na jego twarzy znów malowało się owo lekkie onieśmienie. - Mam nadzieję, że pani mi wybaczy.

Patrzył jej prosto w oczy. Ona też patrzyła mu prosto w oczy. Oboje wiedzieli, że to nie koniec.

- Oczywiście - powiedziała.

Oderwał od niej wzrok. Vicki przymrużyła oczy. Tak jakby jakaś niewidzialna nitka, która ich połączyła, została nagle przerwana i Vicki znów była wolna, mogła rozglądać się po pokoju.

Bruce postawił kieliszek na stole i ruszył w stronę drzwi. - Proszę pana - odezwał się Alfred - może tędy.

Bruce spojrzał czujnie na lokaja.

- Ach, tak, dziękuję. Alfredzie, tam potrzebne jest wino. A jakaś pani o nazwisku Dały prosiła o egzemplarz menu. - Szedł przez pokój w stronę drzwi. - Och, Alfredzie, i daj panu Knoxowi jakieś stypendium.

Mrugnął do Knoxa, odwrócił się i wyszedł z pokoju. Alfred zabrał kieliszek Wayne'a i bez trudu dogonił swojego pracodawcę, zamykając za sobą drzwi.

Knox wpatrywał się w zamknięte drzwi.

- Miło się z panem rozmawia, Bruce. - Spojrzał na Vicki. - Czy bogaci są dziwni? Tak, są. - Chwilę czekał, po czym dodał: - Hej! Vicki!

Zdała sobie sprawę, że ciągle jeszcze zerka na drzwi, za którymi zniknął Bruce Wayne.

- Przepraszam, ja... Próbowała zebrać myśli.

- On jest skom-pli-ko-wa-ny - powiedziała wreszcie, rozdzielając sylaby, jakby ów nacisk miał wszystko wyjaśnić.

- Powiedziałem "dziwni" - upierał się Knox. Vicki zorientowała się, że w jego uwadze może być trochę zazdrości.

- Hm - to była cała jej odpowiedź.

- Ach - odparł Knox, całkowicie nieusatisfakcjonowany. - Nie jesteś tu jedyną jego wielbicielek. Ten facet uwielbia sam siebie. W każdym pokoju wieszta lustro.

Vicki zauważyła, że Knox ma rację. W wielkiej sali balowej na ścianach były ogromne lustra. I tu też stali przed olbrzymim lustrem mającym dwa metry szerokości i sięgającym od podłogi do sufitu.

- Bruce Wayne - dodał Allie z sarkazmem. - Cóż za próżność.

-

*

Gdyby pan tylko wiedział, panie Knox. Bruce Wayne oglądał Vicki i reportera na ekranie monitora. Kamery umieszczone za jednostronnie przezroczystą taflą lustra cichutko rejestrowały wszystko, co działo się w zbrojowni. Oczywiście był to jeden z

trzydziestu kilku monitorów, które utrwały każdy ruch z zewnątrz i w środku Wayne Manor. Właśnie to, co działo się na jednym z tych monitorów, wymagało jego uwagi.

Gdy Wayne cofał taśmę, goście zaczęli się poruszać do tyłu z przesadną szybkością. Ach. Nacisnął guzik na znajdującej się przed nim konsoli. Ten właśnie kawałek chciał zobaczyć.

Na ekranie policjant rozmawiał z komisarzem Gordonem.

-... anonimowa informacja - mówił policjant. - Napier czyści Axis Chemicals.

- Dobry Boże - odpowiedział Gordon, podniecony i poruszony jednocześnie. - Gdybyśmy go mogli dostać w ręce, mielibyśmy Grissoma. Dlaczego mnie o tym nie powiadomiono? Kto kieruje...

- Eckhardt, panie komisarzu. Gordon pobladł.

- O mój Boże... - Sięgnął po płaszcz. Ekran opustoszał.

Bruce Wayne uśmiechnął się. Tego właśnie potrzebował. Wstał i ruszył do piwnicy. Nadszedł czas.

4.

Jackowi nie podobało się to ani trochę. Przez lata nie musiał załatwiać tego rodzaju roboty. Włamania, napady, drobne kradzieże - za to się płaciło chłopakom, którzy w razie wpadki przyjmowali ciosy na siebie.

Lecz Jack stale jeszcze pracował dla Grissoma. Na razie musiał robić to, co mu szef kazał. Nie był gotowy do wykonania zasadniczego ruchu - jeszcze nie.

Ale było w tej robocie coś, co sprawiło, że postanowił ów ruch zrobić znacznie szybciej.

Jak dotąd włamanie szło dobrze. Jego chłopcy podjechali w nieoznakowanych mikrobusach i bez kłopotu zdjęli strażę. W ciągu kilku sekund zdemontowali alarmy. Sejf był dokładnie w tym miejscu, gdzie według słów Grissoma być powinien, i chłopak z palnikiem otworzy go w minutę albo jeszcze szybciej. Dlaczego więc Jack czuł się tak nieswojo?

Po części łatwo było odpowiedzieć na to pytanie. Zawsze miał kontakt z chemią, lecz nigdy nie tolerował oparów. Teraz, nawet z jedwabną chusteczką przytkniętą do nosa i ust czuł, jak szkodliwe gazy wsączają się do jego płuc. Ale coś jeszcze było nie tak, coś jeszcze tu nie grało. Jack miał takie śmieszne przeświadczenie od chwili, gdy w biurze Grissoma odkrył dzokera zamiast waleta.

Chłopak, który otwierał sejf, zdmuchnął palnik, azbestową rękawicą sięgnął do klamki i otworzył drzwi.

- Pusty - oświadczył.

Cholera! - pomyślał Jack. Wiedział, że tak będzie. Nagle włączył się alarm.

- Zostaliśmy wrobieni, chłopcy - krzyknął do kompanów. - Wiejmy z tego burdelu!

Wybiegł z biura mieszczącego się dwa piętra nad rafinerią. Im dłużej o tym myślał, tym gorsza wydawała mu się ta cała sprawa. Siedzieli tu na górze jak kaczki. A na dole - o tym Jack był przekonany - roilo się od pistoletów jak na strzelnicy.

- Stój! - krzyknął ktoś z poziomu rafinerii. Jack spojrzał w dół. To był oczywiście policjant. Jeden z dziesięciu czy dwunastu, których zdołał dostrzec. Na pewno było ich więcej na zewnątrz budynku i wokół mikrobusów. Ci policjanci musieli tu być jeszcze przed włączeniem się alarmów, musieli dostać bardzo dokładne informacje z najwyższych szczebli organizacji Grissoma. Jack wiedział, że niektórzy z nich dostali także specjalne instrukcje. Zbyt dobrze znał sposób działania Grissoma. Ileż razy sam wypełniał jego rozkazy?

Jeśli nie uda mu się stąd szybko wydostać, to jest już trupem. Dał się złapać w klasyczną pułapkę. Kiedy Grissom chciał się kogoś pozbyć, zależało mu na tym, by było to zrobione perfekcyjnie.

Kilku rewolwerowców Jacka strzelało do policjantów. Ci skryli się, ale chwilę później też otworzyli ogień. Kule z kilkunastu pistoletów rozprysły się po rurach na suficie.

Połowa chłopców dała nura z powrotem do biura. Ale to oznaczało samobójstwo - nie było stamtąd wyjścia. Jedyłą szansą była ucieczka wąskimi pomostami. Krzyknął na innych, żeby za nim ruszyli. Potem zaczął biec.

Kule świstały koło niego, dziurawiąc idące wszędzie rury. Z dziesiątków otworów tryskała ciecz. Po rusztowaniach płynęły w dół substancje o nienaturalnych odcieniach zieleni, czerwieni, fioletu i brązu. Kto wiedział, co to było i jaką szkodę mogło wyrządzić człowiekowi? Jack biegł przez tę trującą ulewę, uważając, by nie pośliznąć się na mokrym metalu. Miał tylko nadzieję, że uda mu się zmyć to chemiczne paskudztwo, nim zdąży mu ono wyrządzić jakąś trwałą szkodę...

Nagle rozległ się głuchy szczęk. Kula odbiła się rykoszetem od metalowej balustrady kilka centymetrów od jego ręki.

... o ile, pomyślał Jack, coś innego nie zniszczy mnie przedtem całkowicie.

Wyjaśni to dokładnie, nawet gdyby miał własnoręcznie zastrzelić Eckhardta.

Komisarz Gordon skinął na jednego ze swoich ludzi. Przyprowadził pięćdziesięciu najlepszych policjantów, aby zyskać pewność, że robota zostanie dobrze wykonana. Porucznik przycisnął guzik.

Mieli wiele szczęścia. Elektryczność działała. Olbrzymia brama z falistej blachy podniosła się z metalicznym jękiem, ukazując rampę załadowniczą Axis Chemicals Company.

Po drugiej stronie bramy też byli policjanci, rozglądający się wokół, zdziwieni tym, co się zdarzyło. Pośrodku tej grupy stał Eckhardt. Komisarz zastanawiał się jakie usprawiedliwienie znajdzie dla siebie porucznik tym razem.

- Co tu się dzieje, u diabła? - ryknął Gordon. Komisarz wysunął się do przodu. Chciał, aby ludzie rozpoznali go, by nie doszło do przypadkowej wymiany ognia. Może Eckhardt miał coś na sumieniu, ale pozostali, w większości, a może i wszyscy, byli zwykłymi policjantami wykonującymi swoją pracę.

Tym razem Eckhardt posunął się za daleko. I tak by go zresztą w końcu dostali. W policji prowadzono wewnętrzne dochodzenie, ponieważ niektórzy oficerowie byli podejrzani o przyjmowanie łapówek od Grissoma. Eckhardt znajdował się na szczycie tej listy. Dni dzieliły go od chwili przedstawienia mu zarzutów. Teraz, pomyślał Gordon, oskarżenie może stać się kwestią minut.

Gordon szybko przedzierał się przez tłum. Eckhardt obserwował go, próbował sprawiać wrażenie rozwścieczonego. Ale pod zewnętrznymi oznakami gniewu Gordon wyraźnie rozpoznał strach.

Komisarz żałował, że nie wie dokładnie, o co Eckhardtowi chodzi. Zgodnie z tym, co mówił ich informator, na Napiera zastawiono pułapkę. Z pewnych powodów Grissom chciał go usunąć z drogi i postanowił wyręczyć się Eckhardtem i siłami miejskiej policji. Jakiegokolwiek były to powody, Napier stawał się niezwykle wartościowym świadkiem dla Gordona oraz dla sprawy, którą prokurator okręgowy chciał wytoczyć Grissomowi i jego kumplom.

Gdy komisarz zbliżył się, porucznik Eckhardt zaczął krzyczeć:

- Chryste, co pan chce zrobić? Uniemożliwić aresztowanie?

Ale Gordon miał dosyć Eckhardta.

- Ja tu rozkazuję. Nie Carl Grissom.

Z twarzy Eckhardta opadła maska złości; wyglądał teraz/ jak przestraszony zajęć stojący naprzeciw wilka.

Zwracając się do innych policjantów Gordon podniósł etos:

- Chcę dostać Jacka Napiera żywego. Powtarzam - każdy, kto otworzy ogień do Jacka Napiera, będzie za to odpowiadał!

Rozejrzał się wkoło. Eckhardt zniknął.

Tak chcesz grać, poruczniku, pomyślał Gordon. W każdym razie za to odpowiesz. Takim czy innym sposobem, Dent i Borg będą mieli nowe Gotham.

Komisarz wyciągnął broń i wszedł do fabryki.

“Jack, bądź zwinny. Jack, bądź szybki.”

Napier prawie roześmiał się na głos, gdy zaczął mu się kołatać po głowie dziecięcy wierszyk. Pokonał ostatnie metalowe schodki i wylądował, ciągle żywy, na betonowej podłodze Zakładów Axis Chemicals Company. Zawsze lubił dziecięce wierszyki i powiedzonka. Stamtąd brał słowa, które wypowiadał zabijając ludzi.

- Czy tańczyłeś kiedyś -

Ktoś krzyknął z drugiej strony hali. Znowu go namierzyli.

Jeszcze się z tego nie wykaraskałeś, chłopcze.

Napier rozejrzał się. Czas na drobny zwód. Musiał przebiec jeszcze kawałek.

- tańczyłeś z diabłem -

W fabryce chemicznej było mnóstwo urządzeń niosących śmierć. Nie przestawał biec. Tu przycisnął przełącznik, tam podkręcił tarczę. Wielkie maszyny eksplodowały z hukiem. Jack nie słyszał już odgłosu swoich biegnących stóp. Nie słyszał nawet świstu lecących za nim kul. Wszystko topiło się w grzmotach automatów.

- diabłem w bladym -

Skręcił za róg i zatrzymał się na chwilę, by nacisnąć następne przełączniki. Podłoga drżała od hałasu. Było tak, jakby całe to miejsce miało się rozpaść na kawałki. Jack pomyślał, że nigdy zapewne wszystkie te maszyny nie pracowały razem - aż do tej chwili. W górze kręciły się wielkie kadzie z chemikaliami, wylewając swoją zawartość do ogromnych zbiorników po obu stronach Napiera.

- w bladym świetle księżycy?

Wycie maszyn, bulgotanie kwasów, krzyk ludzi i świst kul - wszystko to razem tworzyło specyficzny rodzaj chaosu. Jackowi ten chaos odpowiadał. Z pewnością ułatwił mu ucieczkę. A kiedy już uda mu się zwinąć, będzie miał do załatwienia pewną małą sprawę.

Grissom ma w rękach policję. Policja próbuje dostać Jacka. Zamiast tego Jack dostanie Grissoma. Napier uśmiechnął się. Co za zabawny układ! Wszystko było grą.

- Czy tańczyłeś kiedyś z diabłem w bladym świetle księżycy? -

Maszyny, kule, krzyki i opary. Jeszcze nie był wolny. Jeśli się z tego nie uwolni, nigdy nie dostanie Grissoma. A to byłoby niesprawiedliwe.

To jest coś więcej niż gra, pomyślał. To jest wielki, nie kończący się żart.

Gordon czuł się jak w piekle. Wystrzały odbijały się echem od ścian łukowato sklepionej hali, górując nad ledwo słyszalnymi okrzykami złości i bólu. Powietrze śmierdziało dymem i kwasem. Hala była ogromna, oświetlona reflektorami zawieszonymi

kilkanaście metrów nad podłogą. To nie był najlepszy sposób iluminacji miejsca o takich rozmiarach. Wysoko nad ziemią światła odbijały się od rur i maszynerii, u na dole tworzyło to wszystko tylko płataninę cieni. Właściciele Axis Chemicals sądzili zapewne, że takie oświetlenie wystarczy dla nocnych dozorców. Nigdy zapewne nie podejrzewali, że będzie się tu toczyła prawdziwa wojna.

Wysoko w górze, na rusztowaniu, ktoś krzyknął. Gordon zobaczył postać upadającą na balustradę, broń wysuwającą się z bezsilnych palców. To nie był jedyny człowiek na rusztowaniu. Gordon dostrzegł dwie inne sylwetki rysujące się w światłach, odbiegające od martwego człowieka. Komisarz nie mógł się zorientować, kto wystrzelił. Przyjął, że musiał to zrobić któryś z jego ludzi.

W górze Gordon znów dostrzegł jakiś ruch, odbicie światła od metalu, żółty błysk przebijający się przez mrok. Potem usłyszał szczęk, odgłos butów uderzających o stalowe rusztowanie. Ktoś jeszcze był tam wysoko, ukryty w cieniu pomiędzy światłami.

Dwaj rewolwerowcy Napiera musieli widzieć nowego przybysza znacznie wyraźniej niż Gordon. Nie uznali go za przyjaciela. Jeden z nich rzucił się pędem w przeciwną stronę. Drugi wycelował w nowo przybyłego.

Przybysz też się posuwał naprzód. Uniósł broń i strzelał - ale nie nabojami. Gordon mógł przysiąc, że były to jakieś krótkie dzidy, bo pocisk zahaczył o marynarkę przeciwnika rozdzierając ją. Zbir stracił równowagę. Chwyając się za balustradę wypuścił z ręki pistolet. Ale i tak pośliznął się i spadł z rusztowania krzycząc. Kilka metrów nad ziemią zatrzymał się. Jego ciało oplatała lina. Lina, która zaczęła wznosić się ku górze, ku rusztowaniu - tam gdzie stał człowiek, który właśnie wszedł w krąg światła.

- O, mój Boże - wyszeptał Gordon. Teraz wyraźnie widział całą postać.

To był mężczyzna przebrany za nietoperza.

Jack czuł się tak, jakby biegł już od wieków. Musiała tu być jakaś droga ku wolności. Kierował się w odległy kraniec fabrycznego piętra z nadzieją, że znajdzie tam wyjście awaryjne.

Tuż przed nim zaczął nagle pracować jakiś silnik, którego on sam nie włączył. W odległości kilku metrów zaczęły się podnosić do góry wielkie stalowe drzwi. Jack zatrzymał się. Może to była jego przepustka do wolności?

Ale zanim drzwi zdążyły unieść się wyżej, porzucił tę myśl. Po drugiej stronie zobaczył dwadzieścia par nóg - wszystkie w policyjnych niebieskościach. Za sobą usłyszał strzały. Dokąd mógł teraz uciekać? W uszach wibrowały mu krzyki policjantów nawołujących się po drugiej stronie drzwi.

Postanowił rzucić się w stronę schodów. Jeśli nie będzie tam drzwi, to może znajdzie się jakieś okno. Gliny były już koszmarnie blisko, tuż za jego plecami.

Nagle zauważył siekierę ze sprzętu pożarowego. Może nadszedł czas na kolejną sztuczkę. Obok schodów spostrzegł zardzewiały stalowy zbiornik z trupa czaszką i puszczelami oraz napisem: UWAGA, NIEBEZPIECZEŃSTWO! SILNA TRUCIZNA!

To jest to, pomyślał Jack. Zamierzył się siekierą z całą siłą, jaką mogła mu dać adrenalina. Ostrze weszło gładko w największą łatę rdzy, jaką znalazł na zbiorniku. Kiedy wyrwał siekierę z dziury, toksyczne odpady buchnęły strumieniem na podłogę.

Policjanci rozpięchli się, objając się o siebie w panicznej ucieczce. Udało się. Jack odrzucił siekierę na ziemię i przez moment patrzył zafascynowany, jak strugi lepkiej cieczy pozerają jej trzonek. Wbiegł na schody, osłonięte przed strzałami przez dwa następne metalowe zbiorniki.

Poza odgłosami wystrzałów i jazgotem pracujących maszyn do jego uszu docierał jeszcze inny dźwięk. Szum wody. Jack zrozumiał, że znajdował się w pobliżu zaworu śluzy, w pobliżu miejsca, gdzie firma Axis Chemicals wyrzucała produkty uboczne, które zatruwały East River. Spojrzał w kierunku, skąd dochodził hałas, i dostrzegł otwarte okno.

Schody i ta część rusztowania pogrążone były w mroku. Żeby jednak dostać się do okna, musiał przebiec pod dwiema jasnymi punktówkami - prawdziwy ruchomy cel. Jednak nie widział innego wyjścia. O ile to wszystko było zartem, to nadszedł czas, by zbliżyć się do pointy. Puścił się pędem.

Już był przy oknie. Nie padł ani jeden strzał. Teraz wystarczyło tylko przeskoczyć poręcz balustrady i...

Poczuł mocny uchwyt. Ramię w czarnym ubraniu owinęło się wokół jego klatki piersiowej, sięgając do szyi. Ktoś próbował zamknąć go w cholernie mocnym uścisku.

- Jezu! - krzyknął Jack próbując się wyrwać.

- Stój! - krzyknął jakiś głos w dole.

Co teraz? Jack wpadł w rozpacz. Już się prawie wydostał. Spojrzał w dół i zobaczył, że to krzyczał stary przyjaciel Bob, wymierzywszy pistolet prosto w komisarza policji. Dobry, stary Bob.

- Puść go albo rozwalę Gordona - krzyknął Bob. Dobry, stary Bob nic marnował słów.

Jack dostrzegł w dole Eckhardta. Oczywiście! Kogóż innego mógłby Grissom wybrać do brudnej roboty? Cóż, kiedy tylko Jack wydostanie się stąd, będą mieli z grubaskiem do załatwienia pewien mały interes.

Jack poczuł, że mocny uścisk się rozluźnił. Znow stał na własnych nogach. Poprawił płaszcz, potem przeczesał ręką włosy. Poszukał wzrokiem swojego napastnika.

Wariactwo.

Facet miał około metra osiemdziesięciu, był dobrze zbudowany i miał na sobie jakby kostium nietoperza.

Może, pomyślał Jack, naprawdę był jakimś zawodowym zapaśnikiem. Nietoperz cofnął się, by obaj mogli swobodnie oddychać, ale nie spuszczał oczu z Napiera.

Jack uśmiechnął się.

- Niezły ekwipunek - zauważył.

Żadnej odpowiedzi. Czego można się było spodziewać po facecie w przebraniu nietoperza?

- Jack? - zawołał Bob. - Wychodź stąd!

Jack zobaczył trzydziestkę ósemkę leżącą na rusztowaniu. Najgorsze w takich bałaganiarskich pułapkach jest to, że ludzie wszędzie rozsiewają broń. Nagle zauważył, że Eckhardt zabiera się do wyjścia.

- Eckhardt! - krzyknął. - Pomyśl o swojej przyszłości!

Wystrzelił. Eckhardt runął na ziemię. Był martwy. Jack znał się na tych sprawach. Teraz skierował broń na Gordona.

W tym jednak momencie ów wariat w kostiumie nietoperza się poruszył. Jack rozejrzał się. Na twarzy Batmana rysowało się pytanie - pytanie albo wyzwanie. Jack uśmiechnął się. Z dobrym ekwipunkiem czy nie, nie pokrzyżujesz planów Jacka Napiera.

Strzelił do nietoperza.

Ale nietoperz nie stał nieruchomo. Zrobił coś ze swoją peleryną, jakby wyrzucił ją do przodu.

Kula odbiła się od tego cholernego kostiumu i rykoszetem ugodziła prosto w Jacka.

Napier poczuł ból w policzku. Dotknął twarzy. Na palcach zobaczył krew. Został postrzelony w policzek.

Przechylił się do tyłu. Wyleciał za balustradę rusztowania. Nie! Uczeplił się ręką za brzeg pomostu.

Spojrzał w dół. Kilka metrów niżej stała na fabrycznej podłodze bulgocząca kadź. Musiał się podciągnąć. Ale nie miał już siły. Słyszał groźny szum. Pewnie był blisko wrót śluzy. Paliła go twarz.

Palce ześliznęły mu się z rusztowania, ale uchwycił się umieszczonej pod pomostem rury. Rury okrągłej i śliskiej. Człowiek w kostiumie nietoperza ukląkł na rusztowaniu, sięgnął w dół i złapał Jacka za przegub ręki.

Jack puścił rurę, ale Batman trzymał go w górze. Nie był to jednak mocny uścisk. Jack czuł, jak palce w rękawiczkach rozluźniają się na jego przegubie. Próbował się jeszcze ratować, ale już nie miał siły. Palącymi nozdrzami czuł smród oparów. Nie zostało już nic. A więc taki był koniec żartu?

Poczuł, że jego ręka wysliznęła się z rąk Batmana.

Spadał.

Lecąc w dół krzyczał przeraźliwie.

Ten krzyk echo niosło nad nimi, gdy Napier zanurzył się w bulgoczącym szlamie.

Gordon zadrżał. Nikt, nawet Jack Napier nie powinien tak umierać.

- Do cholery! - krzyknął. - Już go mieliśmy! Ale jego ludzie nie byli tak przejęci. Skoro Napier zginął, zwrócili broń w stronę Batmana. Dwóch policjantów przedarło się ku rusztowaniu. Złapali go w pułapkę.

Cóż, pomyślał Gordon, przynajmniej będą się mieli czym wykazać po dzisiejszej nocy.

- Zatrzymać go! - rozkazał.

Batman podniósł w górę ręce. Policjanci zbliżali się doń z obu stron.

Nagle człowiek nietoperz rzucił czymś w pobliską ścianę.

Fabryczna hala rozjaśniła się światłami, jakby wybuchła niezliczona ilość fajerwerków. Gordon zasłonił oczy. Policjanci w górze zostali zupełnie oślepieni. Tam, gdzie jeszcze przed chwilą stał Batman, teraz unosił się tylko słup białego dymu.

- Patrzcie! - krzyknął ktoś, bo zza ściany dymu wyłoniła się postać zawieszona na linie uczeponiej do okna. Kilku policjantów otworzyło ogień, ale Batman wciągał się już po linie, ginąc w mroku, ponad światłami.

Policjanci przestali strzelać. Nietoperz zniknął. Ktoś krzyknął:

- Kim jest ten człowiek?

- Nie wiem - odpowiedział Gordon - ale dopóki tego nie wyjaśnimy, buzia na kłódkę.

Jego ludzie opanowali sytuację. Pozostali rewolwerowcy Napiera kolejno się poddawali. Ale Gordon widział Batmana! Ta noc przyniosła mu znacznie więcej pytań niż odpowiedzi. Choć teraz, gdy Napier i Eckhardt nie żyli, pewne sprawy nigdy zapewne się nie wyjaśnią.

Jednego tylko Gordon był pewien: zobaczy jeszcze Batmana.

Najpierw czuł tylko twarz.

Teraz paliło go wszystko. Zmusił się do myślenia. Gdzie był? Co mógł zrobić?

Jack wpadł do kadzi, ale jakaś szalona siła porwała go, razem ze ścianą wody, i na moment zawiesiła w powietrzu. Wyleciał przez służę i wpadł, kilkanaście metrów niżej, do East River. Wydawało się, że za chwilę utonie - jeśli przedtem się nie spali.

Poczuł, że trzyma coś w ręku, coś małego i twardego z czterema rogami. Otworzył oczy. Miał wodę na twarzy, wszystko go bolało, ale zorientował się, że ściska w dłoni swoją szczęśliwą talię kart.

Najpierw wysliznął mu się z ręki as pik z dziurą pośrodku. Potem następny as, dziewiątka, dziesiątka, cztery walety. Nurt rzeki unosił kartę po karcie. Zaczerpnął oddech czując, że wymyka mu się z ręki ostatnia karta z jego szczęśliwej talii.

Tą ostatnią kartą był dzoker.

5.

BATMAN UDAREMNIA NAPAD RABUNKOWY!

JACK NAPIER NIE ŻYJE!

KTO JEST ZAMASKOWANYM STRAŻNIKIEM PRAWA?

Alexandra Knoxa nic nie mogło bardziej uradować niż te tytuły. Teraz Gordon będzie musiał powiedzieć prawdę.

- Tak, panie komisarzu - rzucił Knox do telefonu. - Jeśli nie ma żadnego Batmana, to kto wrzucił Napiera do kadzi z kwasem? - Wziął do wolnej ręki mały mikrofon. - Chwileczkę, chcę mieć pana odpowiedź na taśmie.

Rozległ się głośny trzask, potem sygnał. Gordon rzucił słuchawkę. Knox uśmiechnął się. Może pan uciekać, komisarzu, ale nie ukryje się pan przed najlepszym reporterem. Wcześniej czy później odpowie pan na wszystkie pytania.

Podniósł wzrok. Gdy telefonował, do pokoju weszła Vicki. Do jego tablicy ogłoszeniowej przyczepiła serię zdjęć, które wyglądały jak jakaś mapa. Rysownik Bob zajrzał do pokoju i też przybił do tablicy swój prezent: rysunek Batmana z ręką opartą na ramieniu nieco zdumionego Knoxa. Żartownisie, pomyślał Knox, całe życie tylko żartują. Odłożył słuchawkę.

- Vicki Vale! Pozwól, że przedstawię ci Nostradamusa - zawołał, wskazując na siebie.

Vicki uśmiechnęła się i pokręciła głową.

- Spójrz na to, Allie.

Knox wstał i podszedł do tablicy. Wykorzystując robione z powietrza fotografie zmontowała mapę.

Wskazała palcem małe żółte pinezki, które umieściła na zdjęciach.

- Tu jest centrum miasta, a tu Axis Chemicals. Dotychczas Batman ukazywał się w tych miejscach oznaczonych pluskiewkami.

Knox ze zdziwieniem pokiwał głową.

- Sama to zrobiłaś? To wspaniałe!

Vicki wzruszyła ślicznymi ramionami dając do zrozumienia, że nie dokonała niczego wielkiego.

- Może Batman ma jakąś stałą trasę?

- Tak! - odpowiedział Knox z rosnącym entuzjazmem. - Dziś w nocy pójdziemy tym tropem.

Teraz Vicki uśmiechnęła się przepaszająco.

- Może jutro. Dzisiaj mam randkę z Bruce'em Wayne'em. Przepraszam.

Knox nie mógł tego znieść.

- Z Bruce'em Wayne'em? - zapytał głośniejszym głosem, niż powinien. - Randka jest wtedy, kiedy dwoje ludzi chce się sobą nacieszyć. A Bruce Wayne powinien chodzić sam, do restauracji pełnych luster!

Spojrzał na Vicki. Jej twarz była bardzo blisko jego twarzy. Nagle Knox zapomniał o wszystkim. Boże, spójrzcie na te wielkie niebieskie oczy, na te wspaniałe usta. Była tak blisko. Zamknął oczy.

Pocałowała go w czoło.

Otworzył oczy. Uśmiechała się.

- To miło, że się o mnie troszczysz - powiedziała - ale dziękuję.

Mówiąc to wyszła.

Bruce Wayne? - pomyślał Knox. Co ona mogła widzieć w tym facecie? Co on miał takiego, czego nie miał Allie Knox, może z wyjątkiem pieniędzy i wspaniałej rezydencji, i pieniędzy, i błękitnej krwi, i pieniędzy, i pozycji społecznej, i jeszcze raz pieniędzy? A teraz, chciał mieć jeszcze tę dziewczynę? To niesprawiedliwe!

Cóż, as reporterów wiedział, co robić, gdy sprawy układają się niepomyślnie. Pewne szczegóły z życia prywatnego zawsze mogą przecież przedostać się do publicznej wiadomości. Podniósł słuchawkę.

- Daj mi archiwum.

- Tu archiwum - odezwał się znudzony głos.

- Archiwum - odpowiedział Knox z energią, która mogłaby wystarczyć i dla niego, i dla apatycznej archiwistki. - Dajcie mi wszystko, co macie na temat Bruce'a Wayne'a.

Vicki zwiedziła mnóstwo miejsc na całym świecie, ale żadne z nich nie było tak cudowne jak to. Jechali konno przez pola rozciągające się za Wayne Manor. Rozgrzane letnie powietrze chłodziły pierwsze poddmuchy jesiennego wiatru, zachodzące słońce czerwieniło i złociło wszystko wokół. Było jej przykro, gdy znów w zasięgu wzroku pojawiły się stajnie. Są takie chwile, pomyślała, które nigdy nie powinny się kończyć.

Bruce ściągnął wodze wierzchowca, ciemnego ogiera z białą plamką. Vicki jechała za nim na posłusznej srokatej klaczy. Gdy zsiadli z koni, spojrzała na Bruce'a.

- Nieźle jeździsz.

Szczotkując konia uniósł z niedowierzaniem brwi.

- Konie kochają mnie. Bez przerwy z nich spadam. Może właśnie dlatego mnie kochają. Możesz zobaczyć. Jestem jednym wielkim siniakiem.

Vicki nie mogła powstrzymać śmiechu.

- Może powinniśmy zaaranżować małe oględziny? Bruce odłożył zgrzebło i odwrócił się do niej. - Zrobimy to od razu?

Vicki poczuła, że musi się wycofać.

- Żartowałam tylko - przyznała.

Bruce błysnął figlarnym uśmiechem. - Myślałaś, że mnie przestraszysz? - Zaczął iść w stronę domu. Zatrzymał się, aby mogła za nim nadążyć.

Vicki podobała się ta randka w czerwonym blasku zachodzącego słońca. Coś w tobie jest, Bruce'ie Wayne. Próbujesz być twardy i nieprzenikniony, a naprawdę jesteś bardzo, bardzo wrażliwy. Vicki pomyślała, że Wayne bardzo szybko podchwycił jej aluzję.

Często ją to przedtem spotykało. Ale u Bruce'a owo "zrobimy to od razu?" nie było grubiańską propozycją seksualną w rodzaju "no, chodź", jakiej mogła się spodziewać po Alliem Knoxie. W głosie Bruce'a zabrzmiała raczej nuta samoobrony, jakby miał coś do ukrycia.

Resztę drogi do pałacu przeszli w milczeniu. Bruce zaprowadził ją do rozległego patio na tyłach domu i posadził w krzesle przy białym stoliku. Bezszelestnie zjawił się Alfred, przynosząc butelkę szampana. Uśmiechnął się do Vicki, która odpowiedziała mu uśmiechem. Potem lokaj odszedł.

Bruce przez dłuższy czas mocował się z korkiem. Widać było, że zwykle zostawia tę czynność innym. Wreszcie korek wystrzelił i Bruce'owi udało się rozlać szampana do szklanek.

Przy drzwiach prowadzących do patio rozległo się dyskretne kasznięcie.

- Dzwonili z Towarzystwa Historycznego, aby przypomnieć panu o bankiecie - zakomunikował Alfred. - Czy mam odpowiedzieć, że pan idzie?

- Tak, oczywiście - zgodził się Bruce, nieco roztargniony. - Będę.

Lokaj odwrócił się, chcąc odejść.

- Alfredzie - zatrzymał go Bruce - jakie towarzystwo?

- Historyczne - odpowiedział Alfred.

- A, tak, dobrze - odrzekł szybko Bruce, jakby z jego oczu spadła zasłona. - Tak.

Alfred uśmiechnął się grzecznie i zniknął. Vicki spojrzała na Bruce'a.

- Alfred jest wielki.

- Bez niego nie umiem nawet znaleźć, skarpetek - potwierdził Bruce. - Jest w naszej rodzinie odkąd się urodziłem.

Skończył nalewać szampana i ziewnął.

- Nie daję ci się wyspać? - spytała Vicki z uśmiechem.

Wyglądał na onieśmiałonego.

- Przepraszam. Tyle mi teraz spadło na głowę.

- Na przykład co? - naciskała. Wydawał się jeszcze bardziej zdenerwowany.

- Po prostu interesy. Ale będę z tobą szczerzy: nudzą mnie rozmowy na mój temat. -
Podniósł szklaneczkę w jej stronę, jak przy toaście. - Opowiedz mi o sobie.

Vicki rozmyślała kołysząc na otwartej dłoni szklankę z szampanem. O czym ma mówić?

- Robię zdjęcia - zaczęła. - Ubóstwiam to zajęcie. Bez aparatu czuję się jak naga.

Kącik ust Bruce'a lekko uniół się w górę.

- Cóż, powinniśmy znaleźć dla ciebie jakiś aparat. Uśmiechnęła się.

- Mów dalej - ponaglił ją.

- Przez jakiś czas bawiłam się w fotografowanie mody - ciągnęła. - Nie było źle... Nie wiem. Ale wszystko się zmienia.

Było w tym człowieku coś takiego, że chciała mu powiedzieć, co czuje, porozmawiać z nim tak, jak nigdy nie rozmawiała nawet sama ze sobą.

- Ile masz lat? - spytała wreszcie.

- Właśnie skończyłem trzydzieści pięć - odpowiedział.

Tak myślała.

- Tobie też pewnie się to kiedyś przydarzyło. Budzisz się rano i mówisz "Hej! Wiem, kim jestem!" - Przerwała, by pociągnąć łyk szampana. - Oglądam świat przez obiektyw kamery. Widzę różne rzeczy. Właśnie rzeczy. Nie tylko długie nogi i wspaniałe spódnice. Rozumiesz?

- Nie jestem pewny - odpowiedział.

- Cóż. - Ze wzruszeniem ramion odstawiła kieliszek. - Po prostu zabrałam się i wyjechałam.

- Co widziałaś? - nie ustępował Bruce. Vicki westchnęła.

- Mnóstwo hoteli. Trochę terroru. Kiedyś trochę miłości w świetle księżyca.

- Trochę terroru - powtórzył wolno Bruce rozważając każde słowo. - Trochę miłości.

- I chyba nigdy nie byłam we właściwym miejscu o właściwym czasie.

Bruce nie znała/ł na to żadnej odpowiedzi. Patrzył na swoją posiadłość i na ostatnie promienie zachodzącego słońca.

Jak dotąd, zauważyła Vicki, rozmawiali tylko o niej.

- A pan stara się być nieprzenikniony, panie Wayne - zaryzykowała. - Czuję, że tu też się wiele dzieje.

Spojrzał na nią.

- Och, chyba nie.

- No dalej - namawiała spokojnie. - Powiedz, o czym myślisz.

Jeszcze przez chwilę milczał.

- Myślałem o tym, jak pięknie wyglądałaś na koniu... i że tak miło jest mieć obok siebie kogoś takiego jak ty.

To tak łatwo powiedzieć, pomyślała Vicki. A jednak zrobiło jej się ciepło w środku.

- Słuchaj - powiedziała z uśmiechem. - Ja naprawdę mam nadzwyczajne oko. - Wyciągnęła rękę w jego stronę.

- Nawet dwoje - odpowiedział. Wziął jej dłoń w swoje. Oboje oglądali zachód słońca, marząc, by nigdy się nie skończył.

Wypiła trochę za dużo szampana. Musiała zawisnąć na ramieniu Bruce'a, aby nie upaść. Jak kobiety mogą pić i chodzić na wysokich obcasach?

Poprowadził ją ku wejściu do Wayne Manor. Olbrzymi hol pomieszczenia miał wielkość całej redakcji Gotham Globe. Wszędzie było bogato i nierealnie.

Ledwo wchodziła po schodach.

- Czuję się, jakbym była w Paryżu w latach trzydziestych - zachichotała. - Czy to ładnie? Ja jestem kompletnie pijana, a ty nawet...

Znów prawie straciła równowagę, ale Bruce w porę ją podtrzymał. Pewnie wsadzi ją w samochód i odeśle do domu. Był dżentelmenem. To właśnie problem Vicki. Zawsze trafiała na dżentelmenów.

- Ja? Po dwóch kieliszkach latam - przyznał. Spojrzała na niego, bezpieczna w jego ramionach.

- Dlaczego boisz się latania? - wyszeptała. W końcu się pocałowali.

Jack niewiele mógł zobaczyć poprzez bandaże. Nie miał zresztą specjalnie ochoty rozglądać się po tym chlewie. Wystarczająco długo napatrzył się przez popękane okna, naczytał bazgrołów na ścianach. Z przyjemnością będzie stąd wychodził. Taka dziura nie nadaje się nawet dla szczurów.

Dr Davis krzątał się koło swoich przestarzałych instrumentów. Zawsze krzątał się koło czegoś. To było łatwiejsze niż rozmowa z pacjentami. A przecież Davis wyjął już przedtem z Jacka kilka kulek i obaj - zarówno pacjent, jak i lekarz - przeżyli te operacje. Kiedy człowiek się ukrywa, taki szarlatan jak Davis jest najlepszy.

W końcu doktor się odwrócił. Na jego twarzy nerwowy skurcz walczył z nieszczerym uśmiechem.

- No, zobaczymy, czegośmy dokonali.

Powoli, bardzo powoli rozciął bandaże i zdjął warstwę gazy. Potem cofnął się, z trudem złapał powietrze. Uśmiech zniknął z jego twarzy, w oczach pojawił się strach.

Jackowi nie spodobała się jego reakcja.

- Lustro - rozkazał.

Doktor stał w miejscu z otwartymi ustami.

- Lustro! - powtórzył Jack.

Da vis odchrząknął i szybko podniósł ze stołu ręczne lusterko. Podał je. Ręka lekarza tak bardzo się trzęsała, że Jack przez minutę nie mógł złapać trzonka lustra. Potem przysunął je do twarzy.

O, Boże!

Lustro wypadło mu z rąk i roztrzaskało się na podłodze. Jack usłyszał cichy szloch, który musiał wyjść z jego własnego gardła.

- Pan... pan rozumie, że nerwy były kompletnie zniszczone, panie Napier - wyjaśnił pośpiesznie Davis.

Jack zaczął się śmiać.

Doktor schował się za stół, stukając przestarzałymi chirurgicznymi narzędziami.

- Widzi pan, jak musiałem się nad tym napracować...

Jack śmiał się coraz głośniej. Doktor zasłonił twarz, bojąc się na niego spojrzeć.

- Jestem pewny - mruknął - że dobrze przeprowadzona operacja płas... płas...
plastyczna...

Jack nie mógł już tego znieść. Wyszedł z gabinetu Davisa, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Śmiał się i śmiał, a przeraźliwy odgłos jego śmiechu odbijał się echem po korytarzach budynku.

Mylił się. Żart jeszcze się nie skończył.

On się dopiero zaczynał.

Boże, co za dzień! Był już na to wszystko za stary. Pomyślał, że gorący prysznic pomoże mu, ale naprawdę nie znosił już tych telefonów, tego chodzenia, załatwiania spraw, awantur. Strata "prawej ręki" jest wielkim problemem. Musiał od nowa budować całą organizację.

Grissom zakręcił kurek i sięgnął po ręcznik. Szkoda Jacka, ale nikt nie wiedział tak dobrze jak on, co się dzieje, kiedy człowiek wystąpi z szeregu. Carl Grissom nie byłby tu, gdzie jest, gdyby był miłym chłopcem.

Usłyszał, jak w pokoju obok otwierają się drzwi windy i ktoś siada z westchnieniem w jednym z miękkich foteli. Pewnie Alicja wróciła ze swojej codziennej hulanki zakupowej. Gdyby to był ktoś inny, goryle daliby mu znać.

- To ty, słodki bąbelku? - zawołał Grissom. Nie odpowiedziała. Była pewnie zbyt pochłonięta oglądaniem tego, co kupiła. Owinął duży ręcznik dookoła talii i sięgnął po drugi, mniejszy - do wysuszenia włosów.

Potem wszedł do pokoju.

Alicji nie było w fotelu, w którym zwykle odpoczywała. Grissom rozejrzył się. Ktoś siedział przy jego biurku, ktoś całkowicie zasłonięty płaszczem przeciwdeszczowym, szalem i olbrzymim kapeluszem. Ten ktoś nie wyglądał na Alicję.

- Kim jesteś, do diabła?

- To ja - odpowiedziała sucho zamaskowana postać. - Twój słodki bąbelek.

Grissom poznał ten głos.

- Jack?

Mężczyzna chyba skinął głową. Grissom nie widział tego dokładnie. Powiedzieli mu, że został postrzelony, a potem wpadł do kadzi z kwasem. Jak mógł przeżyć? I czego teraz chciał?

Grissom postanowił zatrzeć ślady.

- Dzięki Bogu żyjesz - odezwał się z taką szczerością w głosie, na jaką mógł się zdobyć. - Słyszałem, że zostałeś...

- Ugotowany - zgryźliwie przerwał mu Jack. - To słyszałeś, prawda?

Jack wstał. Grissom zastanawiał się, co mógłby powiedzieć, aby kontrolować sytuację. Grissom zawsze kontrolował sytuację. Ale teraz był z tą kontrolą pewien drobny problem - Jack mógł mieć pistolet.

- Wrobiłeś mnie - Jack powoli wypluwał z siebie słowa. - I o co chodziło? O dziewczynę. Musiałeś zwariować.

Nie, Jack, pomyślał Grissom. To nie ja tu jestem wariatem. Słyszał bicie swojego serca, zbyt szybkie. Takie przeżycia nie są dobre dla kogoś w wieku Grissoma. Podszedł do rogu biurka. Gdyby tylko mógł sięgnąć do szuflady...

- Nie warto - zauważył Jack.

Grissom zatrzymał się i spojrzął na pistolet wymierzony w swój brzuch. Tym razem Jack mówił poważnie.

- Twoje życie nie będzie warte splunięcia - oświadczył Grissom.

- Już raz byłem martwy - odpowiedział trzeźwo Jack. - To działa wyzwalające. Jak najlepsza psychoterapia.

Jack podniósł pistolet mierząc w serce Grissoma. Grissom nie mógł do tego dopuścić. Napier musi posłuchać zdrowego rozsądku. W końcu Grissom wychodził już z gorszych opresji.

- Posłuchaj, Jack. Ubijemy interes. Pistolet nie drgnął.

- Jack? Jack nie żyje, przyjacielu. Możesz mnie nazywać Dżokerem.

Potem "Dżoker" zdjął płaszcz i kapelusz. Grissom pożałował, że to zrobił. Trudno było w nim rozpoznać Jacka Napiera. Miał kredowobiałe ciało i włosy zielone jak sztuczna

darń. Ale najstraszliwiej wyglądały usta. Coś się musiało stać w czasie wypadku. Jack miał wargi zbyt czerwone w stosunku do reszty skóry i wykrzywione w nigdy nie znikającym grymasie uśmiechu.

- Jak widzisz - powiedział - teraz jestem dużo szczęśliwszy.

Zachichotał. Naprawdę zwariował, ale gdy zdejmował przebranie, opuścił lufę pistoletu w dół. Grissom wiedział, że to była jedyna szansa.

Rzucił się do szuflady biurka; chichot Jacka przeszedł w głośny śmiech. Ten śmiech jeszcze spotężniał, gdy Jack podniósł broń i strzelił. I jeszcze raz. I jeszcze.

Bruce Wayne nie mógł spać.

Zakochał się w najgorszym momencie.

Spojrzał na kobietę śpiącą obok niego na olbrzymim łóżku. Była niezwykła: mądra, inteligentna i bardzo piękna. Jej włosy rozsypały się na poduszce i lśniły w świetle księżyca. Miała zamknięte oczy i lekko rozchylone usta. Wyglądała wręcz niewinnie. Sen budzi dziecko w każdym z nas, pomyślał. Wyglądała jak przedrafaelowski obrazek. W blasku księżyca była jeszcze piękniejsza niż w poświacie zachodzącego słońca.

Dlaczego właśnie teraz musiała zjawić się w jego życiu? Po tej całej ciężkiej pracy, po wszystkich postanowieniach i wyrzeczeniach?

Być może, pomyślał Bruce, to właśnie odpowiedź. Może ten tryb życia, który sobie narzucił, ten cel, który wyznaczył, te poszukiwania, które przedsięwziął - może to było za dużo na jednego człowieka? Każdy ma jakieś potrzeby. Im bardziej próbuje się je wyeliminować, tym częściej wracają, w taki czy inny sposób.

Vicki Vale odpowiadała wszystkim jego pragnieniom.

Zegar stojący w holu wybił godzinę czwartą. Bruce spojrzał na przegub: zegarek też pokazywał czwartą. Spokojnie wyszedł z łóżka.

Była taka piękna.

Lecz miał sprawy do załatwienia.

Podszedł do okna i spojrzał na księżyc.

Czy tańczyłeś kiedyś z diabłem w bladym świetle księżyca?

Szkoda, że nie miał szansy powiedzieć tych słów Grissomowi. Zamiast tego zużył wszystkie naboje. No cóż. Życie Dżokera dopiero się zaczęło.

Dżoker siedział w mroku. W ten sposób nie patrzył na ciało Grissoma, zwinięte w rogu pokoju. Ktoś będzie musiał je uprzątnąć, ktoś, komu można zaufać. To największy problem, gdy jest się mistrzem zbrodni. Te wszystkie drobne szczegóły.

Grissom zostawił mu niebrzydkie biuro. W pewnych sprawach szef miał dobry gust. Co za widok, całe miasto w dole, przed oczami tysiące migocących świateł. A nad głową - księżyc, osobista nocna latarnia.

Dżoker westchnął zadowolony.

- Gotham. To zawsze wywołuje na mojej twarzy uśmiech.

Rzucił okiem na biurko. W Gotham Globe zobaczył nagłówek, dostatecznie duży, by można go było odczytać przy świetle księżyca: "SKRZYDLATA ZJAWA TERRORYZUJE GANG Z GOTHAM!"

To miło, że Grissom zostawił mu tę gazetę. Jest może trochę pobrudzona krwią, ale daje się czytać. Podniósł gazetę i zanucił wesołą melodyjkę.

- Uważaj, Batmanie - zachichotał radośnie. - Zaczekaj, aż o mnie usłyszysz.

Czy ten facet miał zamiar spać wiecznie? I dlaczego wyszedł z łóżka i przeniósł się na sofę?

Vicki była prawie ubrana, a Bruce przewracał się tylko z boku na bok i mruczał coś niezrozumiale.

Gdy przeszła obok, przewrócił się raz jeszcze. Z wysiłkiem otworzył jedno oko.

- Bruce - powiedziała łagodnie Vicki - jestem już spóźniona, ale mam dla ciebie propozycję.

Zamrugnął oczami i usiadł. Właściwie, pomyślała Vicki, obudził się dosyć szybko.

- Jutro zapraszam cię na lunch - wyjaśniła. - Pokażę ci trochę moich zdjęć. - Wyciągnęła z torebki szczotkę i zaczęła czesać włosy. - Przyjdziesz?

Bruce wyprostował się i przez chwilę uśmiechał się do niej. Potem na jego twarzy pojawiło się z wąpienie.

- Oczywiście. Och, nie... ja... nie będę mógł. Przestała się czesać i spojrzała na Bruce'a.

- Czy coś jest nie w porządku?

Pokręcił gwałtownie głową, jakby chciał wypłatać się z pajęczyny.

- Nie... ja... mam bardzo ważne spotkanie. Odłożyła szczotkę.

- Cóż... to może później?

- Nie... ja... muszę wyjechać z miasta na kilka dni. Vicki uniosła brwi. Każda jego odpowiedź wydawała się bardziej niepewna od poprzedniej.

- To może jak wrócisz - powiedziała w końcu. Zamknęła torebkę i spróbowała się uśmiechnąć. Była to więc tylko jednonocna przygoda.

- Cześć - odezwała się nieco głośniej niż przedtem. - Muszę iść. Do zobaczenia.

Pocałowała go lekko w policzek i wyszła.

- Tak - odpowiedział cicho. - Do widzenia. Ale ona zdążyła już odejść.

W końcu korytarza spotkała Alfreda. Lokaj otworzył przed nią drzwi.

- Miło znów panią widzieć, panno Vale.

- Tak - Vicki uśmiechnęła się do tego najbardziej uprzejmego ze wszystkich dżentelmenów. - Pewnie zobaczymy się znów, kiedy wrócicie.

- Wrócimy, proszę pani? - spytał Alfred z uprzejmym zdziwieniem. - Sądzę, że w najbliższym czasie nigdzie się nie wybieramy.

- Och - odpowiedziała Vicki, a uśmiech nagle zniknął z jej twarzy. - No, nic. Do zobaczenia.

Wyszła i zaczęła oddalać się od swojej jednonocnej przygody w Wayne Manor. Tyle pozostaje z marzeń, w które zamieszani są milionerzy - playboye.

Po raz pierwszy od bardzo dawna znalazł się w apartamencie Alicji. Nic się tu nie zmieniło na lepsze. Ale Dżoker miał pomysł na kilka drobnych ulepszeń.

Alicja była już w domu, lecz nie zauważyła go. W sąsiednim pokoju /ujęta była swoimi paczkami i torbami pełnymi zakupów. Wreszcie stanęła w drzwiach:

- Kochanie! - zawołał.

Odwróciła się. Rzuciła paczki. Zaczęła krzyczeć.

Czy tak się wita z kochankiem? Bo oto był, w luźnej kurtce i pantoflach, z kieliszkiem martini pod ręką. Czytał popołudniową gazetę czekając, aż Alicja wróci do domu.

No cóż. Może drobna konwersacja roztopi lody.

- Nie uwierzyłybyś - zażartował - co mi się dzisiaj przydarzyło.

Alicja upadła na podłogę zemdlona.

Być może, pomyślał Dżoker, będzie musiał włożyć w ich wzajemne stosunki nieco wysiłku.

Tak to powinno być! Ludzie Grissoma w jednej dużej sali, a Dżoker u szczytu stołu konferencyjnego.

- A więc tak teraz będzie, panowie - podsumował Dżoker. - Aż do ponownego pokazania się Grissoma ja jestem urzędującym prezesem. I mówię, że zaczynamy od Święta Dwóchsetlecia Gotham i zrównamy to miasto z ziemią!

Ludzie Grissoma zaczęli szeptać między sobą. Dżoker miał nadzieję, że docenią jego wysiłki. Poniósł dużo ofiar, żeby poprowadzić to spotkanie. Najpierw zadał sobie sporo trudu, by znaleźć szminki w kolorze skóry i zrobić makijaż przykrywający jego trupią błądź. Potem musiał położyć czarną farbę na swoje zielone włosy. Wszystko po to, żeby na to jedno ważne popołudnie wyglądać jak Jack Napier. Nic oczywiście nie mógł zrobić z nowym czarującym uśmiechem, ale czyż taki wspaniały uśmiech nie czyni życia przyjemniejszym?

Dżoker czekał na decyzję gangu. Och, znajdowali się za stołem tacy, jak księgowy Luce, którzy byli przestraszeni od chwili, gdy weszli do pokoju. Ale byli i inni, jak Vinnie Ricorso, którzy chcieli myśleć samodzielnie i mogli zakwestionować decyzje Dżokera.

Dzoker pozwolił sobie na ciche westchnienie. Dlaczego w życiu zawsze roiło się od Vinnie Ricorsów?

- Dlaczego Grissom nie powiadomił nas o tym osobiście? - zapytał Ricorso.

Carmine Rotelli siedział przy drugim końcu stołu. Rotelli zawsze zdobywał się na odwagę, jeśli ktoś zdobył się na odwagę przed nim.

- Skąd się wziął twój głupi uśmieszek? - spytał Rotelli.

- Życie jest dla mnie dobre - odpowiedział Dzoker. Ale ta odpowiedź nie wystarczyła Rotellemu.

- A jeśli powiemy nie? - sondował dalej. Dzoker był na to przygotowany. Przywódca powinien być gotów na wszelkie ewentualności.

- Nikt nie chce wojny, Carmine - odpowiedział gładko. - Jeśli nie możemy zrobić interesu, podamy sobie ręce i po wszystkim.

- Tak? - spytał Rotelli z pewnym niedowierzaniem.

- Tak - powiedział Dzoker. Nadszedł czas na demonstrację. Wyciągnął rękę.

Rotelli wstał i podał rękę Dzokerowi. Uścisnęli sobie dłonie.

Szkoda, że Dzoker nie wspomniał Rotellemu o napięciu.

Czterdzieści tysięcy woltów przepłynęło przez ciało Rotellego. To co po nim zostało, upadło na krzesło. Z resztek rękawów i kołnierzyka unosił się dym.

Dzoker używał wszystkiego w najlepszym gatunku.

Drzwi w tyle otworzyły się gwałtownie i do sali wmaszerowała osobista armia Dzokera w strojach lepszych niż ci, którzy siedzieli wewnątrz. Oczywiście fakt, że Dzoker sam zaprojektował te kolorowe kostiumy, miał wiele wspólnego z ich stylowością.

Dzoker uśmiechnął się do starego, dobrego Boba, swojej prawej ręki. Potem wyjaśnił:

- Carmine zrobiło się gorąco pod kołnierzykiem.

- Jesteś chory! - wykrzyknął Ricorso. Zdawało się, że chce wyjść.

Dzoker był rozczarowany. - Nie słyszałeś o uzdrawiającej sile śmiechu? - Zaczął się śmiać.

- A teraz wynoście się stąd! - powiedział do oprychów Grissoma. - I pomyślcie nad tym, co mówiłem.

Chłopcy Dżokera odprowadzili wychodzących, Dżoker wziął do ręki egzemplarz Globe i dał znak Bobowi, żeby został.

- Bob - odezwał się Dżoker rzeczowo - chcę, abyś wziął aparat i poszedł za tym reporterem Knoxem. Dowiedz się, co on wie o Batmanie. Musisz nauczyć się wykorzystywać ludzi, Bob.

- Tak jest, proszę pana - odpowiedział Bob. Dobry, stary Bob. Zawsze używał właściwych słów.

Bob wyszedł. W pokoju nie było nikogo oprócz Dżokera i zwęglonego ciała Rotellego. Może nadszedł czas, pomyślał Dżoker, na krótką rozmowę.

Odwrócił się do Rotellego.

- Twoi kompani nie są tacy źli. Co powiesz na to, żeby dać im kilka dni?

Przerwał. Musiał dać Rotellemu szansę na odpowiedź.

- Nie?

Dżoker nie wierzył własnym uszom.

- Od razu ich załatwić? Cóż, jeśli tego chciał.

- Dobrze.

Dżoker pokręcił głową.

- Jesteś parszywym draniem, Rotelli. Cieszę się, że nie żyjesz.

7.

To musiało być gdzieś tutaj. WARNER... WATSON... WAXMAN był ostatnią teczką w szufladzie. Gdzie ona się podziała?

Jakaś dłoń dotknęła lekko ramienia Vicki. Dziewczyna obejrzała się. Jej wzrok padł na brązową teczkę zatytułowaną: "WAYNE, BRUCE".

Allie Knox uśmiechnął się do niej. Wyrwała mu teczkę z rąk. - Właśnie tego szukam.

Teczka była bardzo cienka.

- Myślałem, że pracujemy razem. - Knox potrząsnął głową. - Tracę do ciebie zaufanie - spotykać się z takim świrem!

Otworzyła teczkę. Nie było w niej prawie nic. "Bruce Wayne uczestniczy w zbiórce na cele dobroczynne". "Bruce Wayne przyczynia się do otwarcia nowego sierocińca". Takie materiały nie mogły jej usatysfakcjonować.

- Mam dość. - Spojrzała w górę na Knoxa. - Mówisz to jako zawodowiec? Czy jest to dla ciebie sprawa osobista?

- Chcę tylko, żebyś robiła swoją robotę - odpowiedział Knox wycofując się.

- Robię swoją robotę!

Mężczyźni! Vicki nie pamiętała, kiedy ostatni raz była taka zła.

- Ja też - upierał się Knox. - Chronię moją partnerkę. Ten facet kolekcjonuje dziwaczne rodzaje broni z Japonii! Pewnie przejeżdża po żeńskiej populacji jak buldożer.

Vicki uderzyła pięścią w teczkę.

- Gdzie jest to powiedziane, Knox? W materiałach jest tylko hałaśliwa, głupia reklama. Nie ma zdjęć. Nie ma faktów. Niczego. To dziwne! Skąd on bierze pieniądze? Co robi przez cały dzień? Kim jest?

Cisnęła teczką o podłogę i jak burza wybiegła z pokoju.

- A kogo to obchodzi? - zawołał za nią Knox. Ją obchodziło. Zrozumiała to, gdy zamknęła za sobą drzwi. Bardzo, bardzo ją to obchodziło.

Jeśli trzeba, będzie czekała wieki. Zaparkowała samochód jedną przecznicę za Wayne Manor. Wcześniej czy później coś się zdarzy. Miała takie samo uczucie, jak wówczas, gdy robiła zdjęcia w Corto Maltese i zaraz miało rozpętać się piekło.

Kim był Bruce Wayne? Gdyby nie była tak przygnębiona, kiedy po raz pierwszy oglądała jego teczkę w Globe, pewnie zauważyłaby, że coś jest nie w porządku. Ale wszelkie braki wyjaśniła sobie niedbałością archiwistów albo faktem, że najciekawsze kawałki zatrzymał dla siebie Allie Knox.

Potem wykorzystała swoje kontakty i spotkała się ze znajomymi: z dziennikarzem sportowym (jej była sympatią), który pracował dla konkurencyjnego Gotham Herald oraz z prezenterką wieczornych wiadomości, z którą zaprzyjaźniła się w ciągu tych lat, gdy robiła modę. I przestała myśleć, że brak informacji o Bruce'ie daje się tak łatwo

wytłumaczyć. Wyglądało to raczej na celowe działanie. Akta Wayne'a w Gotham Herald były tak samo skromne i pozbawione informacji jak te w Globe. Znalazła w nich tylko krótkie wzmianki; nie było również żadnych zdjęć. Ale kielich przepełnił się w studiu telewizyjnym. W zbiorach brakowało videokaset z Bruce'em Wayne'em, mimo iż przyjaciółka Vicki przysięgała, że jej wieczorne wiadomości setki razy obsługiwały wydarzenia, w których Wayne brał udział.

Milioner-playboy, który każdego wieczoru zadawał się ze sławnymi i bogatymi ludźmi, i któremu nigdy nie zrobiono zdjęcia? Takie rzeczy się nie zdarzały. Pewnie świadomie unikał wszelkich sposobności fotografowania się. A jeśli nawet, to zawsze ktoś taki jak Vicki robi ci portret w momencie, kiedy najmniej się tego spodziewasz. Co potem można poradzić?

Wyobraziła sobie, że jeśli ktoś ma pieniądze Bruce'a Wayne'a, to zawsze może wykupić zdjęcia zrobione przez fotoreporterów i operatorów telewizji chcących zarobić trochę na boku. Ale dlaczego?

Allie Knox miał rację w jednej sprawie: Bruce Wayne był koszmarnym dziwakiem. Vicki zorientowała się, że im bardziej stara się czegoś o nim dowiedzieć, tym mniej wie. Że otoczona jest tajemnicą, która może ją pożreć.

Kim był Bruce Wayne? Może zaczęła się tym zajmować z dumy, ale teraz już prawdę kazał jej wyświetlić instynkt dziennikarski.

Bruce zbliżył się do niewłaściwej kobiety. Cokolwiek ukrywał, nie pozostanie to długo tajemnicą.

Z bramy Wayne Manor wyszedł człowiek ubrany w długi czarny płaszcz. Pomyślała, że może to jakiś robotnik. Spojrzała przez teleobiektyw.

To był Bruce, choć nie ubrany jak milioner-playboy. Zatrzymał się na chwilę, by włożyć słoneczne okulary, po czym ruszył w stronę centrum miasta, ot, zwykły robotnik z długą i wąską paczką pod pachą.

Jeszcze jedna tajemnica, pomyślała Vicki. Wzięła aparat z teleobiektywem i wysiadła z samochodu. Zatrzymała się, by zamknąć drzwi - nawet w tej okolicy lepiej było uważać - po czym ruszyła w kierunku, w którym poszedł Bruce.

Szła za nim od godziny.

Po dziesięciu minutach wyszli z wytwornej dzielnicy, w której położony był Wayne Manor. Znaleźli się wśród małych domków z wypielegnowanymi trawnikami, jakie zamieszkuje zwykle klasa średnia. Potem były domy dwu - i trzypiętrowe, a wreszcie kamienice coraz większe i większe. Jeszcze dziesięć minut i dzielnica zrobiła się naprawdę koszmarna. Część domów było opuszczonych, wszędzie straszyły powybijane okna. Na rogach ulic i na pustych parcelach piętrzyły się stosy śmieci. Nigdy przedtem nie przypuszczała, jak blisko było z Wayne Manor do tej części miasta. Ale tak się żyło w wielkim mieście - można było mieszkać przy najlepszej ulicy, a za rogiem czaiła się bieda.

Szła za Bruce'em próbując dostosować się do jego tempa. Nie chciała podchodzić zbyt blisko, ale też musiała trzymać go w zasięgu wzroku. Bruce ani razu się nie obejrzał. Cokolwiek robił, był 'tym całkowicie zaabsorbowany.

Teraz zaczęli ją zaczepiać miejscowi - na jej widok rozlegały się dzikie gwizdy, prośby o randkę i inne, nie całkiem uprzejme. Młode kobiety zazwyczaj nie zapuszczały się samotnie do tej części miasta. A jednak nie czuła niebezpieczeństwa. Mogli co najwyżej rzucić się na aparat. Schowała więc go do torby i szła z podniesioną głową. Nie przypuszczała, by zrobili jej coś złego w środku dnia, na oczach przechodniów. A gdyby nawet ktoś chciał ją zaatakować, to nauczyła się samoobrony w Corto Maltese.

Martwiła się raczej, że Bruce usłyszy zaczepki i odwróci się. Ale on wciąż szedł naprzód, całkowicie pochłonięty swoimi sprawami.

Nagle skręcił w zaułek. Vicki przyspieszyła kroku, by nie stracić go z oczu. Poznała tę okolicę. Znajdowali się w pobliżu Siódmej Ulicy, niedaleko od centrum miasta.

Zatrzymała się na rogu i zrobiła krok do tyłu. Ulica była ślepa. Bruce przystanął i wpatrywał się w trzy ceglane ściany, które go otaczały. Spojrzał w niebo. Torując sobie drogę wśród toreb ze śmieciami i zniszczonych pudeł, kopnął na bok kilka puszek.

Vicki podniosła do oczu aparat. Skorzystała z teleobiektywu, aby przybliżyć sobie cel.

Bruce odwinął swój pakunek. Wyciągnął coś. Odwrócił się bokiem. Vicki zobaczyła, że trzyma w rękach dwie róże na długich łądogach.

Trzasnęła migawka.

Bruce ukląkł twarzą do ściany i położył róże na brudnym, zniszczonym asfalcie. Wyglądało to tak, jakby składał ofiarę w świątyni.

Vicki ponownie zwolniła migawkę.

Bruce wstał, kopnął jakąś puszkę. Zawrócił. Musiała się ulotnić.

Schowała się za stertą śmieci, więc jej nie zauważył. Ciągle jeszcze był pogrążony w swoim osobistym świecie, który go tu przywiódł. Szedł w stronę głównego placu miasta. Vicki, w bezpiecznej odległości, ruszyła za nim.

Kiedy znów znalazł się w polu jej widzenia, ktoś szedł obok niego. Przyjrzała się. To był uliczny mim, z pomalowaną na biało twarzą, w dziwacznym kostiumie w paski. Vicki uniosła ze zdziwieniem brwi. Mim pokazywał swoje sztuczki - szedł wzdłuż wyimaginowanego muru. Nie był zbyt dobry. Ona zresztą nigdy nie interesowała się ulicznymi komediantami.

Przy stopniach ratusza zebrał się tłum. Bruce zawahał się, przystanął patrząc na cizbę. Vicki podeszła bliżej, żeby lepiej widzieć, ale nie spuszczała wzroku ze swojego obiektu.

Tłum przesunął się nieco, mogła więc zobaczyć, co działo się w środku. Był tam jeden z miejscowych przywódców gangu - Ricorso. Otaczali go muskularni goryle, wśród których stał jakiś gładki, dobrze ubrany facet, zapewne adwokat. Zauważyła, że resztę tłumy tworzyli reporterzy. Był wśród nich także Allie Knox.

Obejrzała się. Tam, gdzie jeszcze przed chwilą stał Bruce, teraz nie było nikogo.

- Co oznacza oświadczenie, które pan złożył? - spytał dziennikarz. - Grissom przekazał panu wszystkie swoje interesy?

Ricorso, zanim odpowiedział, spojrzał na adwokata. - Pan Grissom poprosił mnie, abym mu oddał osobistą przysługę i do czasu jego powrotu przejął pieczę nad wszelkimi operacjami.

- Jezu! - zawołał Knox - niezły podarunek.

Musiał pan być z Grissomem zaprzyjaźniony. Pewnie chodziliście do tej samej szkoły.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Ricorso parsknął szyderczo.

- Czuję pismo nosem, chłopcy - dodał Knox. - Jestem pewien, że tak właśnie było.

Vicki rozejrzała się. Spuściła Bruce'a z oczu tylko na chwilę i teraz nie mogła go odszukać wśród zaaferowanego tłumu. Zauważyła natomiast okropnie dużo ulicznych mimów. Było ich przynajmniej sześciu. Wchodzili na niewidzialne schody, mocowali się z wiatrem, robili swoje zwykłe sztuczki. Vicki zastanawiała się, czy przypadkiem trafiła na jakąś specjalną okazję.

Podeszła do Knoxa. Byli tam i inni reporterzy. Jeden z nich zrobił im zdjęcie. Allie skinął jej głową na powitanie. Teraz mówił adwokat:

- Mamy świadków. - Użył oficjalnego tonu. - Podpis Grissoma jest całkowicie prawdziwy.

- Jest autentyczny - wrzasnął jakiś głos przekrzykując dziennikarzy. - Widziałem go! Byłem tam!

Jeden z mimów przebił się przez tłum reporterów. Miał białą twarz i krwistoczerwone wargi.

- Widziałem wszystko - powiedział. - Podniósł martwą rękę, i podpisał papiery własną krwią! A zrobił to tym piórem! - Sięgnął do kieszeni i wyciągnął gęsie pióro, które musiało mieć z metr długości. Uśmiechnął się do Ricorsa. Gangster zrzucił mu z głowy kapelusz odsłaniając zielone włosy.

- Hallo, Vinnie! - zaszczębiotał radośnie mim. - To ja, twój wujek Bingo! Czas, żebyś zapłacił rachunek!

I cisnął piórem z ostrym zakończeniem prosto w szyję Ricorsa. Ricorso upadł na ziemię, kurczowo ściskając przedmiot, który przebił mu gardło.

Ktoś krzyknął. Dziennikarze rozpierzchli się, gdy inni mimowie wyciągnęli z toreb karabiny maszynowe i zaczęli strzelać w powietrze.

Vicki dała nura za zaparkowany samochód. Znów Corto Maltese. Knox był tuż za nią. Spojrzała za siebie, na plac. Pośrodku, jak w transie, stał nieruchomo Bruce Wayne.

Vicki machała na niego ręką ze swojej kryjówki.

- Bruce! Padnij!

Bruce zachowywał się tak, jakby jej nie słyszał. Zaczął iść, najpierw powoli, potem coraz szybciej, w kierunku mima, - który rzucił śmiercionośne pióro.

Mim roześmiał się i oddalił w przeciwną stronę. Tuż przed nim zatrzymał się z piskiem samochód. Mim spokojnie otworzył drzwi i wszedł do środka. Samochód odjechał.

Pozostali mimowie wskoczyli do innych samochodów i w chwilę później już ich nie było. Szybkie auta zniknęły w oddali. Ktoś krzyknął, a potem zapanowała cisza.

Vicki wybiegła z kryjówki.

- Bruce? - zawołała.

Wydawało się, że jej nie słyszy. Podbiegła bliżej. W końcu się odwrócił. Po twarzy spływał mu pot. Jego oczy przypominały dwie głębokie dziury, jakby nie spał przez miesiąc. Ale najbardziej zdziwiło ją to, że na dnie tych oczu czaił się ból i strach jak u małego chłopca, który stracił wszystko, co kiedykolwiek posiadał.

- Przepraszam, Vicki - wyszeptał. Odwrócił się i zmieszał się z tłumem.

- Bruce! - zawołała, ale już go nie było.

8.

PROSTO Z MIEJSCA ZDARZEŃ!

Burmistrz Borg i nowy prokurator okręgowy, Harvey Dent, wyglądali na zmieszanych. Próbowali ukryć to zmieszanie, ale prezenterka dziennika podsunęła mikrofon pod usta burmistrza.

- Czy wojna gangów zniweczy plany uroczystych obchodów dwóchsetlecia miasta?

- Festiwal odbędzie się - huknął burmistrz. - Policja przywoła gangsterów do porządku!

Cóż, dziękuję, panie burmistrzu. Zawsze dobrze zaspokoić ciekawość.

- Panie Dent - ciągnęła prezenterka - co pan myśli o hipotezie, że to tajemniczy Batman jest pogromcą gangów?

- Co?

Obraz telewizora aż zadrżał, gdy Dżoker zaczął krzyczeć z wściekłości.

- Batman? Batman! Czy ktoś mógłby mi powiedzieć, co to 7.3 świat, w którym jakiś facet przebrany za nietoperza zabiera mój czas ekranowy! - Otworzył zatrzaski i wyjął olbrzymią rękawicę bokerską z tego, co jeszcze przed chwilą było ekranem telewizora. - To miasto wymaga lewatywy!

Rzucił telewizor z rękawicą na podłogę i zeskoczył z krzesła. Wybiegł jak burza z pokoju. Bob, który właśnie pojawił się w drzwiach, karnie ruszył za nim. Zeszli do wyremontowanej Axis Chemicals Company.

Dżoker zatrzymał się obok swoich wysoko opłacanych naukowców. Darł się, żeby przekrzyczeć hałas maszynierii.

- Wysłaliśmy już to?

- Tak, proszę pana - odpowiedzieli chórem naukowcy.

- Pozbyć się wszystkiego - krzyknął wesoło Dżoker. - Rozplatać węzły! Dalej! Krew mi się burzy!

Naukowcy odłożyli notesy i zaczęli wypełniać polecenia.

Dżoker ruszył dalej. Tuż za nim szedł Bob. Dżoker kopnięciem otworzył drzwi do swojego specjalnego pokoju. Ten pokój nie miał okien i wentylacji. Znajdował się w samych trzewiach Axis Chemicals.

Ale co w nim było!

Ściany oblepione były scenami walk. Wisiały tam najlepsze fotografie z najlepszych magazynów. A jeszcze ciekawsze rzeczy leżały na stole. Stosy teczek z inicjałami: FBI, KGB, CIA. Dżokera najbardziej fascynowała teczka leżąca na samym wierzchu.

DDID - GAZ PARALIŻUJĄCY

WYNIKI WSTĘPNYCH EKSPERYMENTÓW

Na teczce przybito pieczęcie: "Przerwano w 1977 roku" oraz "Ścisłe tajne". W środku była rewelacja: błyszczące zdjęcia 13x18. Na każdym martwi żołnierze ze skamieniałymi ustami, do których przyłgnął przedziwny uśmiech.

- Przegrywanie to zły zwyczaj - zauważył rozsądnie Dżoker. - Tyle mamy do zrobienia, a tak mało czasu.

Bob podszedł bliżej.

- Tu są zdjęcia.

Przeglądając robotę Boba Dżoker uniósł brwi. Zatrzymał się przy fotografii typka w poliestrowej marynarce.

- Kim jest ten dudek?

Bob spojrzął ponad jego ramieniem.

- To Knox.

- Okropny krawat - wydał werdykt Dżoker. - Bez stylu.

Przeglądał następne zdjęcia. Nagle otworzył usta. Wciągnął oddech. Serce mu załomotało.

- Poczekaj! Kto to jest?

- Vicki Vale - odpowiedział Bob. - Jest fotografem, pracuje z Knoxem.

Dżoker polizał obfite wargi. Musiał przestudiować to zdjęcie szczegółowo.

- Ta kobieta ma styl! Jezus Marimba! Taka cudowna sztuka może przyprawić mężczyznę o zawrót głowy.

Z jednej ze swych kieszeni wyciągnął nożyczki. Nucąc pod nosem wycinał dziewczynę z całego bezsensownego tła. Ciął ostrożnie, niezbyt blisko - żeby zostawić ramkę. Co teraz? No, oczywiście! Coś musiał zrobić z ramką. Sięgnął po kredki i zaczął ją kolorować.

- Spotyka się z facetem, który nazywa się Wayne - poinformował go Bob.

- Przestanie! - Dżoker łypnął okiem na zdjęcie. - Cholera! - dodał żując język. - Trudno utrzymać się w linii.

W końcu ramka była gotowa. Przyjemna mieszanka heliotropu i błękitu kobaltowego. Dżoker szybko posmarował tył zdjęcia klejem i przykleił Vicki na honorowym miejscu pośrodku ściany.

- Zafunduję sobie nową dziewczynę, Bobby! - Przez chwilę podziwiał swoje dzieło, potem pstryknął palcami.

- Książka telefoniczna! Mam pomysł na drakę. Vicki Vale, tak? Z trudem oderwał od niej oczy, żeby znaleźć numer. Dobrze prezentowała się pośrodku wojny - wojny, która niebawem ogarnie całe Gotham! Wykręcając numer Dżoker nucił. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz był taki szczęśliwy.

Musiał wracać do domu. Niczego więcej nie mógł zrobić.

Gdy Bruce wszedł do gabinetu, Alfred oderwał się od odkurzania. Podszedł do Bruce'a szybko i bezszelestnie, jak to tylko on potrafił. Wziął płaszcz, a potem, nie wiadomo skąd, podał mu gorący ręcznik. W ciągu minionych lat Bruce przestał się dziwić, jak Alfred to robi. Wytarł ręce.

- Dzwoniła panna Vale - poinformował go lokaj. - Była zaniepokojona. - Chwilę milczał, po czym dodał konfidencjonalnym tonem: - Zauważyłem, że kiedy ona tu jest, wszystko staje się łatwiejsze.

Bruce spojrział na swojego lokaja. To było niemożliwe.

- Dlaczego nie ożenisz się nią, Alfredzie?

- Niezupełnie to miałem na myśli, proszę pana - odpowiedział Alfred z kamienną twarzą.

Bruce wzruszył ramionami.

- Nie mogę o tym myśleć, Alfredzie.

Lokaj pokiwał ze zrozumieniem głową. Zbyt długo wszystko planowali. Obaj wiedzieli, że nie mogą zrezygnować. W życiu Bruce'a nie było teraz miejsca na kobietę.

- Napier żyje - ciągnął Bruce. - Stał na czele ludzi Grissoma. Muszę mieć jasność, co policja wie na jego temat.

- Tak jest, proszę pana. - Alfred powrócił do służbowego tonu. Odwrócił się, myśląc już o Jaskini Nietoperza i godzinach poszukiwań, które miał przed sobą.

Bruce westchnął, gdy lokaj go mijał. To było ciche, smutne westchnienie do czegoś, co nie mogło się zdarzyć.

- Jest wspaniała, prawda?

W odpowiedzi Alfred uśmiechnął się niewesoło.

Vicki przyglądała się fotografiom Bruce'a Wayne'a. Gdy zniknął, została jeszcze chwilę na placu, aby zrobić zdjęcia rzezi na placu. To do niej należało. Teraz sama wywoływała rolkę. Patrzyła na Bruce'a i na róże, mając nadzieję, że gdzieś w czarno-białych obrazkach znajdzie odpowiedź na swoje pytania.

Spoglądała na Bruce'a klęczącego na ulicy. Kiedy robiła to zdjęcie, miała wrażenie, że Wayne odprawia jakiś rytualny obrzęd, tak też się zachowywał na placu, pośrodku strzelaniny. Jakby nie był sobą, tylko kimś innym lub czymś, w innym czasie i miejscu.

Wydawało się jej, że facet, który sam siebie nazywał Dżokerem, miał z tym coś wspólnego. Bruce ciągnął do tego krwawego ulicznego mima jak ćma do światła. Nie znała jego imienia, dopóki na schodach do ratusza nie pojawiły się podziurawione kulami ciała pozostałych członków gangu Ricorsa, obwiązane szerokimi, czerwonymi wstążkami. Przy każdej wstędze była kartka: "Prezent dla Gotham od Dżokera".

Najpierw Batman, teraz ta nędzna kreatura. Wiciu ludzi z Gotham szukało rozgłosu. Ale co ma z tym wszystkim wspólnego Bruce Wayne?

Musiało coś być w tym zaułku.

Wykręciła numer telefonu. Z drugiej strony podniósł słuchawkę Knox.

- Allie - powiedziała szybko, chcąc uprzedzić jego zwykłe dowcipasy. - Chcę, żebyś coś dla mnie sprawdził. Możesz? Dowiedz się, czy coś wiąże się z zaułkiem u zbiegu ulic Pearl i Phillips. Cześć.

Odwiesiła słuchawkę i raz jeszcze spojrzała na trzy fotografie. Bruce z kwiatami, Bruce klęczący na rogu i Bruce kopiący puszkę.

- Co z panem jest, panie Wayne? - spytała głośno.

9.

"A teraz »Prosto z miejsca zdarzeń«. Witają państwa Becky Narita i Peter McElroy".

Kamera skoncentrowała się na Becky. Prezenterka uśmiechnęła się.

- Dobry wieczór - zaczęła. - Świat mody został dzisiaj zaskoczony nagłymi zgonami modelek Candy Cause i Amandy Keeler. Ich śmierć spowodowana była gwałtowną reakcją uczuleniową, choć służba śledcza nie wykluczyła również możliwości przedawkowania narkotyków. Peter?

Cięcie na Petera. On też się uśmiechnął.

- Trwają przygotowania do obchodów dwóchsetlecia miasta. Burmistrz Borg oświadczył, że odsłonięcie pomnika Johna Gothama, założyciela miasta, nastąpi...

Jakaś ręka wysunięta zza kadru położyła na biurku Petera kartkę papieru.

- Wiadomość z ostatniej chwili. Trzy tajemnicze śmierci w salonie piękności...

Becky wybuchnęła śmiechem. Peter odwrócił się do współpracownicy.

- Becky, to jest... Becky!

Zerwał się, jakby poza kadrem coś wybuchło. Kamerzysta rozszerzył kadr, aby pokazać widzom, co się działo z Becky. Prezenterka wstała na krześle, jej twarz wykrzywiały dziwne konwulsje. Kamera chwiała się w przód i w tył, jakby operator nie był pewny, czy powinien tę scenę rejestrować. Ze wszystkich stron zbiegli się technicy, próbując zrobić cokolwiek dla biednej Becky. Ona zaś przechyliła się na krześle, wyrzuciła w górę nogi, trzepotała wokół rękami, od czasu do czasu uderzając techników, którzy podchodzili zbyt blisko. Było to straszne widowisko, ale jeszcze gorszy okazał się finał. Dziewczyna zaczęła kręcić się w kółko, wirować jak balerina.

I przez cały czas się śmiała.

Nagle wychyliła się do przodu. Wywinęła podwójnego kozła nad biurkiem. Przestała się śmiać. Przestała robić cokolwiek. Jej mięśnie zastygły w spazmie śmierci.

Kamera pokazała jej szczęśliwą twarz.

- Wyłączyć kamery! - ryknął histerycznie Peter. - Wyłączyć...

Obraz zniknął. Na ekranie zrobiła się pustka.

Całkiem niezłe. Dżoker przycisnął guzik. To co się włączyło, było jeszcze lepsze.

Wideokaseta ruszyła. Sygnał telewizji Dżokera przebił sygnał wiadomości i sygnały wszystkich innych telewizyjnych stacji w mieście.

Na kolorowym ekranie pojawiły się dwie postacie supermodelek - Candy i Amandy - kilka godzin przed ich niefortunną śmiercią. Modelki machały do kamery. Ale coś było nie w porządku z ich ustami: wargi poruszały się, rozszerzając się w niewiarygodnych wprost uśmiechach.

W tle pojawiła się radosna piosenka:

“Niech słońce rozbłyśnie nad wami, przywdziejcie szczęśliwą twarz”.

Modelki animowanymi ustami zawołały piskliwie:

- Kochajcie Dżokera!

Ech, Dżoker westchnął ze szczęścia. To dopiero sztuka!

Oczywiście, będzie jeszcze lepiej.

Akcja przeniosła się do supermarketu. Najlepszy ze sprzedawców - Dżoker - toczył wózek, radośnie wymachując do publiczności. Ściągał z półek kolorowe opakowania i podsuwał je pod kamerę.

- Nowe, ulepszone produkty Dżokera! - krzyczał głosem konferansjera. - Z moim tajemniczym dodatkiem! ŚMIECHOL! - Wskazał poza kadr. - Przypatrzmy się naszym degustatorom!

Obraz znów się zmienił. Na ekranie ukazał się związany człowiek z zakneblowanymi ustami i zawiązanymi oczami, bezsilnie szarpiący się w krześle. W dolnej części kadru pojawił się napis “DOKUMENT”.

- Och! - gruchał Dżoker. - Ten nie jest szczęśliwy. Używał produktów firmy X. Ale nowe, ulepszone produkty Dżokera...

Kamera cofnęła się, żeby pokazać, że degustator nie jest sam. Obok niego znajdowały się zwłoki z zawiązanymi oczami i magicznym uśmiechem na twarzy.

- To ja wywołuję ten uśmiech! - ciągnął Dżoker. - Ze mną uśmiechasz się stale!

Kamera znów przeniosła się na sprzedawcę rozpartego teraz wygodnie obok dużej wycinanki przedstawiającej jedną z modelek po “leczeniu” Dżokera. Dziewczyna miała kredowobiałą cerę i wspaniałe zielone włosy.

- Ta cudowna opalenizna! - krzyczał Dżoker. - Te pąsowe wargi! I włosy o kolorze tak naturalnym. Tylko twój przedsiębiorca pogrzebowy wie, że nie żyjesz!

Na ekranie pojawiły się krótkie ujęcia ciężarówek zaopatrzenia ozdobionych po bokach nazwami produktów, które uczyniły naród tym, czym jest on dzisiaj.

- Wiem, o co pytacie - podśpiewywał za kadrem sprzedawca. - Gdzie można kupić te nowe, wspaniałe produkty? Nie ma sprawy, przyjaciele. Jest szansa, że już je kupiliście!

Charakterystyczna twarz Dżokera powróciła na ekran. Dżoker mrugał porozumiewawczo do publiczności.

- Jeśli rzeczywiście już to zrobiliście - dodał radośnie - to pamiętajcie: przywdziejcie szczęśliwą twarz!

W tle odezwały się głosy wyśpiewujące: "Firma »Dżoker«! To my zmieniamy twarz Gotham!"

Dżoker przerwał nadawanie. Co za cudowny show! Mógł sobie teraz wyobrazić Gotham - młode kobiety bojące się umalować na wielkie wieczorne wyjście, młodych mężczyzn drżących na myśl o użyciu dezodorantu lub kremu do golenia, całe rodziny nie mogące zdobyć się na to, by zaufać domowym apteczkom.

To była najpiękniejsza godzina Dżokera. Takiego spektaklu w Gotham nie było i nie będzie!

Przynajmniej dopóki w Gotham pozostanie choćby jedna żywa dusza.

Zobaczymy, czy Batman jest w stanie wymyślić coś lepszego!

*

Bruce Wayne wyłączył telewizor. Transmisja Dżokera skończyła się. Ekran zaczął śnieżyć. Stało się dokładnie to, czego oczekiwał. Teraz musiał znaleźć jakiś ratunek.

Alfred wszedł do pokoju podając mu kolejny dokument do dołączenia do teczki.

Bruce przeczytał głośno:

- "Napad z bronią w ręku w wieku piętnastu lat". - Spojrzał na Alfreda: - Miły facecik.

Powrócił do papierów.

- Test psychologiczny. Wysoka inteligencja, zachwiana równowaga emocjonalna, uzdolnienia w dziedzinie nauk ścisłych, zwłaszcza chemii, oraz w dziedzinach artystycznych. - Chrząknął znacząco. - Chemia?

Rzucił okiem na fotografię Jacka Napiera, potem spojrzął na lokaja:

- Idziemy na zakupy, Alfredzie.

PANIKA OPANOWAŁA GOTHAM - głosił nagłówek Globe. - ZATRUTE PRODUKTY ZABRAŁY TRZYNAŚCIE LUDZKICH ISTNIEŃ! KIM JEST TAJEMNICZY "DŻOKER"?

Prezenterka patrzyła z ekranu telewizyjnego. Nie miała zbyt dobrej cery. I te wory pod oczami.

- Sześć nowych zgonów - mówiła - i żadnych informacji co do śmiercionośnej broni Dżokera.

Kamera przeniosła się na prezentera z wielkim, ohydny przyszczem na nosie.

- Jaki jest klucz? - dodał. - W kosmetykach i środkach higienicznych, wodzie kolońskiej, paście do zębów, dezodorantach...

Kamera wróciła do prezenterki. Chryste, rzeczywiście nie wyglądała najlepiej. Włosy miała nieuczesane. Nie podkreśliła brwi. Na jej starzejącej się twarzy można było dostrzec każdą zmarszczkę.

- Może być jeszcze gorzej - powiedziała. - Może w tym szaleństwie nie ma żadnej metody. Cały czas prowadzone są badania. Zakupy w Gotham stały się koszmarem.

Zakupy w Gotham stały się koszmarem! Ci dziennikarze umieją zonglować słowami, nawet kiedy do oczu zagląda im śmierć. Dżoker klasnął w dłonie. Z każdym dniem było lepiej!

Gordon nie mógł wprost uwierzyć, że burmistrz go wezwał. Gotham było w straszliwym niebezpieczeństwie!

Dent rozmawiał przez telefon. Pomimo to burmistrz zaczął mówić:

- Będziemy mieli ten festiwal, nawet gdybym miał wziąć karabin i zgonić ludzi osobiście!

Dent odwiesił słuchawkę.

- Słyszałeś, co powiedziałem, Dent? - Festiwal odbędzie się! A ty musisz odkryć, czym nas ten szalenięc zatrzyma. I to szybko! Czy wyrażam się jasno?

Dent spojrział na Gordona, jakby chciał powiedzieć: "Jeśli ty go nie zabijesz, ja to zrobię".

- Pracujemy nad tym - odpowiedział.

Bruce Wayne wszedł do swojej prywatnej zbrojowni. Alfred oliwił dmuchawkę. Podniósł wzrok.

- Czy zauważył pan wiadomość od panny Vale? - spytał lokaj. - Spóźni się dziesięć minut do muzeum.

Muzeum? Panna Vale?

- Ja... nic miałem się z nią spotkać.

Alfred skinął głową tak, jak to tylko on potrafił.

Bruce zupełnie o tym zapomniał. Przez cały dzień myślał wyłącznie o swojej chemicznej zagadce. Czy Napier stał się jego obsesją? Ale jak można nie dostać obsesji na punkcie kogoś, kto chce wymordować całe Gotham?

Miał przecież jeszcze własne życie. Obiecał, że spotka się z Vicki w muzeum. Będzie spóźniona dziesięć minut? Obawiał się, że on spóźni się znacznie bardziej.

Zastanawiał się, czy Alfred wie, o której był umówiony z Vicki w tym muzeum.

Ależ mądry był ten Dzoker!

Nadał już swoim włosom atrakcyjny odcień czerni. Teraz nakładał na białą twarz makijaż w kolorze skóry. Nie było potrzeby straszyć Vicki, zwłaszcza po tych wszystkich wysiłkach, które podjął. Najpierw podszył się pod lokaja Bruce'a Wayne'a, by zaaranżować randkę z cudowną panną Vale. Potem musiał nieco otrzeźwić Alicję, aby udając Vicki zadzwoniła do Alfreda i umówiła na randkę drugą stronę. Być może nie

musiał zapraszać Wayne'a, ale ekscytowała go koronkowość tej roboty. W końcu dlaczego nie miałyby zabić tego milionera i od razu usunąć z drogi konkurencję?

Kończąc malowanie uśmiechnął się do swojego odbicia w lustrze. To prawda, miał z tym trochę kłopotu, ale na pierwszej randce trzeba wyglądać dobrze.

- Jack? - Niewyraźny głos Alicji przerwał jego toaletę. - Dokąd idziesz?

Wtoczyła się do pokoju, patrząc półprzymkniętymi oczami zza białej, porcelanowej maski, którą ostatnio nosiła. Co za wstyd. Co miał powiedzieć, by jej biedny, odurzony narkotykami umysł mógł zrozumieć? Dzoker potrząsnął głową.

Wstał i podziwiał wyraz swojej twarzy w lustrze toaletki. Czy nie zapomniał o czymś, o jakimś ostatnim maźnięciu, które mogłoby uczynić go jeszcze bardziej zabójczym? Ach, tak. Wpiął specjalny kwiatek w klapę marynarki. Alicja cofnęła się.

- Idę do muzeum Flugelheima tworzyć nową sztukę - powiedział.

Z trudem oderwał się od lustra. Nie mógł pozwolić, by panna Vale czekała, zwłaszcza teraz, gdy wyglądał tak wspaniale.

10.

Vicki spojrzała na zegarek. Czekala od dwudziestu minut! Z każdą chwilą stawała się coraz bardziej wściekła. Dlaczego on się nie zjawiał? I dlaczego Bruce Wayne stał się dla niej - nagle taki ważny? Spędzili razem tylko jedną noc - niczego sobie nie obiecywali. To tylko po jej głowie chodziły różne myśli.

Nie wiedziała już, co o tym wszystkim sądzić. Zwłaszcza, od dnia, kiedy na jej oczach umarły dwie modelki... Znów żyła jak w Corto Maltese, w świecie pełnym gwałtu i śmierci, w świecie, gdzie nie można ułać nikomu i niczego nie można przyjąć za pewne. Znalazła się w środku wojny, w której reguły ustalał Dzoker. Ale tym razem walka nie zaczęła się od wybuchu ręcznego granatu ani zbrodniczej kuli. Tym razem bitwa rozgorzała w chwili, gdy dwie kobiety zaśmiały się na śmierć. Takie miłe posunięcie Dzokera.

Vicki patrzyła na dżin z tonikiem stojący na pastelowo niebieskim blacie. Kawiarnia była przyjemna. Z balkonu widać było muzeum. W tym muzeum wszystko wydawało się nierealne. Otoczenie przypominało cudowną warstwę farby na zepsutej maszynie, jaką było Gotham. Maszynie, która za chwilę mogła eksplodować.

To było piętno, jakie zostało jej po Corto Maltese. Jeśli żyło się w strefie wojny, nigdy już nie można zaufać spokojowi dnia codziennego. Przez ostatnie lata chodziła po skraju przepaści. Ale teraz zrobiła chyba krok do przodu, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

Poczuła się jak w pułapce. Chciała z kimś porozmawiać. Chciała porozmawiać z Bruce'em.

Była w nim jakaś wewnętrzna siła, ukryta głęboko pod roztargnieniem, które pokazywał światu. Vicki sama się dziwiła, jak bardzo chciała mu się zwierzyć ze swoich myśli i obaw. Obaw dotyczących nie tylko Dżokera i Gotham.

Znów spojrzała na zegarek. Minęły zaledwie dwie minuty. Posiedzi jeszcze trochę. Bruce powinien przyjść. Zarezerwował przecież dla nich stół w muzealnej herbaciarni. Wskazał go kelner oświadczając, że pan Wayne wkrótce przyjedzie.

Zaczęła zastanawiać się, po co Bruce ją tu zaprosił. A może, pomyślała, może to Alfred zrobił dla Bruce'a tę rezerwację? Była oczarowana starym lokajem, a odniosła wrażenie, że i on czuł w stosunku do niej sporo sympatii. Dziwne, że przedtem o tym nie pomyślała - może to Alfred był organizatorem ich spotkania? Jeśli tak - to co sądził o tym pan Wayne? Może dlatego się spóźniał? Vicki zastanawiała się, czy dobrze odczytuje jego intencje. Może powinna po prostu wstać i wyjść? Znów spojrzała na zegarek.

Postanowiła poczekać jeszcze minutę.

Sączyła dżin z tonikiem, gdy nagle zbliżył się do niej kelner. Niósł w ręce paczkę.

Był to mały pakiet, owinięty w brązowy papier. Na wierzchu napisane były kredką trzy słowa: jej imię i nazwisko ora/ duże czerwone "PILNE".

Rozerwała opakowanie. W środku znalazła białe pudełko z przyklejoną kartką, na której ktoś - wypisał również kredką:

DROGA V. VALE

ZAŁÓŻ TO

NATYCHMIAST

Vicky otworzyła pudełko. Cóż to mogło być? Takie małe czerwono-zielone? Wyglądało jak miniaturowa maska gazowa.

Usłyszała dziwne syczenie. Z umieszczonych w rogach sali wentylatorów wydobywał się purpurowy dym. Kelnerzy upadali, ich tace z jedzeniem roztrzaskiwały się na podłodze. Jakiś człowiek przy stoliku obok wypuścił z ręki widelec i wpadł twarzą do sałatki.

Vicki założyła maskę.

Chwilę później była jedyną przytomną osobą w całej restauracji. Wokół niej leżało około setki ludzi. Niektórzy pozostali przy stolikach, z nosami w jedzeniu. Większość leżała na podłodze, z rękami i nogami nienaturalnie rozkrzyżowanymi. Część ciał znajdowała się w pobliżu schodów. To ci, co zorientowawszy się w sytuacji, na próżno usiłowali rzucić się do ucieczki.

Vicki miała nadzieję, że może wszyscy ci ludzie stracili tylko przytomność.

Drzwi do muzeum otworzyły się gwałtownie. Chciała czy nie - miała gości.

Kilku chłopaków użyło małych bomb plastikowych do wysadzenia drzwi z zawiasów. Były godziny zwiedzania, mogli więc wejść zwyczajnie. Ale co to byłaby wówczas za zabawa?

Prowadził ich Dżoker, który na tę okazję włożył na głowę artystyczny берет. Chłopcy szli za nim szybko, niosąc szampana i kieliszki. Boom shakalalakalaka. Boom shakalalakalaka. Nadszedł czas zabawy.

Dżoker podszedł do najbliższej ściany, żeby przyjrzeć się obrazom.

- W porządku, chłopcy - krzyknął. - Rozszerzamy swoje horyzonty.

Jego ludzie rozpierzchli się, oglądając malowidła.

Boom shakalalakalaka. Boom shakalalakalaka. Boom shakalalakalaka, śpiewał ktoś w radiu.

Dżoker westchnął, pełen nabożnego szacunku w obliczu tak wielkiej ilości dzieł sztuki. Nie były to oczywiście idealne warunki do zwiedzania. Szampan i muzyka,

świetnie, ale trzeba było uważać na ciała porzucane po podłodze. Człowiek mógłby się na nich potknąć lub skrzywić kostkę. Ech, to prawda. Dla sztuki trzeba cierpieć.

Ach, ten obraz. Dżoker rozpoznał: "Niebieski chłopiec" Gainsborough, piękny portret młodego mężczyzny odzianego w błękity. Co za linia! Jakie wycucie barwy! To prawie ideał.

Dżoker uniósł w górę laskę, aby obrysować kontur portretu. Tak, teraz poczuł ten artystyczny impuls. Przycisnął specjalny guzik w ręczce laski, uwalniając ostrze. Chciał nadać temu dziełu nową estetykę. Przygryzł język, wyrzynając w płócienną twarz niebieskiego chłopca szeroki uśmiech Dżokera. Tak jest! Dużo lepiej! Uśmiechnął się do swoich podwładnych. Sztuka może dać tyle satysfakcji.

Ten uśmiech chłopcy wzięli za zachętę do tworzenia nowej sztuki. Zaczęli szybko pracować nożami i kolorowymi rozpylaczami, dodając wszystkim starym Manetom, Renoirom, Degasom nowoczesny sznyt.

Boom shakalalakalaka, zachęcało ich radio. Boom sha-kalakalaka. Z muzyką świetnie się pracowało. Jak zawsze powtarzał Dżoker: pogwizduj przy robocie.

Szedł wzdłuż rzędów obrazów, pozwalając chłopcom zasmakować pierwszorzędnej sztuki. A tu co jest? "Krzyk" Edwarda Muncha. Postać budząca litość i przerażenie intensywnością przeżycia. Ten człowiek Muncha miał w sobie cały ból, złość i szaleństwo świata.

Kątem oka Dżoker dostrzegł ruszający do akcji sztylet. Zobaczył Boba, mającego właśnie pociąć płótno na kawałki. Ostrzegawczo podniósł w górę palec.

- Ten mi się podoba - oświadczył. - Zostaw go.

Bob uśmiechnął się i kiwnął głową. Ruszył dalej wzdłuż ściany, gotowy zamalować Jacksona Pollocka. Jacksona Pollocka? To bez sensu, ale Bob musi się zabawić.

Tymczasem Dżoker miał do załatwienia inną sprawę. W kawiarni na górze czekała na niego sympatia.

Boom shakalalakalaka. Boom shakalalakalaka.

Vicki czuła się jak w potrzasku.

Dzoker i kilkunastu jego ludzi wdarło się do muzeum i metodycznie niszczyło dzieła sztuki. Vicki zastanawiała się, czy jest szansa ucieczki, ale w ciągu kilku sekund chłopcy Dzokera zabezpieczyli główne drzwi i wszystkie wyjścia awaryjne.

Nagle Dzoker spostrzegł ją. Zbliżając się pomachał jej przyjaźnie ręką. Jego twarz nie była trupioblada, ale tkwił na niej nienaturalny uśmiech. Widząc jego dobry humor Vicki poczuła się jeszcze bardziej osaczona. Dzoker przysunął sobie krzesło. Wskazał na maskę.

- Myślę, że możesz to już zdjąć.

Z wahaniem zdjęła maskę. Dzoker pstryknął palcami. Zbliżyli się dwaj jego bojówkarze. Jeden trzymał w rękach świeczniki, drugi - duże przenośne radio.

Boom shakalakalaka. Boon shaka...

Dzoker przycisnął guzik. Głośną muzykę beatową zastąpiła orkiestra smyczkowa. Z fioletowej marynarki wyciągnął srebrną zapalniczkę. Przycisnął. Buchnął wysoki płomień. Dzoker zapalił świece. Przypominało to jakąś straszliwą parodię romantycznego nastroju.

- Jesteś piękna - odezwał się łagodnie.

Vicki patrzyła na niego zza stołu. Co można odpowiedzieć szaleńcowi?

- Dziękuję - wykrztusiła w końcu.

- Trochę w staromodnym stylu - ciągnął Dzoker - ale można cię nieco uwspółcześnić.

Przystawił bliżej krzesło. Vicki oparła się chęci odsunięcia swojego. Musi znaleźć jakieś wyjście. Ale dopóki go nie znajdzie, spróbuje utrzymać Dzokera w dobrym humorze.

Dzoker spojrział na średniej wielkości czarną teczkę leżącą obok krzesła Vicki.

- To twoje prace! - krzyknął zachwycony.

- T... tak - odpowiedziała Vicki. - Mam spotkać się z przyjacielem, który chciał obejrzeć moje zdjęcia...

Dzoker porwał z podłogi teczkę, płynnym ruchem otworzył ją i rozrucił na stół. Na górze była moda.

- Paskudztwo - oświadczył.

Zaczął przeglądać okładki magazynów i zdjęcia sławnych osobistości.

- Paskudztwo - powtórzył.

Przekładał fotografie coraz szybciej, przerzucał zdjęcia mężów stanu, widoki, światowe wydarzenia.

- Chłam! Chłam! Chłam! - wykrzykiwał. Nagle zatrzymał się.

- O, to dobra robota!

Vicki zauważyła, że dotarł do zdjęć z Corto Maltese.

- Czaszki. - Dżoker rozpływał się w zachwytach.

- Zwłoki. Przydajesz temu blasku. - Uśmiechnął się do Vicki. - Nie wiem, czy to jest sztuka, ale mnie się podoba.

Vicki nie wiedziała, co powiedzieć, więc nie odezwała się w ogóle.

- Powiem ci, co myślę, kochanie - zaczął Dżoker, głosem miękkim jak aksamit. - Kiedyś w czasie kąpieli stwierdziłem, że jestem przeznaczony do wielkości. Wiesz, jaką wagę ludzie przywiązują do swojego wyglądu. - Potrząsnął głową. - Ja mam to już za sobą. W zbrodni moje namiętności wyzywają się całkowicie.

- Jego głos zaczął się podnosić, jakby właśnie dochodził do swojego credo. - Teraz robię coś, o czym inni tylko marzą. Tworzę sztukę aż do czyjejś śmierci.

Podniósł obie dłonie w geście triumfu.

- Widzisz? Jestem pierwszym w świecie artystą wykorzystującym śmierć do celów artystycznych.

Vicki dość miała tego szaleńca. Spojrzała na niego gniewnie.

- Czego chcesz? - spytała.

- Chcę zobaczyć moją twarz na banknocie jednodolarowym - wykrzyknął z entuzjazmem.

Vicki przechyliła się w krześle.

- Świetny cel. Chyba żartujesz.

Dżoker zawył w nagłej furii. Wskazał na swoją twarz.

- Czy wyglądam, jakbym żartował?

Chwilę później znów się do niej uśmiechnął, złość mu minęła.

- Słuchaj - powiedział. - Nie wolno nam się porównywać z normalnymi ludźmi. Jesteśmy artystami. Pozwól, że zaprezentuję ci jedno ze swoich dzieł. - Spojrzał na Boba. - Bob, przyprowadź Alicję.

Sługus odszedł, a Dżoker znów zwrócił się do Vicki:

- Będiesz rejestrowała na zdjęciach moje prace - nalegał. - Razem ze mną znajdziesz się w awangardzie nowej estetyki.

Vicki pomyślała, że gdyby Dżoker jej tak nie przerażał, to mógłby się jej wydać fascynujący. Był całkowicie szalony, ale jednocześnie zupełnie szczerzy.

Usłyszała za sobą kobiecy głos.

- Jack?

Vicki odwróciła się. Człowiek Dżokera prowadził ubraną na biało kobietę z porcelanową maską na twarzy. Kobieta nie trzymała się pewnie na nogach i przewodnik musiał ją podpierać.

- Powiedziałeś, że będę mogła popatrzeć, jak poprawiasz obrazy - odezwała się nowo przybyła. Mówiła wolno, głos jej drżał jakby pod wpływem alkoholu lub narkotyków.

Dżoker przymrużył oczy.

- Och, teraz będą kłopoty.

Vicki nie mogła wytrzymać - miała w sobie dziennikarską ciekawość. Bała się odpowiedzi, ale zadała pytanie, które kołatało się jej po głowie.

- Dlaczego ona nosi maskę?

- Ona jest zaledwie szkicem - odpowiedział Dżoker pokornie. - Alicjo! Chodź tu, usiądź. Pokaż pani, dlaczego nosisz maskę.

Jeden ze sługusów podsunął krzesło i Alicja usiadła. Zaczęła zdejmować maskę. Jej palce poruszały się wolno:

- Widzi pani, panno Vale - ciągnął Dżoker - Alicja została stworzona zgodnie z moją nową filozofią. Podobnie jak ja, jest ona żywym dziełem sztuki.

Alicja zdjęła maskę.

O Boże.

Vicki zeskoczyła z krzesła. Nie mogła wytrzymać tego widoku. Gdy gwałtownie się cofnęła, krzesło upadło z hukiem.

- Nie jestem Picassem - mówił dalej Dżoker, tak samo skromnie jak przedtem. -
Podoba ci się?

Vicki popchnęła drugie krzesło zagradzając drogę Dżokerowi. Czy podoba się? Nie mogła spojrzeć w kierunku Alicji, choć próbowała. Lewa strona jej twarzy była całkowicie normalna. Skóra na prawym policzku była wypalona aż do mięśni, mięśnie zaś wyżarte kwasem do kości. Jak długo musiał Dżoker pracować, aby tak przerażająco zniszczyć twarz Alicji?

Dżoker uśmiechnął się do niej tym zwariowanym grymasem. Co mogła mu powiedzieć? Jak mogła się stąd wydostać?

- To... wielkie - udało jej się wydusić. - Ale co mogłabym dla ciebie zrobić?

Dżoker rozłożył ręce.

- Mała piosenka - zaproponował melodyjnie. Postukał obcasami w podłogę.

- Trochę tańca - dodał radośnie. Gestem pokazał, że wbija coś dużego i okrągłego na pal.

- I głowa Batmana na włócznie - skończył. - Powiedz, co wiesz o...

Udał, że jego ręce to dwa skrzydła nietoperza.

- Nic nie wiem o Batmanie.

- Naprawdę? - odparł Dżoker obojętnie, jakby takiej właśnie odpowiedzi oczekiwał.

Zmarszczył brwi. - A więc co myślisz o małym "sam na sam"?

To nie do zniesienia! Nie można było zadowolić kogoś takiego jak Dżoker.

- Jesteś wariatem! - parsknęła.

- Ja? Myślałem, że jestem Skorpionem. - Rozłożył ręce w błagalnym geście. - Moja droga, pogódźmy się. - Obszedł stół i podszedł do niej. - Oto kwiatek.

Jedną ręką ujął duży purpurowy kwiat wpięty w klapę, drugą sięgnął do kieszeni marynarki. Wyjął dużą błyszczącą gruszkę. Wyglądała jak z plastyku. Nie było w tym kwiecie niczego naturalnego.

- Nie! - krzyknęła Vicki. Odskoczyła na bok, prawie przewracając stół. Ze środka purpurowego kwiatu wytrysnął strumień przezroczystej cieczy. Znajdujący się za nią filar zaczął dymić i skwierczeć w miejscu, gdzie spływała ciecz. Kwas!

Dzoker uśmiechnął się do niej. Zrobił w jej kierunku krok, jakby teraz, gdy znała już prawdę o kwiecie, chciała go przyjąć. Zamierzał ją zabić albo jeszcze gorzej - zrobić z niej coś w rodzaju Alicji. Vicki cofnęła się. Wpadła na wózek kelnerski. Dzoker szedł w jej stronę.

Nie mogła go do siebie dopuścić. Potrzebowała broni. Złapała z wózka dzbanek z wodą i rzuciła nim w prześladowcę. Dzbaneł nie sięgnął celu, ale spryskał Dżokera wodą.

- Nie! - wrzasnął i zakrył rękami twarz. - Nie! Zwinął się w kłębek. Opalenizna została mu na dłoniach odsłaniając trupioblada skórę.

- Topię się! - Upadł na kolana. - Topię się! - Wił się z bólu na podłodze. - O Boże, topię się!

Vicki była tak przestraszona, że nie od razu zorientowała się, że Dzoker cytuje wierszyk dla dzieci.

- Ratunku! - skrzeczał Dzoker, odchylając się do tyłu.

Czy naprawdę tak go zraniła? Pomimo strachu postąpiła krok do przodu.

Gwałtownie skoczył naprzód.

- Uuu! - ryknął.

Powalił ją na ziemię. Nie mogła się spod niego wydostać. Widziała tylko purpurowy kwiat i ten szeroki, okropny uśmiech.

Coś roztrzaskało się nad ich głowami.

11.

Aż do tego hałasu wszystko szło świetnie, pomyślał Dzoker. Spojrzał w górę. Coś wleciało przez szklany plafon; to coś ciemnego, dużego spadło na podłogę.

Nie, poprawił się Dzoker. To nie było takie sobie coś. To był Batman.

Wylądował dwa metry od nich. Wyciągnął w kierunku Dżokera pięść. Do przegubu miał coś przymocowane.

Czy Batman miał zamiar go zastrzelić? Dżoker był zbyt młody, żeby umierać. Zastanawiał się nad ucieczką, ale człowiek nietoperz dopadłby go, zanim zdążyłby zrobić krok. Matko miłosierna! Czy to koniec małego Rico?

Batman wystrzelił. Pocisk rozpadł się na dwie części. Każda z nich wbiła się w mur nad balkonem, po obu stronach Dżokera. Ten zaś spostrzegł, że do każdego z haków przymocowana była lina. Trzecia łączyła Batmana z jego wejściem przez szklany plafon.

Batman schwycił Vicki i zsunął się po linach z balkonu, znikając w łukowatym sklepieniu drzwi z napisem "WYJŚCIE".

Minęła chwila, zanim Dżoker ochłonął.

- Ale zabawki! - wykrzyknął w końcu. - Skąd on bierze te cudowne zabawki? - Spojrzał na swoich chłopców. Byli tak samo przerażeni jak on.

- Ruszcie się wreszcie! - zawył. - Idźcie i zapytajcie go!

Poszli. Dżoker westchnął. Czy musiał sam o wszystkim myśleć?

Minęło trochę czasu, zanim Vicki zrozumiała, że została uratowana. Batman otoczył ją ramieniem i chwilę później byli już na Gotham Square. Gdy wylądowali, człowiek nietoperz puścił ją i wskazał na boczną uliczkę. Pobiegnęła w tym kierunku, a on rzucił za siebie niewielki krążek. Hol muzeum wypełnił się dymem.

- Wskakuj do samochodu! - krzyknął do niej Batman.

Samochodu? Vicki przyjrzała się pojazdom zaparkowanym po jednej stronie uliczki.

- Do którego samochodu? - spytała. Chwilę później spostrzegła go.

- Och - westchnęła. W pobliżu było mnóstwo samochodów, ale tylko jeden czarny jak smoła, błyszczący, sportowy, ze specjalnie zrobionymi nietoperzowymi błotnikami.

Dach podniósł się z cichym sykiem, odsłaniając coś, co było bardziej podobne do podwójnego kokpitu pilota niż do miejsc dla kierowcy i pasażera. Vicki zajęła siedzenie dla pasażera.

- Zapłon - rozkazał Batman.

Deska rozdzielcza rozjarzyła się dziesiątkami sygnałów i wskaźników. Małe światełko z lewej strony wyświetliło napis "Kontrola głosu - OK". Druga tablica pełna świateł, przycisków i wyłączników znajdowała się pomiędzy siedzeniami.

- Zapłon - odpowiedział głos z komputera.

Gdy Batman wskoczył do kabiny kierowcy, silniki zaczęły pracować. Dach opuścił się i zatrzasnął ich w środku. Batman kazał Vicki zapiąć pasy.

Samochód ruszył z piskiem opon w kierunku drzwi, z których niedawno wybiegli. Teraz było w nich pełno duszących się od dymu bojówkarzy Dżokera.

Rozpierzchli się, gdy wóz Batmana przejechał z hukiem obok nich. Vicki spojrzała w tylne lusterko. Ludzie Dżokera wskakiwali do mikrobusu i samochodów.

Zauważyła, że z prawej strony zapaliło się światełko. Kierunkowskaz. Spojrzała na szybkościomierz. Wzięli zakręt z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę.

Jechali w kierunku centrum. Teraz dopiero Vicki spostrzegła, że choć tyle rzeczy się wydarzyło, był dopiero wczesny wieczór. Niedawno zaszło słońce. Ulice zapchane były samochodami, na chodnikach i skrzyżowaniach tłoczyli się przechodnie. Widziała, jak ludzie rozpierzchli się, gdy pędzący za nimi mikrobus wpadł na chodnik.

Batman mocniej przycisnął pedał gazu. Po raz drugi Vicki dostrzegła zapalający się prawy migacz. Jechali teraz sto czterdzieści na godzinę. Nawet samochód o tak aerodynamicznych kształtach nie mógł skręcić przy tej szybkości!

Batman przycisnął jeden z wielu przełączników na tablicy kontrolnej pomiędzy nimi. Z boku samochodu, od strony Vicki, wyskoczyła lina zakończona hakiem, który wbił się w ceglany mur za chodnikiem. Dzięki tej linie samochód obrócił się na zakręcie. Batman przycisnął inny guzik i lina odpadła. Dalej jechali sto czterdzieści.

- Cholera! - krzyknął Batman.

Wjechali w ślepią ulicę. Sto metrów przed nimi droga się kończyła. Wcisnął pedał hamulca i następny guzik na tablicy.

Gdy koła z piskiem stanęły, cały wóz Batmana uniósł się w górę i wykonał półobrót ustawiając się przodem w przeciwną stronę.

Człowiek nietoperz przycisnął gaz i znów ruszyli w kierunku Gotham Square. Przed nimi błyskały pomarańczowe światła. To nocna brygada budowlana wykańczała trybunę na zapowiedzianą przez burmistrza Borga paradę. Gigantyczny dźwig cofał się do bocznej ulicy, blokując oba pasy. Jechali prosto na niego!

Batman dodał gazu, zbaczając w lewo. Stale było za mało miejsca. Wpadł na chodnik. Przycisnął hamulec. Zatrzymali się kilka centymetrów od latarni.

Przechodnie i robotnicy budowlani zaczęli biec w ich stronę. Vicki wyjrzała przez tylne okno. Mikrobus i dwa samochody już ich doganiały! Spojrzała na Batmana. Musi być jakiś sposób, aby się stąd wydostać.

- Nie możemy... - zaczęła. Potrząsnęła głową. - Za dużo ludzi.

Wcisnął kolejny guzik i drzwi otworzyły się z furkotem.

- Chodź! - krzyknął wyskakując z siedzenia.

- Tarcze! - rozkazał, gdy wyszła.

- Tarcze - powtórzył głos z komputera. Ciemne stalowe talerze ze szczękiem wysuwały się z wozu osłaniając kabinę, koła, rurę wydechową, tworząc jakby nieprzenikalny czarny kokon.

Vicki nie miała czasu, żeby się przyglądać. Batman ciągnął ją już w kierunku budowy. Słyszała za sobą wycie policyjnych syren. Dobrze, pomyślała. Może gliny powstrzymają oprychów Dżokera. Nie przeszło jej przez głowę, że policja może złapać Batmana.

Przebiegli przez budowę jak błyskawica i dalej pędzili ulicą mijając zdziwionych przechodniów.

Z przecznicy wyjechał znajomy samochód. Vicki rozpoznała w środku czterech ludzi Dżokera. Facet na siedzeniu kierowcy podniósł do ust radiotelefon i coś powiedział. Samochód skręcił w ich stronę.

Batman i Vicki uskoczyli. Chłopcy Dżokera otworzyli ogień i przed uciekającymi eksplodowała szyba wystawowa. Vicki dała nura za zaparkowany samochód. Wóz bandziorów skręcił na rogu.

Mała pięcio- może sześćioletnia dziewczynka w wytartym, znoszonym płaszczyku prowadziła lalkę po ulicy. Była tak zajęta zabawą, że nie zauważyła strażów ani bieżaniny.

Podniosła wzrok dopiero wówczas, gdy zbliżył się do niej Batman. Otworzyła szeroko oczy, wypuściła z rąk lalkę.

- To przebierańcy? - spytała.

Batman uśmiechnął się, dając znak Vicki, by biegła za nim. Dogoniła go. Serce jej zamarło, gdy tuż za plecami usłyszała pisk opon.

Ludzie Dżokera przejechali obok zaułka, nie zdążywszy wyhamować. Zaułek jednak kończył się ślepo, a oni nie mieli superwozu, żeby się uratować.

Batman spojrzał w górę. Vicki też. Na wysokości piątego piętra był pomost.

Batman taksował wzrokiem Vicki. Jego oczy wyglądały pod maską jak dwie ciemne otchłanie.

- Ile ważysz? - rzucił.

Vicki była nieco zdziwiona. Nawet w tych czasach kobieta nie spodziewała się podobnego pytania.

- Och - wyjąkała. - Chyba z pięćdziesiąt trzy kilo.

Przechylił głowę, jakby coś szybko przeliczał. Samochód bandziorów podjechał do wylotu ulicy, tym razem tyłem. Zatrzymał się, blokując zaułek. Natychmiast wysypali się z niego ludzie Dżokera.

Vicki znów spojrzała na Batmana. Trzymał w ręku jakby krótką włócznię w kształcie nietoperza, przymocowaną do cienkiej, nylonowej linki. Wystrzelił ten pocisk w górę. Hak zaczepił się o pomost.

Batman złapał Vicki w talii. - Trzymaj się!

Nacisnął coś przy pasku. Oboje wystrzelili w górę jak złapanie na wędkę ryby. Jakaś kula przeleciała ze świstem koło ucha dziewczyny. Unieśli się dwa piętra w górę. Ale prędkość ich lotu zaczęła spadać.

Na wysokości trzeciego piętra stanęli. Vicki zrozumiała, że mechanizm unoszący nie był w stanie wytrzymać ich wspólnej wagi. Poczuli się winna i przerażona. Wisieli jak kaczki. Może powinna była powiedzieć Batmanowi, ile naprawdę waży?

Batman okręcił się w kółko. Vicki spojrzała w dół i krzyknęła. Ludzie Dżokera wycelowali w nich całą swoją artylerię, czekali tylko na właściwy moment, gdy Batman przestanie się kręcić i będą mogli zabić ich oboje bez żadnego problemu.

- Cokolwiek się stanie - wyszeptał Batman ochryplym głosem - nie schodź!

Zdjął coś ze swojej talii i przyczepił to do pasa Vicki. Puścił ją.

Wystrzeliła w górę, wrzeszcząc ze strachu. Zobaczyła, jak Batman z rozpostartą peleryną spada z drugiego piętra na trotuar. Znow krzyknęła, trzasnąwszy plecami o pomost. Ale nic się nie stało, kołysała się na sznurze w górę i w dół.

gorzej było na dole. Batman wylądował pośrodku sterty śmieci i puszek. Podbiegli doń ludzie Dżokera. Dwóch z nich Batman odepchnął na ścianę, zanim jeszcze wstał. Ale trzeci znalazł wśród rupieci ciężką rurę. Trzasnął nią w czaszkę Batmana.

Batman upadł.

Bandyci podeszli bliżej. Vicki czuła się bezsilna. Lina przestała się huścić. Vicki wdrapała się na pomost, potem na dach. Ale nie miała broni. Co mogła zrobić?

W czasie ucieczki trzymała kurczowo torbę fotograficzną. Może tam było coś, co mogłoby się przydać.

Rozpinając zamek spojrzała w dół.

Jeden z oprychów dwukrotnie wystrzelił w żółto-czarny emblemat na piersiach Batmana. Ciało drgnęło.

Vicki przechyliła się. Czy było za późno?

Ludzie Dżokera stali nad ciałem.

- Nie ma krwi - odezwał się jeden z nich.

- Jezu - odpowiedział drugi. - Kto to jest? Sprawdź jego portfel.

- Zaczekaj - przerwał trzeci. Skulił się nad ciałem i zapukał w kostium Batmana.

- Co to takiego? - zapytał ostatni z nich,

- Jakiś pancerz czy coś - odpowiedział klęczący oprych.

- A więc to człowiek - odezwał się mężczyzna, który strzelał, a w jego głosie pojawił się stanowczy ton. - Zdejmij mu maskę.

Pancerz? Vicki zrozumiała, że Batman żyje. Wymyśliła też, jak odciągnąć napastników, a może także zdobyć materiał dla Gotham Globe.

Zdjęli mu maskę, ale jego twarz nadal pozostawała w cieniu.

- Zejdźcie z drogi! - krzyknął główny oprych. - Nie widzę go.

Wtedy Vicki błysnęła fleszem.

Ludzie Dżokera wydawali się zdziwieni i zdezorientowani.

- To ta dziewczucha! - krzyknął któryś.

Ktoś strzelił. Kula wbiła się w betonową półkę kilka centymetrów od jej twarzy. Znow błysnęła fleszem; tym razem także zrobiła zdjęcie. Wiedziała, że wystawia się na strzały, ale musiała mieć te zdjęcia.

Wszyscy rewolwerowcy podnieśli broń i jednocześnie wystrzelili w górę.

Błyski nad ich głowami skończyły się.

- Trafiłeś ją? - spytał ktoś.

- Chyba tak - odpowiedział inny głos.

Batman otworzył oczy. Zobaczył czterech ludzi z wycelowaną w niego bronią. Wysunął rękę, złapał najbliższego faceta za marynarkę i zasłonił się nim przed strzałami.

Zerwał się na nogi, zasłaniając się zwłokami jak tarczą. Uniósł martwe ciało w powietrze. Rzucił. Wylądowało na jednym z napastników. Ten potknął się na puszcze i przechylił się do tyłu, uderzając głową o mur. Upadł nieprzytomny.

Batman był już przy trzecim napastniku. Ścisnął go za gardło i stalowym czubem buta wymierzył kopniaka.

Teraz miał już tylko jeden problem. Naciągnął maskę na twarz i odwrócił się frontem do ostatniego pozostałego na polu walki wroga.

Ostatni ludzki śmieć miał odbezpieczoną broń, ale 'za bardzo trząsał się, by wycelować. Batman uśmiechnął się. Śmieć wrzasnął i rzucił się do ucieczki.

Batman spostrzegł, że na górze znów zapaliła się lampa błyskowa. Vicki Vale wszystko rejestrowała.

Będzie musiał coś z tym zrobić.

Batman w ciągu kilku sekund rozprawił się ze wszystkimi napastnikami. Teraz spojrzał w górę, na Vicki.

Cofnęła się, aby jej nie zobaczył. Musiał wiedzieć, że robiła zdjęcia, także i wówczas, gdy nie miał na twarzy maski. Te zdjęcia były zbyt wiele warte, by je stracić. Szybko przewinęła film i rozładowała aparat. Ale gdzie mogła najbezpieczniej schować taśmę? Możliwości miała ograniczone. Wsunęła rolkę za bluzkę i puściła się pędem po dachu, w kierunku drzwi po przeciwnej stronie budynku.

Może nie powinna tak postąpić. W końcu Batman uratował jej życie. Ale było coś w człowieku nietoperzu - coś znajomego i obcego jednocześnie. Zrozumiała, że chce te zdjęcia mieć dla siebie, nie dla Globe. Musiała zobaczyć jego twarz. Kiedy wywoła film, pozna prawdę o Batmanie.

Vicki nie było. Mógł ją odszukać w ciągu chwili. Ale na razie musiał zająć się innymi sprawami.

Wyszedł z alei i zobaczył Batmobil zaparkowany dwie przecznice dalej. Był otoczony przez policję i tłum ciekawskich. Kilku policjantów wspinało się na maskę samochodu próbując znaleźć wejście do środka. Był też już na miejscu wielki ciągnik - taki, jakich używa się do holowania przyczep - który przygotowywał się do zabrania Batmobilu.

Batman parsknął. Zawsze były jakieś komplikacje. No cóż. Jeśli chciał mieć do czynienia z rzeczami prostymi, powinien był zająć się inną robotą.

Przycisnął guzik przy pasie. Miniaturowy nadajnik radiowy znalazł się szybko w jego ręce. Nacisnął guzik kontaktu słownego.

- Otworzyć tarcze - zarządził.

- Otworzyć tarcze - odpowiedział głos z komputera.

Stalowe tarcze wsunęły się w drzwi i błotniki.

- Zapłon - powiedział Batman.
- Zapłon - potwierdził samochód.

Jeden z policjantów pełzną po masce próbował zajrzeć do środka ciemnej kabiny.

- Ktoś tam jest! - krzyknął.

Turbinowe silniki ruszyły i Batmobil zaczął się toczyć - najpierw wolno, aby policjanci i tłum zdążyli się rozpierchnąć, potem coraz szybciej. Gdy zbliżył się do rogu, błysnął migacz.

Batman pozostawił samochód na jakiś czas na sterowaniu komputerowym. Musiał usunąć z drogi policjantów, a Batmobil świetnie się do tego nadawał.

Przez ten czas musiał załatwić pewną sprawę niecierpiącą zwłoki.

Na ulicy w dole wyły syreny. Vicki spostrzegła samochód Batmana toczący się po jezdni, mijający autobus i dwie taksówki, wzbudzający zdziwienie wśród zdumionych przechodniów. Przynajmniej Batman odjechał. Teraz musiała wydostać się spod nieba Gotham.

Pierwsze drzwi, którymi chciała zejść z dachu, były zamknięte. Tego należało się spodziewać, pomyślała. Ale dach był połączony z sąsiednim dachem; trzeba było tylko przeskoczyć pół metra. Potem, wykorzystując stare krzesło, które ktoś tu zostawił, udało się jej wdrapać półtora metra wyżej, na trzeci dach. Na tym ostatnim znalazła awaryjne zejście przeciwpożarowe. Szczęśliwa ruszyła w dół.

Syreny ucichły w oddali. Z natężenia hałasów wywnioskowała, że Batmana goniło około dwudziestu samochodów policyjnych. Spojrzała w dół. Na ulicy nie było nikogo.

Stała już na ostatnim szczeblu drabiny. Drabina ta nie sięgała do ziemi - kończyła się półtora metra nad chodnikiem. Vicki musiała skoczyć. Dlaczego nikt nie przestrzega człowieka przed takimi niebezpieczeństwami, kiedy zaczyna się uprawiać fotografię prasową? Przynajmniej miała na nogach wygodne buty.

Z aparatem zawieszonym na ramieniu złapała za ostatni żelazny szczebel drabiny i skoczyła na ziemię. Chciała stąd odejść jak najszybciej. Rozejrzała się. Było zbyt spokojnie. Nie chciała znów wpaść na ludzi Dżokera - ani na Batmana.

Przyspieszyła kroku rozglądając się niespokojnie. Coś wyrosło przed nią na drodze - coś dużego i czarnego.

Nie mogła się zatrzymać. Całym rozpędem ciała zderzyła się z Batmanem.

Zatkało ją, spojrzała na zamaskowaną twarz.

- Tak bez dziękuję? - zapytał.

Dziękuję? - pomyślała. Za uratowanie życia? Vicki natychmiast przybrała postawę obronną, ponieważ wiedziała, że Batman ma rację.

- Ty też mógłbyś mi podziękować - odwzajemniła mu się. - Byłeś już prawie martwy.

Batman spojrzał na nią z góry. Jego twarz pod maską wyglądała zupełnie obojętnie.

- Wązysz nieco więcej niż pięćdziesiąt trzy kilo - odpowiedział.

Vicki znów usłyszała syreny. Szybko zbliżały się w ich stronę.

Batman złapał ją za ramiona.

- Lepiej chodź ze mną - powiedział łagodnie. Zrozumiała, że tak właśnie powinna zrobić. Syreny wyły nie dalej niż o przecnicę od nich. Nie chciała spędzić reszty dnia na wyjaśnieniach w policji.

- Dokąd idziemy? - spytała.

W odpowiedzi Batman wziął ją za rękę i pociągnął za róg. Wyszli na ulicę.

Zobaczyła pędzący na nich Batmobil. Musieli mu zejść z drogi!

Ale Batman stanął dokładnie w snopie światła rzucanym przez przednie reflektory.

- Stój! - rozkazał.

Hamulce zapiszczały. Batman chwycił Vicki za rękę, powstrzymując ją przed ucieczką. Zamknęła oczy. Kiedy je otworzyła, samochód stał w miejscu, metr od jej stóp.

Batman zaprosił ją na miejsce pasażera, sam wskoczył za kierownicę. Gdy siedziała już w samochodzie, syreny wyły na pobliskim zakręcie. Widziała błyskające światła. Były tam przynajmniej cztery wozy policyjne. Pierwszy z nich już się zbliżał do Batmobilu.

Nad ich głowami zamknęły się drzwi i Batman przycisnął gaz do deski. Zaryczały silniki. Vicki mogłaby przysiąc, że widziała ogień buchający z rury wydechowej. Samochód ruszył. Jechał coraz szybciej po szerokiej alei.

Batman kazał jej zapiąć pasy.

Zrobiła to zerkając na szybkościomierz. Jechali ponad dwieście kilometrów na godzinę. Spojrzała w lusterko.

Daleko z tyłu zobaczyła światło. Chwilę później wszystko zniknęło. Uciekli wszystkim.

Wyjechali z miasta. Na pustej szosie obsadzonej po obu stronach wysokimi starymi sosnami Batman zwolnił. Przycisnął kolejny wyłącznik na tablicy kontrolnej. Nagle okno przed oczami Vicki całkowicie zmatowiało. Nie wiedziała, gdzie byli i dokąd jechali. O to zapewne Batmanowi chodziło.

- To jest porwanie! - zawołała.

- Na to wygląda - zgodził się Batman. Zapalił pomiędzy nimi światło tak jasne i oślepiające, że Vicki nie mogła dłużej na niego patrzeć. Zamrugła oczami, próbując przyzwyczać się do jasności. Nagle zauważyła, że znów może wyglądać przez okno. Nie zależało jej na tym specjalnie, miała bowiem wrażenie, że jadą wprost na pionową skalną ścianę.

Jej oczy przyzwyczyły się w końcu do iluminacji. Spojrzała na Batmana. Uśmiechał się naciskając na pedał gazu.

Ze straszliwą szybkością pędzili na skałę.

Vicki zaczęła krzyczeć.

12.

Ściana skalna zniknęła. Vicki pomyślała, że musiała się w tym kryć jakaś sztuczka, może projekcja, może lustrzane odbicie. Zamiast roztrzaskać się na skałach samochód wjechał do olbrzymiej jaskini.

Vicki patrzyła, jak Batman zatrzymuje wóz. Znajdowali się w gigantycznej pieczarze. Oświetlały ją krzyżujące się nad głowami światła reflektorów. Ściany były z grubo ciosanego kamienia; przejścia niknęły w mroku. Pieczara była tak rozległa, że reflektory rozjaśniały tylko jej fragmenty, tworząc plamy światła w morzu ciemności.

W jaśniej oświetlonych zakamarkach mogła zidentyfikować różne przedmioty. Pod jedną ze ścian stał cały zestaw komputerów. Pod inną był świetnie wyposażony warsztat mechaniczny z tokarką, piłą tarczową i rzędami narzędzi. Zobaczyła także stół z kolbami, zlewkami i palnikami. Odgadła, że to zestaw do wykonywania doświadczeń chemicznych. Nie byłaby zdziwiona, gdyby Batman miał tu całe laboratorium zbrodni.

Wysiadła z samochodu. Batman wyszedł z drugiej strony. Ostrożnie ruszyła w głąb jaskini, próbując przyjrzeć się wszystkiemu dokładniej. Człowiek nietoperz szedł za nią, utrzymując pewien dystans. Zrobiła krok w jego stronę wchodząc w krąg światła.

- Uważaj! - przestrzegł ją. Vicki spojrzała za siebie, potem na prawo, wreszcie przed siebie. Jeszcze krok i znalazłaby się w jamie tak głębokiej, że nie widać było jej dna. Wrzuciła kamyk. Nie usłyszała żadnego odgłosu. Wydawało się, że jama nie ma w ogóle dna. Spojrzała w górę. Nad otchłanią zawieszono były kółka gimnastyczne.

- Witaj w Jaskini Nietoperza - odezwał się Batman.

Wysoko nad głową usłyszała wrzaskliwe odgłosy. Spojrzała w górę. Nad gimnastycznymi obręczami, u wylotu jaskini dostrzegła cień skrzydeł.

Gdy zrozumiała, co to było, zadrżała.

- Nietoperze - powiedziała cicho. - Są przerażające.

- I o to chodzi - zgodził się Batman. Podeszedł do ściany pełnej komputerów, przy której w cieniu stała mała klatka na ptaki. Vicki szła za Batmanem. Zbliżywszy się spostrzegła, że w klatce nie było ptaka. Zamiast niego siedział w niej mały nietoperz ze złamanym skrzydłem ujętym w łupki i owiniętym w bandaż.

Batman zapukał w klatkę.

- Nietoperze są bardzo odporne.

Ruszył w stronę stołu, na którym leżały stosy papierów. Vicki trzymała się z daleka od klatki nietoperza. Za Batmanem stał wieszak na ubrania, pełen nietoperzowych kostiumów. Podeszła bliżej, żeby przyjrzeć się im. Dotknęła palcami materiału. Wydał jej się dziwny. Była to kombinacja naturalnego włókna, tworzywa rozciągliwego jak guma i jeszcze chyba czegoś innego. Ta mieszanka była cienka, ale miała swoją spoistość i wagę, jakby utkana była ze stali.

- Jaka to tkanina? - spytała Vicki, gdy Batman podniósł wzrok znad papierów.

Potrząsnął głową. - Ona nie ma nazwy. Batman nie wydawał się szczególnie elokwentny. Nie wiedziała nawet, po co ją tu sprowadził.

- Co masz zamiar ze mną zrobić? - spytała podchodząc do niego. Chciała przyjrzeć się jego twarzy. Chciała dowiedzieć się o nim czegoś więcej.

Zrozumiał to i cofnął się o krok. Skrył się w cieniu.

- Zrobisz coś dla mnie? - zapytał.

Co przez to rozumiał? Patrzyła, jak staje przy swoim laboratorium. Z bliska dostrzegła nie tylko zlewki i palniki. Na stole stały różne rzeczy - kosmetyki, dezodoranty, szampony. Po lewej stronie zaczął terkotać komputer. Vicki spojrzała na stojący obok drukarki monitor, wyświetlający nie kończącą się listę.

- Co to jest? - spytała.

Batman odwrócił się do niej. Jego ręce były w świetle, ale twarz ukrywał w cieniu.

- Policja źle prowadzi akcję - powiedział szorstko. - Szukają jednego produktu. Tu chodzi o bardziej skomplikowany układ. Dżoker zatrął setki podstawowych chemikaliów.

Podstawowych chemikaliów? Vicki spojrzała na szereg kosmetyków i środków pielęgnacyjnych rozstawionych na stole, starając się zrozumieć słowa Batmana.

- Więc... wszystkie dostawy produktów są zatrute? Jeśli tak, wszyscy powinniśmy być martwi.

Potrząsnął w ciemnościach głową.

- Nie. Każdy produkt zawiera tylko jeden składnik. Trucizna działa wówczas, gdy komponenty się mieszają. - Podniósł ze stołu puszkę. - Sam lakier do włosów nie jest groźny. Ale... połączenie lakieru, perfum i szminki staje się toksyczne. A nie można tego z góry ustalić.

Naprawdę? A to historia. Batman wydał jej się kimś więcej niż tylko mężczyzną w przebraniu nietoperza, załatwiającym oprychów. Ale to nie było takie proste. Jeśli chciała mieć prawdziwie dobry materiał, który mogłaby wydrukować, musiała poznać jego metody, musiała mieć pewność, że nie miała do czynienia z czystą spekulacją.

- Jak do tego doszedłeś? - spytała.

Nie odpowiedział. Znowu schował się w mroku. Być może, pomyślała, nie wyjdzie z tego żaden materiał.

Kiedy znów odwrócił się do niej, trzymał w rękach grubą brązową kopertę. Postąpił krok do przodu i podał kopertę Vicki.

- Daj to do gazety.

Zajrzała do środka. Było tam z pięćdziesiąt kartek papieru zapisanych chemicznymi wzorami i listami skażonych produktów.

Ale kiedy raz obudziły się w niej wątpliwości, trudno jej się było ich pozbyć. Pamiętała wszystkie redakcyjne plotki i spekulacje, kim jest Batman i o co mu w istocie chodzi. Te papiery na pierwszy rzut oka wyglądały interesująco. Ale co będzie, jeśli przejrzy je redaktor naukowy Globe i dojdzie do wniosku, że to bzdury? Nie chciała obiecywać niczego, czego na pewno nie mogła spełnić.

- Mogę mieć z tym pewne kłopoty - powiedziała w końcu. - Wielu ludzi sądzi, że ty i Dżoker pracujecie razem.

Batman odpowiedział szybko i ostro:

- Zrób mi przysługę i nie schlebiaj mojemu wrogowi. Ten facet jest psychopata.

Vicki spojrzała na niego znad papierów.

- Niektórzy mówią to samo o tobie.

Batman milczał chwilę, jakby to, co powiedziała, było dla niego nowością.

- Kto tak mówi? - odezwał się w końcu, dużo ciszej niż przedtem.

- Spójrzmy prawdzie w oczy - odpowiedziała Vicki szczerze. - Nie jesteś zupełnie normalny.

Tym razem odpowiedź Batmana była śmielsza.

- To świat nie jest całkiem normalny. Mówiąc to cofnął się. Znowu połąkł go mrok. Vicki starała się opanować drżenie. Z każdą minutą sytuacja stawała się coraz dziwniejsza. Co właściwie wiedziała o tym Batmanie?

- Dlaczego mnie tu sprowadziłeś? - spytała, mając nadzieję, że nie usłyszy w jej głosie podstępu.

Poruszył się w ciemnościach. Usłyszała jego głos za plecami.

- Ludzie potrzebują tych informacji.
- Mogłeś je przesłać sam - odcięła się.

Nie odpowiedział od razu. Vicki rozejrzała się, próbując dostrzec coś w mroku. Ale niczego nie widziała i niczego nie słyszała. Może nawet była sama, zagubiona w bezkresnej jaskini.

- Masz rację - powiedział jej do ucha. Złapała oddech. Stał dokładnie przed nią.
- Mógłbym to zrobić - dodał. - Ale chodziło mi o coś jeszcze.

Vicki z trudem oddychała, nie mogła mu odpowiedzieć.

- O c... c... co? - udało jej się wyszeptać.

- Masz coś, co chcę mieć - odpowiedział. Zrobił krok w jej kierunku. Odruchowo cofnęła się.

Spojrzała za siebie i spostrzegła, że stoi niemal na krawędzi otchłani. Jak się tu znalazła? Czy to Batman wmanewrował ją na tę krawędź, by nie mogła uciec? Obejrzała się. Batman był tuż obok niej. Dotknęła ręką bluzki.

- Co ja takiego mogę mieć? - Jej głos prawie zanikał.

Batman narzucił na nią pelerynę.

Czuła, że jest w pułapce. Nie mogła oddychać. Chciała krzyknąć.

Otoczył ją ramieniem. To ją trochę uspokoiło. Było w tym uścisku coś znajomego, co dawało jej dziwne poczucie bezpieczeństwa.

Uwolnił jedną rękę i podniósł rękawicę ku jej twarzy. Coś w tej rękawicy było, coś gryzącego. Czuła, że oczy jej się zamykają. Powieki stały się zbyt ciężkie, żeby je otworzyć. Gaz usypiający! Nie zdążyła się nawet przestraszyć; była zmęczona, coraz bardziej zmęczona. Wszystko - Batman, jaskinia, plamy światła i cienie - wszystko zaczęło blaknąć.

Ostatnim odgłosem, który usłyszała, był łopot skrzydeł.

Skrzydeł nietoperza.

Otworzyła oczy. Słońce wdzierało się przez okno. Była we własnym mieszkaniu, we własnym łóżku.

Co tu robiła? Batman, Dżoker, Jaskinia Nietoperza - czy to jakiś dziwny sen?

Ściągnęła prześcieradło i zobaczyła, że stale jeszcze ma na sobie ubranie z dnia poprzedniego.

A więc to zdarzyło się naprawdę. Musiał ją tu przynieść Batman.

Ale było coś jeszcze. Coś, co schowała. Coś, czego nie chciała mu oddać.

Usiadła i sięgnęła pod bluzkę. Kasetka z filmem zniknęła.

- Film! - krzyknęła gwałtownie, jakby chciała zakląć. - Zabrał mi film!

Co mogła zrobić? Przez chwilę bezmyślnie patrzyła na wzory malowane przez słońce na podłodze. 'Zadzwoił telefon.

Sięgnęła po słuchawkę. Wykonując ten ruch poczuła, że jest jeszcze trochę otumaniona.

- Halo? - wydusiła z siebie.

- Vicki? - Był to głos Alliego Knoxa. Sprawiał wrażenie zaniepokojonego. Nic dziwnego, po tym, w jaki sposób odebrała telefon. - Wszystko w porządku? Chcesz, żebym do ciebie przyjechał?

- Nie - odpowiedziała siląc się na stanowczość. Nagle zobaczyła coś na stoliku obok łóżka. - Zaczekaj. Allie?

Podniosła kopertę, którą dał jej Batman.

- Allie - spytała patrząc na budzik - jeśli ci coś przyniosę, wepchniesz to do wieczornego wydania?

- Ledwie, ledwie - odpowiedział Knox. - To coś ważnego?

Jak nigdy, pomyślała Vicki.

- Tak. Coś bardzo ważnego - odpowiedziała.

- Jak bardzo? - nalegał Knox.

Odłożyła słuchawkę. Wolała mu to zawieźć, niż spędzić resztę dnia na niepotrzebnych dyskusjach.

- Ogromnie ważne - powiedziała sama do siebie.

WOJNA CUDAKÓW! - krzyczały nagłówki gazet. - STARCIE DŻOKERA i BATMANA w FLEUGELHEIM!

Wojna cudaków? Co za rozgłos! Dżoker aż do chwili, gdy ktoś przyniósł mu wieczorne wydanie Globe, uważał, że prasa zrobiła mu wspaniałą reklamę. Ale teraz "Wojnę cudaków" zepchnęły do prawego dolnego rogu inne sztandarowe nagłówki:

BATMAN ODKRYŁ TAJEMNICĘ TRUCIZNY DŻOKERA!

Obywatelom zaleca się unikanie niektórych produktów!

W wiadomościach telewizyjnych też trajkotali o tym na okrągło.

- Unikajcie następujących kombinacji - zaczął uroczyście Peter McElroy. - Nie łączcie dezodorantów z dziecięcym pudrem, lakierem do włosów i płynem do ust. - Odczytał całą listę, wyszczególniając wszystkie kombinacje opracowane przez Dżokera, a nawet kilka takich, o których ten nie pomyślał.

- Drogą lotniczą otrzymujemy dostawę bezpiecznych produktów - ciągnął prezenter. - A całe Gotham zastanawia się, co myśleć o Batmanie. Czy jest on wrogiem, czy przyjacielem?

Teraz Dżoker zaczął krzyczeć. Czy ci idioci z wiadomości niczego nie potrafią ocenić? Po tych wszystkich godzinach, jakie spędził na planowaniu śmierci, na wymyślaniu jej najlepszego kształtu - oni zastanawiają się, co sądzić o Batmanie?

- Nadałem imię swojemu bólowi - krzyknął Dżoker w głąb pokoju pełnego sługusów. - Brzmi ono: Batman!

Pociągnął za spust i roztrzaskał ekran telewizora na kawałki. Jego ludzie sprawiali wrażenie zdziwionych takim atakiem furii. Czyżby nie wiedzieli, że zbyt długie oglądanie telewizji jest szkodliwe dla zdrowia?

Dżoker wstał i gwałtownie pchnąwszy drzwi, opuścił pokój. Wszedł do fabryki.

Bob - dobry, stary Bob, który zawsze był na miejscu, kiedy się go potrzebowało, ruszył za nim.

- Bob, musisz być silny - zaczął Dżoker. - Trzeba mieć wielką siłę, żeby zadawać wielki ból. Musimy zabić Batmana! - Zrobił rękami ruch, jakby kogoś dusił. - Chcę oczyścić swoje pazury.

Nie mógł skoncentrować się na mapach; kawa już nie wystarczała. Musiała przecież być jakaś metoda w działaniach Dżokera - musiało w tych mapach kryć się coś, co pozwoliłoby mu dotrzeć do tajemniczej fabryki tego szaleńca. Gdyby tylko mógł się skupić i zebrać wszystkie myśli.

Spojrzał na Alfreda, który postawił następną filiżankę kawy. Lokaj cofnął się; odchrząknął. To był znak, że chce powiedzieć, co naprawdę sądzi.

- Proszę pana - zaczął Alfred - znów dzwoniła panna Vale. Nie wiem, jakie ma pan względem niej zamiary, ale sądzę, że pańskie obecne zachowanie może tylko utwierdzić ją w uporze. A i tak jest dosyć uparta.

Bruce ziewnął. Jak zwykle Alfred miał rację.

- Wiem, Alfredzie - zgodził się odprowadzając lokaja. Znów spojrzał na mapy. Może musi się od nich oderwać, pozwolić odpocząć swoim szarym komórkom.

Poza tym coś jeszcze mu dokuczało.

Zostawił niedokończoną sprawę - coś, co za bardzo nawet pasowało do owej twarzy "milionera - playboya", którą pokazywał światu. A przecież nie chciał nikogo ranić. Tym bardziej nie chciał zranić Vicki.

Ani Batman, ani Bruce Wayne nie lubili zostawiać niedokończonych spraw.

Kto to mógł być?

Vicki podeszła do drzwi i wyjrzała przez wizjer. Była to ostatnia osoba na świecie, której się spodziewała. Przynajmniej w tej chwili.

Był to Bruce Wayne.

Przekręciła zamek i uchyliła drzwi na tyle, by widzieć Bruce'a wyraźnie.

- No, cóż - odezwała się próbując udawać spokój - niewidzialny człowiek we własnej osobie...

Bruce uśmiechnął się tym swoim uśmiechem małego chłopca.

- Przejrzałaś mnie - odpowiedział. Trzymał w ręku różę, przez ramię przewieszoną miał wypchaną torbę.

Vicki otworzyła drzwi. Lubiła różę. Podał jej kwiat i zapytał, czy może wejść.

Spojrzała na różę i nagle przypomniała sobie inny kwiat - plastikowy, purpurowy i martwy. Tyle się wydarzyło przez dwa ostatnie dni, że sama nie wiedziała, co myśleć. Znowu poczuła się jak w strefie wojny. Spojrzała na Bruce'a. Uśmiechał się nerwowo.

- A więc... - zaczął, ale chyba zabrakło mu słów. Vicki przerwała milczenie. Nadszedł czas, żeby ktoś powiedział prawdę.

- Słuchaj, wiem, że powinniśmy sobie ułatwiać takie rzeczy, ale naprawdę mnie zraniłeś.

- Wiem - odpowiedział Bruce niepewnie. - Dlatego tu przyszedłem. Ja...

- Okłamałeś mnie, że wyjeżdżasz z miasta - przerwała Vicki.

Wpadła w trans, nie można było jej powstrzymać. Gdy już raz zaczęła o tym mówić, musiała wyrzucić z siebie wszystko.

- Nie odpowiadałeś na moje telefony. A potem zobaczyłam cię maszerującego wśród kuł, jakbyś chciał popełnić samobójstwo!

- Posłuchaj, ja... - Bruce wypowiadał słowa z większym jeszcze trudem niż przedtem.

- Przez chwilę zgubiłem się w tym wszystkim. Po prostu pewne sprawy... - spojrzał w dół na swoje ręce, jakby tam, pomiędzy palcami mógł znaleźć właściwą odpowiedź - poruszają mnie.

- Poruszają? - zawołała Vicki. - Wyglądałeś jak ktoś zupełnie inny!

W końcu Bruce spojrzał na nią.

- Trzeba zrozumieć... - znowu przerwał, jakby zgubił słowo - zbrodnię - dodał w końcu i wyciągnął w jej stronę rękę. - Ja... ja kocham to miasto.

A więc znowu. Znowu ta szczerość, która przekonała Vicki do niego poprzedniej nocy. Nie mogła mu jednak pozwolić odejść bez słowa wyjaśnienia.

- No, proszę - powiedziała. - Jest z powrotem: słodki troskliwy chłopiec. W tobie jest chyba dwóch ludzi. Bruce, co się stało?

Odwrócił się od niej, patrzył przez okno. Przygryzł dolną wargę. Gdy znów na nią spojrzał, miał ten sam wyraz twarzy, jaki dostrzegła wówczas, na Gotham Square. Było też w jego spojrzeniu coś nowego i miała nadzieję, że to determinacja, by wyjaśnić sytuację.

Rozległo się pukanie do drzwi.

No, świetnie, pomyślała Vicki. Nowy mężczyzna w jej życiu zbliża się wreszcie do swojej wielkiej spowiedzi, a jej mieszkanie zamienia się w poczekalnię dworcową. Uśmiechnęła się do Bruce'a, wzruszyła ramionami i poszła spojrzeć przez judasza.

- Kto tam? - spytała.

- Paczka dla panny Vale - odpowiedział matowym głosem posłaniec.

Co to mogło być? Coś od Bruce'a? Jeśli tak, to powinno przyjść przed nim. Ale, pomyślała, lepiej późno niż wcale.

Otworzyła drzwi i podpisała przekaz. Posłaniec podał jej pudełko opakowane w brązowy papier. Dopiero wtedy zauważyła, że adres napisany był kredką - tak jak na paczce, którą Dżoker dał jej w muzeum.

- Bruce? - zawołała. - Boję się.

Bruce wziął od niej paczkę. Zdjął torbę z ramienia i wszedł do kuchni. Vicki ruszyła za nim, ale powstrzymał ją.

- Zamknij drzwi - polecił. - Na wszelki wypadek. Może miał rację.

- Uważaj - powiedziała. - Żeby nie wybuchło.

Zamknęła Bruce'a razem z tajemniczą paczką w kuchni.

Jaka szumowina mogłaby posłać taką rzecz bezbronnemu obywatelowi?

Znał już odpowiedź na to pytanie. Był tylko jeden szaleniec, który mógł przesłać pocztą bombę albo i coś gorszego. Sięgnął pod drugie dno torby. Będzie potrzebował swego pasa z przyrządami.

Rozłożył pas i otworzył trzecią przegródkę od sprzączki. Wyjął stamtąd wykrywacz dźwięków. Było to niewielkie Urządzenie przypominające wyglądem lekarski stetoskop, tyle że w miejscu, gdzie powinny znajdować się słuchawki, były dwa detektory sonarowe.

- I co? - zawołała Vicki przez drzwi. Wykrywacz milczał.

- Nie słychać żadnego tykania - odpowiedział. Wyciągnął z pasa małą maskę gazową i przyłożył ją do nosa i ust. Potrzebował czegoś z kuchni. W suszarce do naczyń znalazł duży nóż. Wziął go i ostrożnie przeciął brązowy papier.

Vicki zapukała w drzwi. Instynktownie odskoczył, zanim zorientował się, skąd pochodzi hałas.

- Co się dzieje? - spytała. - Nic ci się nie stało? Wziął głęboki oddech, znów zbliżył się do paczki, by skończyć jej rozpakowywanie. Wieczko pudełka odskoczyło.

Nawet przez drzwi Vicki usłyszała głośny hałas.

- Bruce? - krzyknęła jeszcze głośniej niż przedtem. - Wszystko w porządku?

Nie było odpowiedzi.

- Bruce, wchodzę! Pchnęła drzwi.

Bruce stał w kuchni, nie mogąc oderwać wzroku od paczki. Nad pudełkiem kołysała się na sprężynie dłoń w rękawiczce - dłoń trzymająca bukiet zwiędłych kwiatów.

- Bardzo poetyczne - stwierdził Bruce. Pochylił się nad kwiatami i wyjął z nich dużą białą kartkę z tłoczonym czerwonym napisem. Podał ją Vicki. Dziewczyna przeczytała głośno:

“Na górze róże,
na dole bez,
Te kwiaty są martwe,
ty możesz być też.”

Spojrzała na Bruce'a.

- Kiedy ostatnio dostałam przesyłkę - powiedziała zniżając głos niemal do szeptu - zaraz potem zjawił się on sam.

Bruce wskazał głową na frontowe drzwi. Vicki zrozumiała, że miał rację. Powinni się stąd zmyć. Odwróciła się, żeby wyjść z kuchni.

Wtedy drzwi wejściowe otworzyły się z hukiem.

Staął w nich Dzoker z całą swoją bandą.

Uśmiechnął się do Vicki.

- Tęskniłaś za mną?

Zatrzymał się, gdy spostrzegł Bruce'a.

- Cóż, panno Vale, jeszcze jeden kogut w kurniku? - Sięgnął do jednej z wielu swoich kieszeni i wyciągnął z niej rewolwer z niewiarygodnie długą lufą. Ruszył w kierunku Bruce'a, podnosząc lufę na wysokość jego policzka.

- Powiedz, przyjacielu - mruknął. - Czy tańczyłeś kiedy z diabłem w bladym świetle księżycy?

Bruce zachnął się. Nie zamierzał chyba niczego robić? Nie miał żadnej szansy wygrania z całym gangiem.

- Co? - spytał po chwili.

- Pytam o to wszystkie moje ofiary - wyjaśnił Dżoker - zanim zrobię im przeciąg w głowie. - Zachichotał, zachwycony własną elokwencją. - Podoba mi się brzmienie tych słów.

Gang Dżokera chichotał razem z nim.

Vicki spojrzała na Bruce'a. Wyglądał na zaskoczonego, po raz pierwszy od chwili, gdy Dżoker wdarł się do mieszkania. Oczy Vicki podążyły za jego spojrzeniem.

Coś leżało na kuchennym blacie - jakiś pas z elektronicznymi urządzeniami. Vicki widziała już kiedyś taki zestaw. Spojrzała na Dżokera. Był zbyt zajęty własnym przedstawieniem, aby cokolwiek zauważyć.

- Vicki - zawodził - nie daj się zwieść mojej szczęśliwej twarzy. Naprawdę jestem bardzo smutny. Byliśmy razem na kolacji. Rozmawialiśmy o sztuce. Mężczyzna i piękna kobieta. A potem - nagle - bez słowa przeprosin, odeszłaś z jakimś przebierańcem.

Podszedł o krok bliżej, złożył ręce na sercu i zaczął recytować:

- "Śmieję się tylko na zewnątrz, mój uśmiech jest zagłębieniem w skórze, gdybyś wiedziała, jak w środku płacę, płakałabyś razem ze mną".

Wyciągnął rękę i dotknął twarzy Vicki.

Bruce rzucił się w ich stronę.

Ale zatrzymały go pięści jednego z członków bandy. Zatoczył się do tyłu, upadł na blat stołu, potem osunął się na ziemię.

Dzoker wycelował w niego.

Nie! Vicki musiała coś zrobić!

Dzoker pociągnął za spust.

Z lufy wystrzeliła czerwono-żółta chorągiewka z napisem: "Pif-paf!".

Ludzie Dżokera uznali to zdarzenie za bardzo śmieszne. Bruce skulił się w kącie.

Vicki zrozumiała, że musiała się mylić w sprawie pasa.

Dzoker wziął ją za rękę.

- Chodź, chcę, żebyś zrobiła mi kilka fotek. Żebyś mnie uczyniła nieśmiertelnym. -

Pociągnął ją w stronę drzwi. - Będę dla ciebie dobry.

Jeden z facetów podał Vicki marynarkę i torbę z aparatem.

Ktoś krzyknął za oknem. Vicki spojrzała w dół, na ulicę. Na chodnik wjechał wóz policyjny. Wypadło z niego dwóch policjantów, trzymając się za gardło.

Vicki знаła przyczynę zamieszania. Odwróciła się do Dżokera.

- Co się stało tym policjantom? Dżoker wyjrzał przez okno.

- Zdaje się, że zmieniają zdanie na temat swojego miejsca w porządku społecznym.

Dwóch ludzi Dżokera brutalnie wypchnęło Vicki z kuchni. Słyszała, jak zatrzęsęły się za nią drzwi. Wykręciła szyję. Chciała zobaczyć, co dzieje się w jej mieszkaniu.

Dzoker nie wyszedł ze wszystkimi. Zamknął drzwi. Był sam na sam z Bruce'em.

Wszyscy odeszli! Przebiegł przez pokój, wrzucił pas z narzędziami z powrotem do torby.

Usłyszał kroki. Spojrzał w górę. Tuż nad sobą ujrzał obsceniczny uśmiech Dżokera.

- Posłuchaj, Bruce - powiedział Dżoker konfidencjonalnym tonem. - Nigdy nie wycieraj się ręcznikiem innego mężczyzny.

Wycelował prosto w pierś Bruce'a i przycisnął cyngiel.

Tym razem kula była prawdziwa.

Życie było pełne wzlotów i upadków.

Cała prasa zamieściła artykuły o Batmanie. Batman ukradł Vicki Vale spod białego nosa Dżokera. Ale ten miał już teraz Vicki z powrotem, tak jak chciał. I udało mu się pozbyć jednego z jej konkurentów; Bruce'a Wayne'a było wyjątkowo łatwo zabić. Ale i tak Dżoker poczuł satysfakcję, gdy kula wbiła Wayne'a w ścianę. Musiał to przyznać. Podobała mu się gwałtowna śmierć.

Wyszedł z mieszkania zamykając za sobą drzwi. Pospieszenie zbiegł ze schodów. Chłopcy wepchnęli już Vicki do mikrobusu. Dżoker wszedł za nimi.

- Gotham Square - zawołał radośnie. - Całą parą!

Zadziwiające, w jak dobry nastrój może człowieka wprowadzić zabijanie! Dżoker zarżał ze śmiechu. Od tej chwili nie będzie żadnych upadków. Tylko wzloty - dla całego Gotham.

Zamrugał oczami. Widocznie stracił na jakiś czas przytomność. Siła pocisku powaliła go.

Usiadł i obejrzał swój bok. Nie było na nim krwi ani dziury po kuli. Podniósł torbę. Zauważył dziurę, kilka centymetrów od suwaka. Kula musiała przejść tędy.

Otworzył torbę.

Pocisk uderzył w pas z narzędziami, wbił się w ultrasonograficzny wykrywacz. Przyrząd był zniszczony, ale Bruce miał jeszcze kilka takich samych urządzeń w Jaskini Nietoperza. Wykrywacz spełnił swoje zadanie z nadatkiem. Dzięki niemu żył.

Żył. Kula Dżokera uderzyła w pas; niektórzy nazwaliby to nieprawdopodobnym szczęściem. On pomyślał, że to sprawiedliwość.

Przejechał palcami po pasie, aż trafił na przełączniki. Wykręcił numer. Zapaliły się czerwone światła, potem włączył się sygnał. Nawiązał łączność. Ale nie mógł czekać.

Wstał. Nie mógł gonić Dżokera bez maski. Gdzie Vicki mogła trzymać coś, co spełniłoby jej rolę? Wbiegł do sypialni i szybko przeszukał szafy. Nie znalazł niczego, co mogłoby służyć za maskę. Wreszcie wpadły mu w ręce czarne narciarskie gogle. Będą musiały wystarczyć.

Wyszedł z mieszkania Vicki i zaczął wspinać się na dach.

Wóz jechał zbyt szybko, nawet jak na niego. Jak można na pięknej kobiecie sprawić wrażenie człowieka mądrego i wyrafinowanego, kiedy się podskakuje na siedzeniu?

Wychylił się do przodu, złapał Boba - dobrego, starego Boba - za ramię i krzyknął mu do ucha: - Zwolnij, maniaku!

Dobry, stary Bob chyba gubił się w tym wszystkim. Dzoker zresztą też. Miasto stawało się coraz dziwniejsze. Do diabła, mógłby przysiąc, że gdy ostatni raz rzucił okiem przez okno samochodu, zobaczył faceta w garniturze i czarnych narciarskich goglach, zawieszzonego na sznurze nad przecznicą. Czy Gotham wariowało?

Miał nadzieję, że tak.

Bob zwolnił do rozsądnych sześćdziesięciu czy siedemdziesięciu kilometrów na godzinę. Dobry, stary Bob. To była najlepsza prędkość, by przebić się przez ruch Gotham. Dawała też Dzokerowi szansę położenia rąk na delikatnych kolanach panny Vale. Vicki próbowała się odsunąć, ale wóz był zbyt ciasny, aby mogła to zrobić. To jest klucz do szczęśliwego romansu, pomyślał Dzoker: zapędzić w róg obiekt swego zainteresowania.

- Jestem bardzo podenerwowany - powiedział głosem pełnym żalu i litości nad sobą samym, głosem takim, jaki zwykle podoba się młodym kobietom. - Wiesz, w moim życiu wydarzyła się ostatnio tragedia. Przedwczoraj Alicja... - Jego głos załamał się; Dzoker uznał to za bardzo dobry efekt. - Alicja rzuciła się z okna. Nie mogła przyzwycząić się do mojej nowej estetyki.

Podał Vicki porcelanową maskę Alicji, zniekształconą przez paskudne pęknięcie. Wzruszył ramionami.

- Nie można zrobić omletu nie tłukąc jajek. Vicki spojrzała przerażona. Gdy wyszli z samochodu, Dzoker pomyślał, że powinien być jej pozostawić jeszcze mniej przestrzeni.

Ale i tak uśmiechnął się do niej. Co za romantyczny głupiec!

Mikrobus Dzokera był w dole; przedzierał się przez uliczne korki. Jak dotąd, dzięki swemu pasowi z narzędziami i kilku brawurowym biegom po dachach, miał go stale w zasięgu wzroku.

Samochód wyminął konnego policjanta. Koń spłoszył się. Wydawało się, że policjant stracił nad nim kontrolę. Zakołysał się w przód i w tył w siodle. Wyglądał, jakby cały świat zaczął mu wirować.

W czasie pogoni za Dżokerem Batman widział już policjantów podobnie się zachowujących. Widział też policjantów leżących na ziemi bez przytomności. To była oczywiście sprawa Dżokera. Ale co Dżoker robi, gdy wszystkich wyeliminuje?

Batman będzie się tym martwił, gdy pozna plany Dżokera. Ale na razie mikrobus z łobuzami wpadł na stosunkowo nie zatłoczony odcinek drogi i zwiększał dystans.

W dole Bruce dostrzegł policjanta, który za chwilę miał spaść z konia.

Mógł zrobić tylko jedno.

Wylądował na końskim grzbiecie. Policjant odwrócił się wolno i bez zdziwienia, jakby wylądowanie na grzbiecie czyjegoś konia było zdarzeniem zupełnie normalnym. Uśmiechnął się smutno i pokiwał głową, masując jednocześnie gardło. Oczy mu się zamknęły.

Z uśmiechem na ustach stracił przytomność. Zaczął spadać z konia. Batman podtrzymał go i delikatnie osunął z siodła na chodnik. Nie byłoby dobrze, gdyby ludzie spali na jezdni.

Batman spojrzał na swój pas, zapięty w talii, na marynarce. Migąło na nim czerwone światełko. Może wkrótce sprawy się ułożą.

Pospieszył konia. Musiał dogonić mikrobus.

Wreszcie zobaczył mikrobus przed sobą. Dogonił go dopiero na wysokości Gotham Square. Mikrobus z piskiem zatrzymał się, wpadając niemal na trybunę.

Trybunę? Prawie zapomniał. Dziś miała odbyć się wielka parada burmistrza Borga - obchody dwóchsetlecia Gotham. Czy to miało jakiś związek z planami Dżokera?

Słyszac przed sobą pisk hamulców, koń stanął dęba. Batman rozejrzał się i dostrzegł żółtego volkswagena. Świetnie; Alfred był, jak zwykle, nienagannie punktualny.

Batman zsiadł z konia i szybko wskoczył na miejsce obok kierowcy. Alfred podał mu kostium. Natychmiast zaczął się przebierać. W samochodzie było ciasno, ale specjalnie na takie okazje ćwiczył ten manewr dziesiątki razy.

- Alfredzie - odezwał się zdjawszy narciarskie gogle - znajdź moje rodzinne dokumenty. Chcę coś sprawdzić.

- Tak jest, proszę pana - odpowiedział Alfred. - Proszę uważać.

Skinął głową i wysiadł z samochodu, ubrany już w czarny kostium Batmana. Wskoczył na konia i popędził na Gotham Square.

Młodzieżowy zespół muzyczny grał "Sto lat". Nie brzmiał zbyt dobrze, ale to nie miało znaczenia. Nad głowami muzyków powiewały czerwone, białe i niebieskie chorągiewki. Burmistrz stał razem z innymi filarami społeczności, Dentem i Gordonem. Wyglądał pompatycznie. Zaczął przemawiać, tak jak tylko on to umiał robić.

- Wszystkiego najlepszego, Gotham! Każde miasto ma swojego ojca, ale żadne nie ma ojca wspanialszego niż John T. Gotham!

Za dużo tego dobrego! Nadszedł czas, by wyjść z mikrobusu i zmieszać się ze świętującymi. Burmistrz dalej mówił tak, jak tylko on potrafił. Opowiadał o cudownych cechach, jakie, jego zdaniem, miało Gotham. Dżoker upewnił się, że Bob - dobry, stary Bob, zabrał ze sobą Vicki. Nie chciał, by po tych wszystkich niewygodach, które musiała znieść, straciła całą zabawę.

Dżoker i jego chłopcy torowali sobie drogę przez tłum. Burmistrz zwiotczającymi rękami wskazywał zasłonięty płótnem pomnik.

- Odślaniam pomnik człowieka, który ucieleśnia przeszłość, teraźniejszość i przyszłość naszego wielkiego miasta.

Czy można to było przeprowadzić choć odrobinę lepiej? Dżoker żałował, że nie mógł zrobić trochę hałasu, ale nie chciał nikogo odciągać od ceremonii.

Burmistrz pociągnął za sznurek. Płótno opadło.

Co? Niespodzianka Dżokera poruszyła wszystkich. To nie był pomnik Johna T. Gothama. Człowiek z pomnika był nieprzeciętnie przystojny. Właściwie Dżoker w ogóle nie miał pojęcia, jak wyglądał John T. Gotham, co więcej - wcale go to nie obchodziło. Zwłaszcza, teraz, kiedy stworzył tak wspaniałe dzieło! Co za wyrafinowany styl - gotycki, postmodernistyczny, neorealistyczny, ekspresjonistyczny! Dżoker wymachujący dwoma

Uzi, jakby to były sześciostrzałowe pukawki. Co za wycucie formy! Co za subtelność! Oto prawdziwe dzieło sztuki, do każdego przemawiające!

Dzoker nie byłby bardziej dumny, gdyby sam takie cudo wyrzeźbił. Co zresztą zrobił.

Odwrócił się do Vicki. Bob - dobry, stary Bob - upewnił się, że dziewczyna ma ze sobą aparat.

- Zaczynaj fotografować, moja droga - krzyknął Dzoker, wchodząc na scenę. - Ja tworzę historię!

- Wybaczcie - rzucił przepraszająco do tłumu, stając obok burmistrza. - Żadnych autografów.

Burmistrz nie wyglądał na zachwyconego jego widokiem. Może dlatego, że zamieniono pomnik. Może też dlatego, że Dzoker trzymał prawdziwego Uzi wymierzonego dokładnie w brzuch burmistrza. W każdym razie Borg wyraźnie nie chciał mu oddać mikrofonu. Dzoker musiał go sobie wziąć sam.

- We... wezwijcie policję! - Tak elokwentny zazwyczaj burmistrz stracił chyba łatwość wylewania z siebie słów. Może Dzoker będzie mu musiał pomóc.

- Jaką policję? - zapytał słodko. Pomachał do nieprzytomnych policjantów na chodniku, tych na trawie i tych u stóp pomnika. Wszyscy byli w jednakowym stanie. Burmistrz patrzył zdziwionymi oczyma na swoje siły policyjne. Biedny Borg. To wszystko całkowicie odjęło mu głos.

Cóż, ktoś musiał opanować sytuację. Na te obchody przyszło tysiące, może dziesiątki tysięcy mieszkańców miasta i Dzoker nie mógł pozwolić, aby ktokolwiek się nudził. Nie daj Boże! Gdyby teraz odeszli, straciliby paradę!

Dzoker uśmiechnął się do tłumu - do swojego tłumu. Tak jak powiedział czcigodny burmistrz odsłaniając pomnik - on był przeszłością, teraźniejszością i - z pewnością - przyszłością Gotham, czy chcieli tego czy nie. To była chwila jego triumfu!

Ale triumfy trzeba z kimś dzielić. Odezwał się do mikrofonu:

- Witajcie, mieszkańcy Gotham! Jako następny ojciec założyciel tego pięknego miasta ogłaszam obchody za naprawdę otwarte!

Podniósł w górę Uzi i wystrzelił krótką serię. Połowa transparentów nad głowami tłumu opadła, podziurawiona przez kule. O Boże. Niezdarny, niezdarny Dżoker. Dać takiemu broń i co robi?

Dżoker roześmiał się długo i głośno. To była zabawa!

Ale w tłumie na dole coś się działo. Ludzie krzyczeli (Co to? Bądź cierpliwy! To miało nastąpić później!) i pokazywali na dach po drugiej stronie placu. Dach? Kto tam mógł wejść tak wysoko?

Coś z sykiem przeleciało przez powietrze i owinęło się wokół głowy pomnika - pomnika Dżokera! Wyglądało to jak jedna z tych rzeczy używanych w Ameryce Południowej - bunko, bilbo? - Dżoker miał to słowo na końcu języka. Bolo - tak to nazywają - dwie piłki przywiązane do sznurka. Ale tym razem z piłek dochodził syk. To musiała być bomba!

Tłum rozpierzchł się z krzykiem. Akurat kiedy Dżoker się rozgrzewał. Wiedział, jaka kreatura jest za to odpowiedzialna, zanim jeszcze ją zobaczył.

To był Batman!

Teraz?

Ten człowiek potrafił zepsuć każdą zabawę!

Bomby wybuchły. Niezła eksplozja. A kiedy dym się rozszedł...

Głowa Dżokera zniknęła.

- Moja piękna twarz - wyszeptał Dżoker - zniszczona.

Musiał się z tym pogodzić. Znów te zabawki Batmana. Był pod ich wrażeniem. Jego chłopcy otworzyli do Batmana ogień. Ale kule niczego nie zdołały. Batman wystrzelił kilka sznurków, których tak lubił używać, i spuścił się po nich na ziemię. Chłopcy Dżokera rzucili się na niego z pięściami. Rozkopał ich na boki i ruszył w kierunku ich szefa.

Tak! Dżoker zdecydował. Nadszedł czas, by przystąpić do planu B. Kiedy środki specjalne nie zdają egzaminu, trzeba sięgnąć do podstaw - do groźby, gwałtu, mordu. Do wartości tradycyjnych.

Dżoker schwycił burmistrza za kłapy marynarki.

15.

Pojawił się Batman!

Vicki chciała głośno krzyknąć, ale otaczał ją gang Dżokera. Do tej pory zachowywała zimną krew. Czekwała na okazję do ucieczki, zanim Dżoker okaleczy ją lub zabije. Lecz pilnowali jej zbyt starannie. Nie mogła niczego zrobić - aż do teraz.

Batman stanął na dachu z drugiej strony ulicy. Wstrzelił w trawę dwie liny i opuścił się w dół, lądując kilka metrów od nich. Ludzie Dżokera próbowali go powstrzymać. Najpierw wycelowali w niego broń, potem rzucili się na niego z pięściami. Batman przeszedł, jakby ich w ogóle nie było.

Wtedy właśnie Dżoker schwycił za marynarkę burmistrza. Przystawił mu rewolwer do skroni.

- Do licha! - zawołał radośnie. - Mam dla ciebie zagadkę, Batmanie. Czerwone, krwiste i bez szarych komórek - co to jest?

Batman nie odpowiedział. Szedł w stronę Dżokera. Burmistrz Borg bełkotał coś, pocąc się. Dżoker mocniej przycisnął lufę do jego czaszki.

Batman nie zwracał uwagi na Dżokera. Wskoczył na scenę i zaczął go zachodzić z tyłu. Dżoker okręcił burmistrza, aby śledzić ruchy przeciwnika.

- Nie wiedziałem, że nietoperze pojawiają się w dzień! - zawołał.

Batman zatrzymał się i patrzył na Dżokera. Był tak napięty, jakby za chwilę miał wybuchnąć.

- Pojawiają się wtedy, gdy z cyrku wychodzą mordercze błazny - odpowiedział. - Puść burmistrza.

- Ach, nie mogę go zatrzymać? - zaskomlał Dżoker. - Będę go karmił! Naprawdę!

Batman nie wydawał się specjalnie przejęty tym popisem.

- Czego chcesz od tego miasta? - zapytał. Dżoker spojrział w niebo, jakby zatopił się w myślach.

- Chcę dostać nowy rower - zaczął powoli. - Chcę pojechać na Florydę... Chcę...

Vicki miała już dosyć. Zbyt długo stała tu bezsilna, obserwując bieg wypadków. Było coś, co mogła zrobić, coś, o co Dżoker ją nawet prosił.

Podniosła do oczu aparat.

- Uchwycę to, Dżoker.

Dżoker obrócił się razem z burmistrzem, aby pozować do fotografii. Vicki zrobiła zdjęcie używając najjaśniejszego flesza, jaki miała.

Batman pstryknął palcami.

- Dżoker!

Dżoker obejrzał się. Batman stał niecały metr od niego. W czasie, gdy Vicki robiła zdjęcie, przeszedł przez scenę. Machnął dłonią w rękawiczce. Coś w niej trzymał. Była to karta.

Karta z dżokerem.

Batman uderzył szaleńca w twarz. Gdy Dżoker zatoczył się do tyłu, burmistrz uciekł. Dżoker otrząsnął się z ciosu i zamienił swoje potknięcie w taniec. Reszta jego ludzi zgubiła się w tłumie. Dżoker przestał tańczyć i uśmiechnął się do Batmana.

- Mamy równe szansę! - oświadczył. - Odchodzę! Ty masz swoje zabawki, ja mam swoje!

Wskoczył na platformę pomnika i w jednej chwili otoczyły go pióropusze kolorowego dymu. Z tego dymu wystrzeliły w niebo setki fajerwerków.

Batman zaczął iść w kierunku pomnika, ale zatrzymał się. Zrozumiał, że gdy dojdzie, Dżokera już tam nie będzie.

Skierował się więc w tę stronę, gdzie Dżoker zostawił mikrobus. Nim jednak zdążył zejść ze sceny, chłopcy Dżokera załadowali się do wozu i odjechali.

Vicki znów podniosła do oczu aparat i zrobiła zbliżenie Batmana.

- Dzięki - odezwał się do niej.

- Nasze rachunki są wyrównane - odpowiedziała Vicki. - Nic ci już nie zawdzięczam.

- Jeśli tak mówisz... - odpowiedział Batman obojętnie.

Co przez to rozumiał? Trudno było powiedzieć. Nie sposób odczytać uczucia kogoś, kto połowę twarzy chowa pod maską.

A może nie powinna była mówić o “wyrównanych rachunkach”. Dopóki tego nie powiedziała, nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo czuła się winna z powodu tego, co zrobiła, gdy spotkali się po raz pierwszy i on uratował jej życie. Może Batman nie próbował niczego jej powiedzieć. Może to ona próbowała powiedzieć sobie coś na temat Batmana.

Mogła o tym wszystkim myśleć tylko przez chwilę, bo Batman wystrzelił w górę następną linę i zniknął gdzieś na dachach. Szybko utrwaliła na taśmie jego znikającą sylwetkę. W końcu to była jej praca.

- Nie miałas filmu w aparacie?

Było jej przykro i bez wyrzutów Allie Knoxa. Byłyby to świetne ujęcia - nikt przedtem nie zrobił portretu Batmana. Tak naprawdę, to do dzisiaj nikt nie miał żadnego jego zbliżenia. Popęłniła błąd, jaki zdarza się jedynie studentom sztuki operatorskiej. Jak mogła to wytłumaczyć?

- Ten facet podał mi aparat - próbowała coś powiedzieć. - Nie sprawdziłam.

Czy mogła opowiedzieć Alliemu o tym, jak była wstrząśnięta, najpierw nachalnymi zalotami Dżokera, potem chłodem Batmana? Nie umiała tego zrobić.

- Och, Allie, już się w tym gubię - powiedziała. Usiadła na brzegu biurka i patrzyła w dół, na buty.

Alliemu zrobiło się jej żal. Nie chciał jej dłużej nękać. Poklepał ją po ramieniu.

- Znalazłem coś na temat tej twojej dziwnej ulicy - powiedział łagodnie.

Spojrzała na niego.

- Twój przyjaciel Bruce przeżył tragedię w dzieciństwie - dodał z nutką przeprosin w głosie.

No, tak. Tego tylko brakowało.

- Jeszcze jakieś dobre wiadomości? - spytała bez entuzjazmu.

Dał jej znak, żeby podeszła z nim do redakcyjnej wyświetlarki mikrofilmów. Wstała i powoli przeszła przez pokój. Stała za Alliem, który kręcił gałką z boku maszyny, szukając odpowiedniej strony.

- W porządku - powiedział w końcu. - Tu jest. - Odsunął się. - Spójrz.

Vicki spojrzała na ekran. Tym razem Knox znalazł coś ważnego. To była pierwsza strona Gotham Globe sprzed dwudziestu kilku lat. Krzyczał z niej nagłówek:

THOMAS WAYNE ZAMORDOWANY!

Słynny lekarz i jego żona zabici w czasie napadu rabunkowego. Nieznany bandyta pozostawił przy życiu dziecko

Ale grozę tej historii ujawniło dopiero zdjęcie zamieszczone pod spodem. Dwóch policjantów schylonych nad zwłokami. Za nimi lekarze z noszami. A z boku chłopiec, może dziesięcioletni, wczepiony w jakiegoś policjanta. Tym chłopcem był Bruce Wayne. Jego twarz miała ten sam wyraz - dziki, pełen gniewu i rozpacz, jakby patrzył na koniec świata - który tak bardzo zaintrygował Vicki. Taki wyraz miała twarz Bruce'a tamtego dnia na Gotham Square.

A ten policjant, na którym chłopiec się uwiesił...

Vicki miała wrażenie, że jego też rozpoznaje. Ten policjant był niewątpliwie młodszą wersją komisarza Gordona. Miał po prostu trochę mniej siwych włosów i był szczuplejszy o kilka kilogramów.

- Smaczny kąsek, co? - Głos Knoxa wyrwał ją z zadumy.

- Mój Boże - powiedziała, odzyskując głos. - W tej alei zostali zamordowani jego rodzice. - Spojrzała na Alliego, potem wróciła do zdjęcia, nie mogąc oderwać wzroku od przestraszonego chłopca. - To była rocznica ich śmierci.

- Tak - zgodził się Knox, patrząc na ekran ponad jej ramieniem. - Biedne dziecko wszystko widziało.

- Allie - odpowiedziała Vicki, jakby wypowiedziane głośno słowa miały jej pomóc zrozumieć rzeczy nieprzeniknione. - Ten wyraz jego twarzy... on tak samo wyglądał wtedy, przed ratuszem.

Ale dlaczego? - pytała sama siebie. Czy nagła przemoc obudziła w nim wspomnienie? Czy kryło się w tym coś więcej?

- Czy wiesz, jaką krzywdę mogło to wyrządzić dziecku? - spytał Knox. W jego głosie zabrzmiało tym razem prawdziwe współczucie.

Tak, wiedziała, ale nie chciała o tym opowiadać Alliemu. Ten fakt mógł sporo wyjaśnić z zachowania Bruce'a. Przypomniała sobie dziwny pas na kuchennym stole. I to, jak była szczęśliwa, kiedy przybiegła do domu z Gotham Square i zobaczyła, że Dżoker nie zostawił za sobą trupa.

Ale od tego czasu nie miała od Bruce'a żadnego znaku życia - ani telefonu, ani kartki, ani informacji, że z nim wszystko dobrze. Ani pytania o jej samopoczucie. Dlaczego?

Pomyślała, że to zdjęcie może wyjaśnić więcej niż tylko tajemnicę Bruce'a. Przypomniała sobie ich rozmowę w Wayne Manor o znalezieniu prawdziwego sensu życia.

- Allie - zapytała wolno, próbując zrobić to w sposób najbardziej naturalny - czy jest tam napisane, ile lat miał ojciec Bruce'a... kiedy został zamordowany?

Knox skinął głową, jakby to było najzwyczajniejsze pytanie pod słońcem.

- Tak. Zwróciłem na to uwagę. Był bardzo młody - właśnie skończył trzydzieści pięć lat.

Trzydzieści pięć lat? Bruce miał trzydzieści pięć lat.

Opuściły ją wszelkie wątpliwości. Tak musiało być. Złapała kurtkę i torbę z aparatem.

- Muszę iść.

Wybiegła z gabinetu Knoxa.

- Dobra. - Knox uśmiechnął się uprzejmie i pomachał jej ręką na do widzenia. - Nie pozwól, by uczucia przeszkadzały ci w pracy.

Biedny Allie stale jeszcze grał zranionego zalotnika. A było już na to za późno.

Vicki miała nadzieję, że nie było za późno dla Bruce'a.

Bruce obudził się nagle.

Zasnął nad mapą Gotham. Wpatrywał się w nią, mając nadzieję, że labirynt ulic i budynków otworzy się ukazując kryjówkę Dżokera. Spojrzał w górę. Trzydzieści monitorów pokazywało trzydzieści pustych pokoi. Tuż za nim rozległ się cichy hałas. Szybko obejrzał się. Alfred spokojnie składał jego pelerynę.

To znaczy, że lokaj przyniósł to, o co go prosił.

- Masz dokumentację sprawy moich rodziców? - spytał Bruce.

Alfred uroczyście wskazał skinieniem głowy teczkę leżącą w rogu biurka. Bruce, choć jeszcze nie całkiem rozbudzony, zauważył jednak, że lokaj emanował jakąś niezwykłą powagą.

- O co ci chodzi, Alfredzie?

- Starzeję się, proszę pana - odpowiedział lokaj. - Nie chcę spędzić reszty moich dni na opłakiwaniu przyjaciół. Ani ich synów.

Bruce przyznał, że Alfred miał rację. Ale było już za późno, żeby zmienić plany. Było na to za późno już w dniu, w którym zginęli jego rodzice. Teraz mógł zrobić tylko jedno. Był jeden powód, dla którego narodził się Batman. Musiał spełnić swoje przeznaczenie.

Bruce poprosił Alfreda o kawę. Otworzył teczkę z dokumentami.

Konferencja prasowa odbywała się na schodach ratusza. To już samo w sobie było znaczące. Jeszcze poprzedniego dnia komisarz Gordon wiedział, że burmistrz Borg poprowadzi spotkanie z dziennikarzami z nowo zbudowanej sceny stojącej na Gotham Square. Burmistrz chciał, by ta scena i ta uroczystość rozpoczęły odnowę wszystkiego, co w mieście dobre.

Ale Dżoker zmienił jego plany. Jego zbrodnicze działania przemieniły scenę w symbol zbrodni i anarchii - w symbol wszystkiego, co w Gotham było złe. Dżoker odniósł zwycięstwo.

Następnego dnia podium miało zostać rozebrane.

Borg odchrząknął i zaczął mówić do lasu mikrofonów, które wyciągnęły się w jego stronę.

- Obchody dwóchsetlecia miasta zostają odłożone.

Tyle tylko burmistrz mógł z siebie wydusić. Odsunął się, ustępując miejsca nowemu prokuratorowi okręgowemu - Harveyowi Dentowi. Komisarz Gordon nigdy nie przypuszczał, że doczeka dnia, w którym burmistrz Borg nie będzie mówił godzinami o jakiejś chwale bądź tragedii, która spadła na Gotham. Odnowa miasta była jednak osobistą

wizją burmistrza; miała po nim zostać dla potomności i w książkach do historii. Klęska pogrzebała całą jego polityczną karierę. Po raz pierwszy od czasu, gdy sprawował z Borgiem państwowy urząd, Gordon poczuł, że żal mu burmistrza.

Dent spojrział prosto w obiektyw kamery i zaczął mówić.

- Stanowczo sprzeciwiamy się terrorowi pod każdą postacią. Lecz w kawie podawanej na policyjnych posterunkach znalazła się toksyna. Dwie trzecie naszych sił zostało obezwładnione. W tej sytuacji nie jesteśmy w stanie zagwarantować publicznego bezpieczeństwa...

Dent zawahał się. Ktoś wybiegł z wozu transmisyjnego krzycząc do operatorów. Gordon spojrział na burmistrza. Borg zaczął skowyczeć. Komisarz zbiegł na dół, żeby zobaczyć, co się stało. Zmieszał się z grupą techników zebranych wokół monitora.

- Co się dzieje? - zapytał.

- Niech pan sam zobaczy - odpowiedział szczupły, łysiejący facet. - Ten monitor pokazuje materiały idące do lokalnych stacji. Ale tylko połowa obrazu jest nasza.

Gordon spojrział na monitor. Ekran był przecięty na dwie części. Z prawej strony rozgrywała się scena obok ratusza. Druga strona była pusta, śnieżyla. Z tego śniegu wyłonił się obraz - sylwetka mężczyzny siedzącego w fotelu w salonie.

Gordon rozpoznał tę postać w fotelu, gdy tylko obraz się wyostrzył. Był to Dżoker.

- Tu Dżoker.

Dżoker uśmiechnął się wesoło. Jego twarz nie była dziwną kombinacją bieli i płonącej czerwieni, miała naturalny kolor skóry. Dzięki temu wydawał się bardziej ludzki.

- A więc - kontynuował lekko strofującym tonem - powiedzieliście kilka nieprzyjemnych słów. Część z tych zarzutów była prawdziwa. Tak rzeczywiście było, gdy rządził w tym mieście mój przyjaciel Grissom. On był terrorystą i złodziejem. Choć z drugiej strony był też wyśmienitym brydzystą. W każdym razie Grissom już nie żyje i mnie pozostawił władzę.

Dżoker przerwał i wychylił się w kierunku kamery.

- Mogę być teatralny, a nawet nieco szorstki. Ale na pewno nie jestem mordercą.
Jestem artystą.

Przybliżył się do kamery jeszcze bardziej, tak że jego uśmiech wypełnił cały ekran.

- Kooooocham zabawę! A więc rozejm, chłopcy! - Kamera odjechała, gdy rozłożył szeroko ramiona. - Commence au Festival!

Jego oświadczenie zostało przyjęte z aplauzem. Z taśmy.

- Mam nawet dla Gotham pewien prezent - ciągnął Dżoker, a w jego głosie brzmiało silne podniecenie. - O północy rzucę w tłum dwadzieścia milionów dolarów!

Pomachał do tłumu.

- Nie martwcie się o mnie - dodał - ja mam dość pieniędzy.

Na swojej stronie ekranu burmistrz znów sięgnął po mikrofon.

- Nie mamy zamiaru prowadzić żadnych... - zaczął.

- Słyszeliście, ludzie - przerwał Dżoker. - Dwadzieścia milionów dolarów!

Wstał, złapał w palce kłapy swojej dwurzędowej marynarki.

- Obiecuję wam wspaniałą zabawę! - śmiał się. - Wielką Walkę! Ja w jednym rogu, a w drugim człowiek, który wprowadził w tym mieście prawdziwy terror. - Zrobił dramatyczną przerwę, rozszerzył oczy w udanym przestraszeniu i dokończył: - Batman!

Z lewej strony ekranu ukazali się Borg i Dent patrzący na siebie ze zdziwieniem.

Dżoker znów pochylił się ku kamerze.

- Słyszysz mnie, Batman? - spytał scenicznym szeptem. - Ty i ja. Mano a mano!
Zdjąłem z twarzy makijaż. Ty też zdejmij kostium!

Bruce wyłączył telewizor. Widział wystarczająco dużo. Powrócił do przeglądania policyjnej teczki - akt sprawy swoich rodziców. Na wierzchu była duża niebieska pieczęć. "UMORZONE".

Ale śledztwo zostało wznowione.

Pierwszym materiałem w teczce był artykuł w gazecie i zdjęcie Bruce'a jako chłopca.

Pamiętał. Gdzieś grało radio. Była gorąca, letnia noc. Jakaś kobieta śmiała się, jej śmiech dochodził z okna na drugim piętrze. Szli z matką i ojcem po ulicach Gotham. To był wyjątkowy wieczór. Spędzili go w teatrze i Bruce mógł dużo później położyć się spać.

Noc była tak piękna, że ojciec zdecydował, iż przejdą się trochę, zanim wsiądą do taksówki.

Pamiętał szybkie kroki za ich plecami. Pamiętał zaniepokojony głos matki:

- Tom, ktoś za nami idzie!

Zaczęli biec. Wbiegli w ślepy zaułek i zatrzymali się.

Pamiętał dwóch młodych bandytów. Jeden z nich miał broń.

Zerwał sznur pereł z szyi matki. Ojciec próbował złapać go za ramię.

Potem był strzał.

Pamiętał upadającego ojca. Pamiętał krzyzącą matkę.

Drugi strzał.

Zobaczył dym unoszący się nad kulą pistoletu. I zobaczył upadającą matkę. Martwą.

Jego matka i ojciec nie żyli.

Pamiętał.

Chłopak bez broni uciekł. Drugi wycelował pistolet w Bruce'a.

- Powiedz, dzieciaku - zaczął ten z bronią. To też pamiętał.

Zrobił krok do przodu, aby Bruce mógł go lepiej widzieć w świetle księżyca.

Uśmiechnął się. Bruce pamiętał ten uśmiech. Uśmiech Dżokera.

Oprych odezwał się:

- Czy tańczyłeś kiedyś z diabłem w bladym świetle księżyca?

Palec młodego Jacka Napiera lekko nacisnął cyngiel. Nic się nie stało.

- Chodź! - krzyknął głos z ciemności. To był głos tego drugiego, zrozumiał Bruce.

- Wiejmy! - nalegał głos.

Jack Napier wolno oddalił się, śmiejąc się przez cały czas.

Bruce zapamiętał ten śmiech.

Alfred wpuścił Vicki.

Bruce spał w fotelu. Wyglądał, jakby przeżywał jakiś senny koszmar. Rzucił głową na wszystkie strony, a jego twarz pokrywał pot. Jęknął cicho. Ten jęk wydobył się głęboko z gardła. Vicki zastanawiała się, czy go nie obudzić. Zrobiła krok w stronę fotela.

Otworzył oczy.

- To był on! - powiedział wyraźnie.

Vicki podeszła do niego szybko.

- Nic ci nie jest?

Mrugnął do niej, zdezorientowany, jakby nie obudził się jeszcze zupełnie.

- Och, jak tu weszłaś? - wybełkotał.

- Alfred mnie wpuścił - odpowiedziała Vicki. Lokaj uklonił się wychodząc z pokoju.

Kiedy tu szła, wszystko wydawało się jej proste. Trzeba było pewne rzeczy wyjaśnić. Przez wzgląd na Bruce'a. I na ich oboje.

Powie to teraz albo nigdy.

- Czy ja zwariowałam? - zaczęła. Potem już słowa wylewały się z niej. - Dla żadnego z nas to nie była jeszcze jedna nocna przygoda. Pasujemy do siebie. Prawda?

Może chciała to z siebie wyrzucić zbyt szybko. Czy mówiła z sensem?

Bruce zamknął rozłożoną na biurku teczkę. Na jej wierzchu był niebieski stempel "UMORZONE". Bruce wyprostował się w fotelu i spojrzał na nią.

- Chciałeś mi coś powiedzieć, wtedy, w mieszkaniu - spytała tracąc trochę rezon pod spojrzeniem Bruce'a - gdy wtargnął Dzoker. Co to było?

Bruce odwrócił wzrok. Lecz ona nic pozwoli mu się wymknąć. Nie teraz, nie po tym wszystkim. Dlaczego on nie może tego zrozumieć.

- Dlaczego mnie odpychasz? - spytała.

Wstał. Podniósł się, jakby było w nim, w środku coś, czego jego mięśnie nie mogły dłużej wytrzymać. Znów na nią patrzył. Może w końcu zrozumiał, pomyślała Vicki.

- Przecież już tu jesteś - odpowiedział.

Boże, pomyślała Vicki, Czy on naprawdę powiedział to, co usłyszała? Przygotowała dla niego różne odpowiedzi, różne rozsądne argumenty zbijające wszelkie zastrzeżenia, które mógł w stosunku do niej wysuwać. Nie umiała zareagować tylko na to, co w tej chwili powiedział.

- Nie wiem, co o tym wszystkim myśleć - przyznała.

- Powiedziałaś, że szukałaś miejsca, w którym mogłabyś żyć w zgodzie ze sobą. -
Omiótł ręką pokój. - To jest takie miejsce.

Nie zrozumiała, czy miał na myśli Wayne Manor, czy też to, co działo się w jego głowie. Chyba zresztą jedno i drugie.

Kto pierwszy to powie? Żyć w zgodzie z sobą. Dziwne, że Bruce tak się otworzył. Ona też będzie z nim maksymalnie szczerą.

- Kocham cię od tamtej nocy, gdy cię pierwszy raz zobaczyłam - powiedziała. - Ale nie wiem, czy będę mogła kochać trupa.

A więc wspomniała o tym - wcieleniu Bruce'a, jego drugim "ja". Ale nie wymieniła tego drugiego imienia. Batman. Bruce doskonale wiedział, co miała na myśli.

- Nic na to nie mogę poradzić. - Zrobił krok w jej stronę i zatrzymał się. - Próbowałem od tego uciec. Ale jest jak jest. - Na jego ustach pojawił się cień uśmiechu. - Noszę pelerynę. Ty robisz zdjęcia. To nie jest najlepszy ze światów.

Stał i patrzył na nią. Vicki zdała sobie sprawę, że w czasie rozmowy cały czas utrzymywali dystans. Dlaczego bali się do siebie zbliżyć?

Być może dotknięcie sprawiłoby, że wszystko stałoby się zbyt realne?

- On pokaże się dzisiejszej nocy - odezwał się do niej Bruce. A więc nawet teraz myślał o Dżokerze. - Więc muszę iść do roboty.

Odszedł z uśmiechem, wycofując się w mrok panujący w gabinecie. Usłyszała tylko, jak drzwi otworzyły się i zamknęły.

Była sama.

Co tu się wydarzyło?

Vicki myślała o słowach Bruce'a. Powiedział jej, że to nie jest najlepszy ze światów.

Była fotografem. Patrzyła na życie z dystansu. Kontrolowała swoje otoczenie, wybierając to, na co miała ochotę patrzeć przez obiektyw aparatu.

W pewnym sensie Bruce robił to samo. Przybierał inną osobowość, aby kontrolować otoczenie. Tyle że jego otoczenie było bardziej okrutne, może z powodu tej tragedii, jaka wydarzyła się w jego życiu przed laty.

Bruce nie był już przedmiotem jej trosk. Bała się tylko o jego bezpieczeństwo, zwłaszcza że miał zmierzyć się z kimś takim jak Dżoker. Ale rozumiała, dlaczego musiał być Batmanem. I miała nadzieję, że uda mu się doprowadzić swój plan do końca.

Wypiła łyk z zapomnianego drinka.

Tylko wróć, Bruce! Teraz kiedy się odnaleźli, dwoje zwariowanych ludzi w zwariowanym świecie, może wspólnie mogliby dokonać wielkich rzeczy.

I może nauczyliby się żyć razem na tym nienajlepszym ze światów.

Dżokerem był Jack Napier.

Batman już nie mógł sobie przypomnieć, kiedy na to wpadł. Ślęczał wtedy nad policyjnymi aktami i mapami, a może śnił. Był w Jaskini Nietoperza albo się zdrzemnął. Tak naprawdę od dłuższego czasu żył w półśnie. Teraz kiedy już znał odpowiedź na pytanie, które go nurtowało, wszystko zaczęło się układać. Już nie musiał dłużej spać. Odeszło od niego zmęczenie, zapomniał o słabości.

Była noc. Nietoperze zawsze wyfruwają w nocy.

Włożył rękawiczki, buty, pelerynę i kaptur. Potem jeszcze pas i błyszczący złoty owalny emblemat z nietoperzem.

Dżoker rzucił mu wyzwanie.

Dziś w nocy on je podejmie.

Wsiadł do samochodu i pojechał w kierunku Axis Chemicals Company.

16.

Czekał cierpliwie.

Nieoznakowana ciężarówka podjechała pod bramę Axis Chemicals. Jego cierpliwość została nagrodzona.

Brama otworzyła się. Samochód wjechał do środka.

Batman zapalił przednie światło i przycisnął pedał gazu.

Batmobil z hukiem wyłonił się z mroku.

Facet w mundurze strażnika usiłował zamknąć bramę, ale zanim stalowa krata wróciła na miejsce, Batmobil przedarł się przez nią. Strażnik odskoczył na bok.

- To Batman! - ryknął.

Przyjemnie, że go rozpoznają.

Strażnik wyciągnął pistolet i strzelił w kierunku samochodu. Kule odbiły się od stalowej karoserii Batmobilu.

Batman zatrzymał się przed olbrzymią stalową bramą wiodącą do Axis Chemicals.

Otworzył klapy samochodu i przycisnął guzik wysuwając ciężkie karabiny maszynowe. Teraz następny guzik - czerwony.

Ogień z karabinów rozwalił stalowe wrota.

Zobaczył, jak ucieka strażnik pilnujący bramy.

Szarpnął następny przełącznik i karabiny schowały się w głąb samochodu. Batmobil wjechał do Axis Chemicals Company.

Zobaczył kilkunastu oprychów szukających osłony. Otworzyli ogień do Batmobilu. Wokół śmigały pociski. Na kuloodpornym szkłe przedniej szyby utworzyły się pęknięcia. Jeszcze kilka pocisków i szkło się roztrzaska.

Wysunął tarcze.

Bandyci nadal strzelali. To nie miało znaczenia. Teraz już kule nie mogły spowodować żadnych zniszczeń.

Przycisnął kolejny przełącznik na tablicy kontrolnej.

Z błotników wysunęły się dwie mechaniczne ręce. Każda z nich trzymała ładunki plastyku. Ręce wyprostowały się i złożyły ładunki w pobliżu Batmobilu.

Wcisnął czerwony guzik. Na monitorze wyświetliła się czerwona liczba: 15.

Potem: 14-13-12-11-10-9-8-7-6-5.

Wstrzymał oddech.

Na ekranie ukazało się słowo: DETONACJA.

Budynek eksplodował. W nocne niebo wystrzelił słup ognia.

Odczekał chwilę, aż gruz opadnie, i wyprowadził Batmobil z ruin.

Wyszedł z ciemności i poklepał Batmobil po błotniku. Na przedniej szybie było kilka rys; poza tym nie dostrzegł żadnego innego zadrapania. Wsadził automatycznego pilota do przegródki w pasie. Motor Batmobilu warczał cicho.

Nad jednym z ocalałych budynków Axis Chemicals rozległ się głośny warkot helikoptera. Zapaliły się dziesiątki reflektorów. Wszystkie skierowane były na Batmana. Wskoczył do Batmobilu. Zewsząd plunęły ogniem karabiny maszynowe. Nad jego głową pracował silnik.

- Pudło, głupcze! - krzyczał Dżoker przez megafon.

Jego chichot odbijał się echem wśród strzałów.

- Lecę na festiwal. Powinieneś tam wpaść. Zanim tam dotrzesz, zabiję w ciągu godziny tysiąc osób!

Dżoker znów zaczął się śmiać. Helikopter zatoczył koło nad Axis Chemicals Company i skierował się w stronę festiwalowych świateł.

Śmiech.

Czy tańczyłeś kiedyś?

Ten śmiech Batman słyszał już kiedyś.

Czy tańczyłeś kiedyś z diabłem?

Ten śmiech wracał do niego w snach.

Czy tańczyłeś kiedyś z diabłem w bladym świetle księżyca?

Przysiągł sobie, że tego śmiechu nigdy więcej nie usłyszy.

Spokojna noc w magazynie w mieście Gotham. Nocny portier - jedyny nocny portier w całym magazynie - siedział czytając jeden z popularnych, sensacyjnych brukowców. "MINI LATAJĄCE TALERZE LĄDUJĄ W ROSJI! DUCH ELYISA ZRZUCA 30 KILOGRAMÓW DZIĘKI CUDOWNEJ DIECIE!" Czyż nie wiedział, że takie bzdury nie zdarzają się w prawdziwym życiu?

Ech, prawdziwe życie jest znacznie lepsze.

Jeden z chłopców zapukał w tył głowy spokojnego nocnego portiera, upewniając się, że ten nie ruszy się przez następne godziny. Dżoker polecił, by reszta gangu szła za nim.

Ktoś zapalił światło i chłopcy zabrali się do roboty. Uruchomili prądnice, wskoczyli na przygotowane do parady platformy i zaczęli nadmuchiwać żałośnie zwiędnięte balony.

Nie, to nie będzie zwyczajna, nudna parada. Pochód przemaszeruje po Broad Avenue w środku nocy! Zapowiedzi ukazywały się w telewizji od kilku godzin. Przyjdź na paradę! I zarób kilka dolców! Spodziewał się nawału uczestników, nawet o północy. Ludzie zawsze chcą dostawać coś za nic.

Szkoda, że zapomniał powiedzieć o innych niespodziankach, które przygotował dla tłumu. Był taki roztargniony! No, nic. Miał pewność, że ludzie będą szczęśliwi, gdy dostaną pieniądze.

Prądnice z warkotem zbudziły się do życia, zasilając olbrzymie reflektory. Otworzyły się drzwi magazynu. Ciężarówki ruszyły w stronę Broad Avenue ciągnąc platformy, reflektory i gigantycznych rozmiarów balony. Dżokerowi najbardziej podobała się platforma z tronem i napisem "200".

Ostatnia z ciężarówek wytoczyła się z hukiem przez drzwi magazynu. Dżoker pomachał wszystkim. Takiej parady jeszcze nie było! A przecież to dopiero początek.

- Będę rządził światem! - zawołał.

Potem zaczął się śmiać. Po dzisiejszej nocy nigdy już nie przestanie się śmiać.

Ustawiali się wzdłuż Broad Avenue - najpierw setki, potem tysiące ciekawskich mieszczuchów czekających na paradę, która miała odbyć się o północy, i na tę całą gotówkę za darmo. Dżoker nie chciał ich rozczarować.

Pierwsza przyjechała ciężarówka z reflektorami: parada jest do niczego, jeśli jej nie widać. Z dużych głośników zawieszonych po obu stronach świateł, buchnęła wrzaskliwa rockowa muzyka.

Boom shakalalakalaka. Boom shakalalakalaka.

Gapie zaczęli wczuwać się w ducha zabawy. Jedni tańczyli, inni wiwatowali. Ale wszyscy wpatrywali się w słup światła padający na zawieszony nad głowami kilkunastometrowej długości balon w kształcie kłowna z zadowoleniem łypiącego okiem na tłum kłębiący się u jego stóp. Wóz ciągnący balon skręcił na trasę parady. Ludzie

wpatrywali się w podium z postaciami historycznymi - jedną z tych postaci był zapewne John T. Gotham - i na transparenty głoszące "WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO, GOTHAM!"

Noc - pora, gdy budzi się prawdziwe miasto - to wspaniały czas na paradę, pomyślał Dżoker.

Ale oto nadjechały następne platformy, prezentujące wszystko, co najlepsze w "tym cudownym mieście". I ogromne balony!

Boom shakalalakalaka. Boom shakalalakalaka.

Teraz wszyscy świetnie się bawili. A wkrótce miało być jeszcze lepiej!

Zaczęły spadać pieniądze. Tysiące dolarowych banknotów wirowało w powietrzu.

Ludzie byli wyraźnie zdziwieni. Skąd się to wzięło?

Tak, to tam! Pośrodku wirujących pieniędzy! Przyjrzyjcie się uważnie, ludzie, spójrzcie na jadące na czele podium. Tam, wśród postaci historycznych, stoi tron. A na tym tronie siedzi Dżoker otoczony swoimi najlepszymi ludźmi. Bob - dobry, stary Bob - podaje Dżokerowi pęczki banknotów. Dżoker wyrzuca pieniądze w górę i na boki, prosto w olbrzymi wentylator, który ma zapewnić ich najlepszy obieg.

Boom shakalalakalaka. Boom shakalalakalaka.

Zielone spadały z nieba. Ludzie zorientowali się, że to prawdziwe pieniądze. Teraz już byli naprawdę podnieceni.

W głośną, rockową muzykę włączył się wokół. To śpiewał Dżoker.

Boom shakalalakalaka. Boom shakalalakalaka.

Było wspaniale! Chciał jeszcze wiedzieć jedną rzecz.

Czy tańczyłeś kiedyś z diabłem w bladym świetle księżyca?

Tym razem zapyta o to całe Gotham!

- Witam wszystkich - zabrzmiał głos Dżokera. - Bawcie się dobrze. Napełnijcie wasze głodne portfele!

Vicki Vale nie mogła zrozumieć, co się działo na ulicach wokół Gotham Square. W Corto Maltese, w centrum walki nie było takiego chaosu jak teraz, przed jej oczami. Tłum

wylewał się zewsząd, ludzie przeskakiwali jedni przez drugich, zadeptywali się, łapiąc pieniądze spadające z nieba.

Wróciła na chodnik pod budynkiem i próbowała zrobić kilka dobrych zdjęć dla Globe. Kilka dni temu myślała o tym, że Dżoker zechce zacząć wojnę. Teraz wojna już trwała, ale walczyli między sobą wszyscy mieszkańcy Gotham.

Tuż za nią zatrząbił klakson. Czy znów gonił ją Dżoker?

Odwróciła się szybko, gotowa do ucieczki lub wmieszania się w tłum.

- Vicki! - to Allie Knox wołał do niej z samochodu.

Wskoczyła na przednie siedzenie. Allie spojrzał na nią.

- Myślisz, że Batman zjawi się dzisiaj?

Vicki przyglądała się anarchii panującej na Broad Avenue.

- Będzie tu na pewno - odpowiedziała.

Knox skinął głową i uśmiechnął się jak mały chłopiec biegnący przez plac zabaw. Włączył silnik i powoli wjechał w tłum.

Było dobrze po północy. Większą część miasta zalewały ciemności. Ale centrum rozświetlały smugi świateł.

Pochylił Batwinga, by samolot mógł przelecieć pomiędzy drapaczami chmur. Będzie musiał wylądować na Broad Avenue.

Samochód Knoxa przepychał się przez tłum. Vicki wychyliwszy się przez okno utrzymywała na kliszy szaleństwo.

- Spójrz! - krzyknął Allie.

Vicki rozejrzała się. Knox pokazywał prosto przed siebie, gdzie jedno z podium wpadło na chodnik i roztrzaskało się na latarni. Ludzie wspinali się na nie, walcząc z oprychami Dżokera, którzy też łapali lecące banknoty.

Vicki zaczęła robić zdjęcia przez przednią szybę samochodu.

- Zjedź na bok! - poleciła.

Knox podprowadził samochód do krawężnika Broad Avenue, choć w tym tłumie nie miało wielkiego znaczenia, gdzie zostawi wóz.

Gwizdnął. - To obłąd!

Vicki, walcząc z naporem tłumu, próbowała otworzyć drzwi. Chciała mieć pole do obserwacji tego, co działo się przed nimi. Ale też próbowała zostać w pobliżu samochodu, żeby nie porwała jej falująca ciżba.

- Dziewczyna może ucierpieć w takim miejscu! - krzyczał Allie, gdy odsuwała się od samochodu. Oparła się o maskę przepuszczając tłum obok. Spojrzała na zdemolowane podium i gigantyczny balon drgający i tańczący nad głowami ludzi. Szybko zrobiła zdjęcie, potem sięgnęła do torby po teleobiektyw.

Zmieniła obiektywy i podniosła aparat do oczu, żeby zrobić zbliżenie balonu. Gdy nastawiła ostrość, za balonem zobaczyła coś jeszcze: coś zielonego. Wyglądało to jak dym wydobywający się z jednego z dużych metalowych cylindrów przyczepionych do spodu balonu. Ten cylinder musiał pęknąć, uderzywszy o budynek, gdy platforma wpadła na chodnik.

To pewnie gaz, pomyślała. Ciężka zielona chmura zaczęła opadać na tłum.

Spojrzała na ludzi Dżokera stojących na podium. Oni też spostrzegli chmurę i szybko założyli maski gazowe. Miała rację! Inni stojący na podium nie mieli szczęścia. Znowu spojrzała przez teleobiektyw i zobaczyła, jak z trudem łapią powietrze. Jedna z osób upadła z ustami wykrzywionymi w szerokim grymasie.

A więc był to gaz zrobiony z tych samych składników chemicznych, których Dżoker używał do zatruwania żywności i kosmetyków. Jak on się nazywał?

Śmiechol!

Śmiercionośny, zielony gaz wirował nad podium; potem zaczął płynąć wśród tłumu w kierunku Vicki.

- Te balony są pełne Śmiecholu! - krzyknęła do Knoxa. - On wszystkich pozabija!

Allie przechylił się i siłą otworzył drzwi od strony pasażera. Wyciągnął rękę w kierunku Vicki. Tłum z przodu samochodu zorientował się, że dzieje się coś złego. Ludzie

wpadli w panikę, nacierając na tych, którzy jeszcze usiłowali wyłapać fruujące banknoty.

- Wsiadaj! - Knox próbował przekrzyczeć tłum. - Zamykaj drzwi!

Nad ich głowami rozległ się nowy hałas, przypominający łoskot odrzutowca. Vicki spojrzała w górę. Jakiś dziwny czarny samolot przesłonił światło księżyca.

Vicki wsadziła głowę w drzwi.

- Trzeba odciąć te balony! - Wzięła głęboki oddech. Próbowwała opanować strach, który w niej narastał.

- Chyba widziałam Batmana! Musimy go ostrzec!

Knox złapał Vicki za ramię i wciągnął do samochodu. Przechyliła się na siedzeniu usiłując wstrzymać oddech. Allie zatrzasnęła za nią drzwi.

- Nie ruszaj się! - krzyknął. Wyskoczył z samochodu.

- Allie! - zawołała. Co on robi? Zginie.

Knox szybko podbiegł do bagażnika i wyciągnął pudło z narzędziami. Vicki zorientowała się, że do otwarcia tyłu wozu nie użył kluczyka: samochód był na chodzie, a klucz tkwił w rozruszniku. Stary gruchot prawdopodobnie nie miał zamykanego bagażnika. Knox położył pudło na masce. Otwierając je uśmiechnął się do Vicki. Gdy grzebał w pojemniku, Vicki słyszała brzęk narzędzi.

- Co robisz? - spytała.

Zawiązał na twarzy białą maskę przeciwkurzową, potem złapał ostre nożyczki do przewodów. Vicki zaczęła otwierać drzwi.

- Zostań! - krzyknął do niej przez maskę. - Muszę coś zrobić!

Vicki puściła klamkę. Poczula się kompletnie wyczerpana - to ze strachu. W żaden sposób nic mogła wykonać ruchu na tyle szybkiego, by powstrzymać Alliego od jego zamiarów.

Tłum wokół nich rozpiezchł się w popłochu, otwierając drogę do platformy. Allie rzucił pudło z narzędziami na tylne siedzenie i puścił się pędem w kierunku rozchodzącego się gazu.

- Bądź ostrożny, Allie! - zawołała.

Knox biegł, rozgarniając ludzi stale jeszcze walczących o pieniądze i innych, szamoczących się, zatrutych gazem. Ludzie Dżokera zajęci byli skopywaniem ciał z drogi. Nikt nie zauważył, jak Knox wskoczył pomiędzy miniaturowe makiety ratusza i katedry. Dobiegł do rogu platformy i zaczął przecinać wiązania balonu. Za trzecim podejściem udało mu się. Pokonany balon popłynął w górę, unosząc ze sobą śmiertelny gaz.

Wtedy Knoxa zauważyli ludzie Dżokera. Biegąc ku następnym sznurom Allie zdołał ominąć grad pocisków. Ale ktoś zaczął strzelać za jego plecami. Jedna z kul sięgnęła celu. Knox osunął się na ziemię.

Vicki miała tego dość. Strzelanina sprawiła, że krew znów zaczęła w niej żwawiej płynąć. Nikt nie zostanie przy niej martwym bohaterem. Wskoczyła na miejsce kierowcy i przycisnęła gaz do deski.

Samochód zatrzymał się z piskiem przy podium. Knox podniósł się i osunął się na maskę wozu.

Trwało to kilka sekund. Jakimś cudem nikt do nich w tym czasie nie strzelał.

Gdy Vicki wróciła ruszyła ponownie, czar przestał działać. Zewsząd posypały się kule. Nacisnęła na pedał gazu. Pod prysznicem kul trzasnęła tylna szyba. Następne poszło boczne okienko, po stronie pasażera.

Skręciła za róg, ale kule uderzyły w coś ważnego; silnik wysiadł. Przeciągnęła zniszczoną maszynę na chodnik, tak by bryła miejskiej katedry znalazła się pomiędzy nimi a uzbrojonymi napastnikami. Jednak gdyby zostali w samochodzie, mogliby zostać trafieni w każdej chwili. Vicki wysiadła i ostrożnie przeszła na drugą stronę auta. Nikt nie strzelał. Byli za zakrętem, więc nie widzieli już platformy i, co ważniejsze, rewolwerowcy na platformie nie widzieli ich.

Knox jęknął zsuwając się z maski samochodu. Próbował iść podtrzymywany przez Vicki, ale nogi się pod nim uginały. Z czoła ciekła krew.

Ciężko oddychając, z zakrwawioną twarzą, Knox spojrzął na Vicki. Próbował się uśmiechnąć.

- Byłeś wspaniały, Allie - zapewniła go Vicki patrząc uważnie na ulicę. - Ale dzisiejszej nocy nie próbuj już robić z siebie bohatera.

Knox nie odpowiedział. Znow na niego spojrzęła. Stracił przytomność.

17.

Boom shakalalakalaka. Boom shakalalakalaka. Dżoker wyrzucił następną paczkę pieniędzy.

- No właśnie, ludzie! - krzyczał w swój mały mikrofon. - Komu możecie ufać? Mnie!
- Wyrzucił w górę kolejne banknoty. - Mnie! Ja jestem z wami! Daję wam prawdziwe pieniądze! A gdzie Batman? W domu - pierze majtki!

Jego śmiech przeciął głośny szum ponad głową. Dżoker spojrzęł w górę, nad trasę parady. Zobaczył oświetlony przez reflektor jakby samolot odrzutowy, pomalowany na czarno i skonstruowany tak, że przypominał skrzydła nietoperza!

Batman miał naprawdę piękne zabawki! Dżoker podskoczył i pomachał ręką.

- Ach! - krzyknęł w mikrofon. - Skrzydlaty wojownik leci przez noc. Jestem gotowy!

Wyrzucając ostatnią garść banknotów w stronę wentylatora śmiał się jeszcze głośniejsz niż przedtem. Teraz trzeba było zabrać się do roboty.

- Bob! - krzyknęł do swego zawsze obecnego kompana. Dobry, stary Bob. - Maska!

Bob podał mu maskę przeciwgazową, taką, jakich używało się w czasie drugiej wojny światowej, tyle że pomalowaną na kolory Dżokera: purpurę, złoto, zieleń.

Boom shakalalakalaka. Boom shakalalakalaka.

O Boże. Jakiś człowiek w dole wydawał się zmartwiony, bo z pieniędzy zeszła zielona farba brudząc mu ręce. A może był obrażony, ponieważ na jednodolarówkach zamiast starego Jerzego Waszyngtona znajdowała się przystojna twarz Dżokera? To były jego pieniądze!

Mężczyzna darł się w dole rzucając lipne banknoty z powrotem w kierunku wentylatora. Czegóż się ten człowiek spodziewał? Że Dżoker będzie rozdawał prawdziwe zielone? Hej, Dżoker jest może wariatem, ale nie głupcem. Nikt nie rozdaje pieniędzy, przynajmniej on nie znał nikogo takiego.

Ale facet naprawdę narobił kłopotów. Teraz cały motłoch zaczął oglądać pieniądze i się denerwować.

Krzyki: "Oszust!" i "To gówno!" - wzniosły się ponad dźwięki rock-and-rolla.

Boom shakalalakalaka. Boom shakalalakalaka.

Co można zrobić z takim tłumem?

No cóż, Dżoker doszedł do wniosku, że czas już ich wszystkich zabić.

Raz jeszcze odezwał się do mikrofonu.

- Teraz uwolnię was, mali ludzie, od brzemienia waszego nieudanego i bezużytecznego życia. Ale, jak mawiał zwykle mój chirurg plastyczny - jeśli musisz odejść, odejdz z uśmiechem.

Sięgnął pod tron i wyciągnął radionadajnik. Nakierował go na balony i przycisnął duży czerwony guzik. Z dziesiątków pojemników zaczął ulatniać się gaz i napełniać balony, które pęczniały, przygotowując się do wybuchu.

Bob - dobry, stary Bob - podał mu w końcu maskę przeciwgazową. Zakładając ją na nos i usta Dżoker ryczał ze śmiechu.

Balony coraz bardziej pęczniały. W okolicach szwów robiły się nieładne wybrzuszenia, wyglądające tak, jakby zaraz mogły się rozerwać. A wówczas rozplynie się cudowny gaz Śmiechol. Będzie go tyle, że ogarnie pół miasta Gotham.

Mój Boże, zmartwił się Dżoker. Nie pomyślał, co zrobić z drugą połową.

Wszędzie krzyczeli ludzie. W końcu do biednych, przyćmionych umysłów kilku z nich doszła okrutna prawda: wszyscy umrą. I to umrą w specjalny sposób, z wielkimi, radosnymi uśmiechami na twarzach. Lipne pieniądze upadły na ziemię, rozdeptane przez tłum.

Trudno było śmiać się z maską przeciwgazową na twarzy. Ale Dżoker bardzo się starał.

Batman nie zauważyłby ulatniającego się gazu, gdyby nie zerwała się jedna z lin przytrzymujących balon. Ale wiązanie trzasnęło, a balon drżał i trzął się w jakimś

oblędnym tańcu. Wpadł w tunel powietrzny między gothamskimi drapaczami chmur - i niemal dawał mu znaki.

Wyglądało to dostatecznie dziwnie, że zmusiło Batmana do zmiany kierunku lotu i zbadania sprawy. Chwilę później dostrzegł zielony dym ulatniający się z metalowego jaja przywiązanego u dołu balona i ludzi Dżokera w dole zakładających maski gazowe.

Smiechol! To było to! Dżoker nie zdołał uśmiercić Gotham skażonymi produktami, więc zdecydował się podjąć działania radykalne. Zapewne napompował gazem balony. Mieszanka Smiechołu z helem mogła być jeszcze mocniejsza.

Ale gaz niósł śmierć tylko wówczas, gdy mógł dosięgnąć tłumu.

Batman dotarł w kilka sekund na miejsce parady. Zatoczył niewielką pętlę i dał nura ku Broad Avenue, zniżając się do dziesięciu metrów nad ulicą.

Komputer podał mu wszystkie potrzebne informacje. Batman włączył dwa przyciski na tablicy kontrolnej. Jednym ustawił pod odpowiednim kątem ostry brzeg skrzydeł, drugim otworzył klapę, aby złapać liny i szybko je odciągnąć.

Podprowadził samolot pod balony.

Dżoker nie mógł w to uwierzyć.

Samolot Batmana przeciął liny utrzymujące mordercze balony, po czym uniósł kołyszący się, tryskający różnymi barwami pęk śmierci za sobą. Co on chciał zrobić? Opróżnić je nad oceanem?

- Moje balony! - ryknął Dżoker. - Te balony są moje!

Batman nie odpowiedział.

Czasem, pomyślał Dżoker, zabawa tego faceta posuwa się za daleko.

Rozbije się.

To była jego pierwsza myśl, gdy spojrzął ponad dziobem samolotu i zobaczył wyrastającą przed nim ruinę gothamskiej katedry. Zbyt wiele uwagi poświęcił zebraniu balonów i teraz w szaleńczym tempie zbliżał się ku wylotowi Broad Avenue.

Podniósł nos samolotu, jak tylko mógł najszybciej. Batwing zareagował natychmiast, ale katedra i tak zbliżała się w zawrotnym tempie. Jedno ze skrzydeł zahaczyło o rozwaloną wieżę. Gwałtownie pochylił samolot. Silnik zawył. Batwing ominął wieżę o centymetry.

Wspiął się pełnym ciągiem w górę, a siła ciężenia wepchnęła Batmana w siedzenie. Walczył z tym ciśnieniem, napierając na powietrze, które nagle stało się tak ciężkie, jakby każdy jego centymetr sześcienny ważył pięćdziesiąt kilo. Z jękiem dosięgnął wreszcie tablicy kontrolnej i powoli, ostrożnie przesunął ręką ku wyłącznikowi. Nacisnął go i uwolnione balony poszybowały w górę.

Bez obciążenia z łatwością wyrównał lot samolotu i zawrócił nad miasto. Balony wzniosły się w górę nad oceanem; za chwilę przestaną być dla kogokolwiek zagrożeniem. Drogą radiową przestrzegł strażę nabrzeżną przed potencjalnym niebezpieczeństwem, po czym skierował się ku Broad Avenue.

Miał ochotę choć trochę odetchnąć. Ale w każdej chwili Dżoker zbierał swoje śmiertelne żniwo.

Nadszedł czas, by z tym wszystkim skończyć.

Boom shakalakalaka. Boom shakalakalaka.

Głośna muzyka rockowa niosła się głuchym echem po Broad Avenue. Wszyscy zniknęli. Pouciekali. Dżoker zerwał maskę gazową i rzucił ją na platformę.

- On ukradł moje balony! - wrzasnął.

Nikt nie odpowiedział. Dżoker podniósł pięści ku niebu.

- Dlaczego nikt mi nie powiedział, że on ma takie rzeczy?

Znów nikt się nie odezwał. Dżoker uznał to za dalece niesatysfakcjonujące.

Poprosił Boba o broń i strzelił. Do dobrego, starego Boba.

Poczuł się trochę lepiej.

Bob spadł z platformy na zaśmieconą banknotami ulicę. Nie żył. Dobry, stary Bob.

Dżoker schował broń do marynarki. Jego chłopcy stali i patrzyli na niego. Czekali na rozkazy.

- Wojna, bękarty! - krzyknął.

Wyłączył muzykę.

Nad Broad Avenue zapanowała cisza. Tylko w oddali słychać było szum odrzutowca.

Sfrunął nad Broad Avenue. Za kilka sekund będzie dokładnie nad Dżokerem i resztą tych ludzkich śmieci.

Batman wcisnął odpowiednie przełączniki uzbrajając Batwing. Głos z komputera anonsował uruchamianie kolejnych urządzeń.

- Światła.

- Broń laserowa.

- Karabiny.

- Pociski naprowadzane termicznie. Wystarczy, przynajmniej na pierwsze starcie.

Jeszcze kilka przycisków - sprawdzenie systemu bezpieczeństwa oraz uzbrojenie rakiet.

Nadszedł czas na pierwszy atak.

Samolot Batmana leciał nisko i wolno, ale kierował się prosto na nich. Tym razem jego kształt wydawał się mniej opływowy niż poprzednio. Z dolnej części kadłuba coś sterczało. To "coś" wyglądało jak karabiny i pociski raketowe. Chłopcy Dżokera pouciekali.

- Nieźle się zapowiada! - krzyknął Dżoker do swoich wycofujących się oddziałów. - Co się z wami dzieje?

Chłopcy nie zadali sobie nawet trudu, żeby się obrócić. To była lojalność? I to po pokazówce z Bobem?

Dżoker nie znosił tego.

Samolot, zapaliwszy światła, obniżył lot.

Dżoker roześmiał się. Wbiegł tańcząc w smugę światła.

- No chodź, ty cholerny skurwysynu! - krzyknął.

Nadleciał nad paradę.

A raczej nad to, co zostało po paradzie. Reflektory, platformy i ciężarówki stały nieruchomo, porzucone. Wszyscy uciekli.

Spojrzał przez celownik.

Nie wszyscy uciekli. Przez szkło powiększające zobaczył samotną postać stojącą pośrodku ulicy, podskakującą i machającą do zbliżającego się samolotu.

To był Dżoker. Ramiona miał wyciągnięte, jak w geście pozdrowienia.

Cóż, pomyślał Batman, jeśli tego chce.

- Atak - powiedział cicho. Komputer zrobił resztę.

Kule, promienie laserowe i rakiety z rykiem spadły na Broad Avenue, bezbłędnie osiągając swoje cele. Batman chciał mieć pewność, że Dżoker nie chowa już żadnej niespodzianki na platformach i w innych urządzeniach. Musiał więc zniszczyć ten sprzęt.

Zobaczył, że pośrodku tego rozgardiaszu i zniszczenia Dżoker tańczy walca. Nic go nie dosięgło. Jak dotąd.

Wspaniale! Teraz świetnie się bawił.

Na placu wszystko eksplodowało. Tu podium, tam ciężarówka - buuch! A teraz dostał budynek - kiepski strzał.

Co pewien czas kula leciała prosto na niego. Ale Dżoker był szybszy!

Z hukiem pękł reflektor, posypał się cudowny szklany deszcz. Dżoker nigdy nie widział tak pięknego zniszczenia. Trzeba to było przyznać. To dopiero życie!

Niestety, dobre rzeczy nie trwają wiecznie.

Dżoker wyciągnął karabin - ten z długą lufą. Gdy samolot zawrócił, wycelował dokładnie.

Pociągnął za cyngiel.

Bach!

Siła odrzutu powaliła go na ziemię. Spojrzał w górę. To była wspaniała broń, ale kopała jak osioł.

Trafiony!

Czyż nie strzelał najcelniej ze wszystkich?

Z lewego skrzydła samolotu Batmana wydostawał się ogień i ciężki, czarny dym. Samolot zakołysał się i runął w dół. Gdy znalazł się kilka metrów nad ziemią, Dżoker uskoczył. Samolot spadał prosto na stopnie katedry.

I właśnie tam się roztrzaskał.

Na chwilę zapanowała cisza. Potem Dżoker wybuchnął śmiechem.

18.

Komisarz Gordon zatrzymał samochód na skraju rumowiska. Z trudem rozpoznał Broad Avenue. Okna i uliczne latarnie były roztrzaskane, poskręcane kawałki metalu zaśmiecały jezdnię i chodniki - tam gdzie jeszcze one istniały. Przed nim droga gwałtownie urywała się, tworząc brzeg krateru. Co tu, u licha, wybuchało - pociski raketowe?

Za komisarzem nadjechało kilkanaście wozów patrolowych. Komisarz dał im znak, by się zatrzymały. W takich warunkach resztę drogi będą musieli przejść pieszo.

Na szczęście wśród zgłiszcz leżało niewiele trupów. Być może, pomyślał Gordon, uda się przerwać to szaleństwo, zanim połknie następne ofiary.

Ostatnie wydarzenia zupełnie załamały burmistrza Borga. Przestał już się do kogokolwiek odzywać. Stale mruczał ponuro o "śmierci Gotham". Sztabem policji i całym miastem dowodził z ratusza Harvey Dent. Gordon wyjechał do miasta na ochotnika, by zobaczyć, co można zrobić na ulicach.

Nie byli w stanie udaremnić planu Dżokera. Zatruta kawa obezwładniła ponad dziewięćdziesiąt procent policjantów. Jak dotąd nikt nie umarł, ale blisko dwa tysiące spośród nich leżało w miejskich szpitalach. Świat przestępczy zorientował się, że gliniarze zostali zdziesiątkowani. Mnożyły się napady i kradzieże, a policjanci, którzy zostali na służbie, mogli reagować tylko na najpoważniejsze wezwania. Dent prosił gubernatora o sprowadzenie posiłków, ale Gwardia Narodowa mogła zostać w pełni zmobilizowana dopiero następnego ranka.

Na paradę kilku policjantów przyszło z własnej inicjatywy, ale tłum był po/a jakąkolwiek kontrolą. Gordon polecił swoim ludziom, aby poczekali, aż dojadą wszystkie samochody.

Wreszcie zjawily się rezerwy.

Gordon zrobił przegląd oddziałów. Czternaście samochodów, dwudziestu sześciu mężczyzn i kobiet - tyle zostało z miejskich sił policyjnych. Kilka osób Gordon znał z nazwiska, innych nie widział zapewne od dnia, kiedy opuścili Akademię Policyjną. Ale wiedział, że zrobią wszystko, aby utrzymać Gotham przy życiu.

W poprzek ulicy ustawiło się dwudziestu sześciu ludzi z bronią gotową do strzału. Kilku chłopaków z szybkostrzelnymi karabinami umieścił na obu flankach; z innych uformował literę "V".

Gdy wchodzili w strefę wojny, stanął na ich czele.

- Thomas, ktoś chyba za nami idzie.

Głos jego matki. Właśnie wyszli z teatru. Dlaczego nie zapamiętał tej sztuki?

Odgłos biegnących stóp. Matka i ojciec, tacy wysocy, po obu stronach, pospieszający go, jakby chcieli przed czymś uciec.

Ale nie mogli umknąć. Teraz już wiedział. Jak mógł powiedzieć matce i ojcu, żeby nie biegli? Dlaczego o tym nie wiedzieli?

Biegli prosto na mężczyznę z bronią. Właściwie chłopca, kilka lat starszego od niego. Ale broń czyniła zeń dorosłego mężczyznę.

Chłopak z bronią odwrócił się i spojrzał na nich. Bruce zapamiętał jego uśmiech. Widział go przedtem tyle razy. Ale reszta twarzy chłopca była inna - pomalowana jak u kłowna. Posmarowana na biało, z krwistoczerwonymi wargami i dziko zielonymi włosami. Klown był nowy. Bruce wiedział, że to nie miało żadnego znaczenia. I tak nie mogli biec.

Dlaczego jego rodzice nie wiedzieli? Zanim zdążył im powiedzieć, pistolet wystrzelił dwa razy, dwa kwiaty ognia dosięgły jego matkę i ojca, zamieniając ich w popiół.

Klown zaczął się śmiać, ale Bruce wiedział, że nie może się bać.

- Czy tańczyłeś kiedyś z diabłem w bladym świetle księżyca? - spytał kłown.

Ale Bruce nie skulił się. Nie biegł. Szedł wyprostowany w kierunku kłowna.

Taniec właśnie się zaczynał.

Potem wszystko zalała czerń.

Co się stało z mieszkańcami Gotham?

Oto był Dżoker zanoszący się od śmiechu. A ludzie zaczęli wychodzić z zakamarków ulicy i zbombardowanych budynków. Nie wiedzieli, że to zabawa Dżokera? Do licha, powinni cieszyć się, że żyją!

Myśl o tym przyprawiała go o śmiech.

Nie przyjmowali go dobrze. Zaczęli w niego ciskać różnymi przedmiotami. Patrzcie na niewdzięczników! Ostatni raz próbował zabawić ich przed śmiercią.

Cegła uderzyła go w ramię. Spojrzał na tłum i zobaczył zbliżających się ludzi. Nowo przybyli ubrani byli w policyjne mundury. Pomyślał, że musi zmienić scenę. I tak powinien sprawdzić, co się stało z Batmanem.

Dżoker wyciągnął jeden z mniejszych pistoletów z kieszeni marynarki i zaczął strzelać w powietrze. Tłum rzucających cegłami 7.nwahał się, a nawet trochę cofnął. Dużo lepiej. Odwrócił się i podbiegł w kierunku samolotu Batmana.

Samolot eksplodował.

Dżoker podniósł się i otrząsnął z kurzu. Tej nocy zewsząd coś na niego leciało. No cóż. Nie można zrobić omletu, nie rozbijając jajek.

Przedtem samolot Batmana był rozwalonym wrakiem. Teraz był płonącym wrakiem. Dżoker pomyślał więc, że ostatecznej próby sił z Batmanem nie będzie. Musi ją przeprowadzić z kimś innym.

Śmiał się wśród płomieni, wchodząc na stopnie katedry. Zatrzymał się, sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął podręczny radionadajnik.

- Wieża katedry w Gotham - powiedział do mikrofonu. - Tu się robi tłoczno. Za pięć minut zabierz mnie.

- Roger - odezwał się głos.

Spojrzał w górę na wieżę katedry. Był tam tylko jeden facet.

- Lepiej sprowadź dziesięciu - powiedział do mikrofonu.

Pilot znów nazwał go Rogerem.

Wokół rzucono cegłami i kamieniami. Policja zbliżała się. Nadszedł czas na opuszczenie sceny. Odciągnął zardzewiałe drzwi i wszedł do katedry. Za chwilę zostawił za sobą tych wszystkich ludzi i nędzne resztki policji. Za chwilę będzie miał za sobą ten niefortunny incydent.

Tylko jedno - będzie musiał przypomnieć pilotowi, że nie nazywa się Roger.

Słyszając wybuchy, Vicki wyszła z ukrycia.

Chwilę tylko zajęło jej obejrzenie ran Knoxa. Reporter miał nieprawdopodobne szczęście. Kula zadrasnęła go w ramię, szkło przecięło mu czoło i nic więcej mu nie było. Rany wyglądały paskudnie, ale wkrótce przestały krwawić. Na pewno żadna z nich nie była śmiertelna. Knox pewnie zemdlał tylko z powodu szoku. Będzie go trzeba zawieźć do szpitala, żeby mu oczyścili rany. Najpierw jednak musiała zrobić coś innego.

Widziała, jak na stopniach katedry roztrzaskał się samolot. Samolot Batmana.

Musiała sprawdzić, co się stało z jego pilotem.

Wrak wyglądał strasznie: masa żelastwa i gdzieś tam płomień ognia. Nikt nie mógł przeżyć czegoś takiego. Stała na schodkach, odurzona bitwą, którą przed chwilą widziała. Gdyby w jakikolwiek sposób mogła się dowiedzieć, czy Bruce żyje... gdyby jakoś ugasić płomień, rozciągnąć to, co zostało z samolotu. Vicki patrzyła na wrak. Czuła się zupełnie bezsilna.

Szczałki drgnęły. Pognieciony metal osunął się w dół, po schodach.

Na resztkach samolotu stał Batman.

Bruce żył! Przebiegła przez schodki ku rozbitemu kadłubowi.

- Nic ci się nie stało? - zawołała.

Nie odpowiedział. Miał porwany ubiór. Pod maską, po twarzy spływała mu krew. Patrzył na katedrę.

- Zabiorę cię stąd! - krzyknęła. Musiała uwolnić go? wraku. Musiała go zabrać, zanim nastąpi następny wybuch, zanim wróci Dżoker albo /darzy się cokolwiek niedobrego. Bruce żył!

Na ulicy rozległ się ryk syren. Dwa pancerne samochody utorowały sobie drogę przez zgliszcza.

Batman wskazał na metalową skorupę, która przycisnęła mu pelerynę.

- Usuń to - zachrypiał.

Vicki kopnęła szczątek samolotu. Batman wyszedł z rozbitej kabiny i patrząc na nią zaczął wchodzić na schody.

Gdy ją mijał, spojrzała mu w twarz. To była jego twarz, ale taka, jakiej dotąd nie знаła. Bruce miał dwa wcielenia. Mówił jej o tym, ale teraz? po raz pierwszy spostrzegła różnicę. Znała człowieka uprzejmego i sympatycznego. Ten drugi był kimś obcym, był bezlitosną maszyną z jasno wytkniętym celem. Przypominał mistycznego mściciela przybywającego prosto z piekła.

Zobaczyła kogoś obcego. To nie był Bruce Wayne.

To był Batman.

Thomas, ktoś za nami idzie.

Gwałtownie otworzył drzwi do katedry.

Dżokera nie było. Musiał schować się w środku, w ruinach. Albo w wieży.

Thomas, ktoś...

Zamknął za sobą drzwi. W drzwiach był rygiel z twardego grubego dębu. Wsunął go w metalowe uchwyty po wewnętrznej stronie drzwi, aby nikt inny nie mógł wejść.

Ktoś za nami idzie. Ale nie mogli umknąć.

Nasłuchiwał. Wokół panowała cisza. Dżoker ukrywał się.

Zrobił krok do przodu. Był tam schodek, którego nie zauważył. Stracił grunt pod nogami, ciężko upadł na starą drewnianą ławkę. Ławka przechyliła się, uderzyła o stojącą przed nią, ta o następną i tak już do końca. Przewracały się jak potrącone kostki domina.

Narobiły masę hałasu. Za dużo jak na niespodziankę, którą chciał zrobić.

Gdy upadła pierwsza ławka, Dżoker popędził przez kościół i zaczął wbiegać po schodach na górę.

- Nie trafiłeś! - krzyknął. - Cha, cha, cha!

Idzie za nami. Ale nie mogli biec. Już nie mogli.

Batman szedł w stronę schodów. Trudno było mu iść. Oddychał ciężko. W czasie katastrofy coś go zraniło w bok, a upadek w katedrze jeszcze pogorszył ten stan. Pewnie złamał kilka żeber. Miał nadzieję, że nie ma wewnętrznego krwotoku. Na to nic by nie mógł poradzić.

Nic by nie mógł poradzić. Nie mogli już biec. Ktoś wyrósł przed nimi. Chłopak z bronią.

Batman zaczął wchodzić na schody.

Gordon i policjanci weszli na schody katedry. Po drodze nie napotkali na żaden opór. Dżoker był widocznie zdany na samego siebie. Batman również.

Cały dramat rozgrywał się przed oczami komisarza. Samolot Batmana - roztrzaskany na stopniach katedry. Dżoker strzelający w powietrze, by oszołomić tłum i umożliwić sobie ucieczkę. Eksplozja i Batman wychodzący z wraku.

Obaj - Batman i Dżoker - zniknęli w katedrze. Komisarz Gordon zastanawiał się, co się teraz dzieje. Chciał zatrzymać swoich ludzi i pozwolić Batmanowi roznieść Dżokera na kawałki. Głęboko w środku żałował, że sam nie jest Batmanem.

Nie na tym jednak polegała praca komisarza. Nawet jeśli Batman miał rację, to przecież działał on poza prawem. A takie rzeczy nie powinny się zdarzać, zwłaszcza w mieście tej wielkości co Gotham.

Na kilka godzin miasto zapomniało, czym są prawo i porządek. Ale teraz musi sobie przypomnieć.

Drzwi do katedry nie chciały się otworzyć. Były zaryglowane od środka.

Gordon rozkazał swoim ludziom, by je wyważyli.

Dzoker przez chwilę zdziwił się widząc, jak ten przebrany głupek wstaje. Ale jeśli przeżyło się kąpiel w toksycznych odpadkach to nic już człowieka nie może zaskoczyć. Może oni dwaj muszą jednak stanąć twarzą w twarz. I staną, jeśli Dzokerowi nie uda się stąd szybko wydostać.

Za pięć minut i straszną ilość schodów miał randkę z helikopterem.

Gdzie był? A, tak. 162-163-164.

U stóp wyrosły mu skrzydła.

Nie mógł biec. Tam był mężczyzna z bronią.

Coś jeszcze go bolało oprócz kilku złamanych żeber. Odkąd z jego ciała wyparowała adrenalina, czuł wyraźnie wybite prawe kolano. Musiał uważnie stawiać nogę, żeby nie odmówiła mu posłuszeństwa. Czuł też, że naderwał ścięgna w prawej ręce. Kiedy próbował wyprostować dwa palce, miał ochotę krzyczeć.

Tam był człowiek z bronią. Znał uśmiech tego człowieka.

Chciał krzyknąć, ale nie zrobił tego. Nie sprawi Dzokerowi takiej przyjemności. Nie powinien zdradzać miejsca, w którym się znajduje.

Znał uśmiech tego człowieka.

Gdy podniósł prawą nogę, złamane żebra wbiły mu się w bok. Ale nie mógł się zatrzymać. Gdzieś - na górze - czekał na niego Dzoker.

Miał jeszcze przed sobą mnóstwo schodów.

562-563-564-

Nad głową zobaczył klapę. Szczyt schodów - i bilet do wolności! To dowód, że jeśli zachowuje się dobry humor, to każde przedsięwzięcie się uda.

565-566-567-

Dzoker usłyszał huk i pokrzykiwanie. Wychylił się i spojrzał w dół. Daleko, daleko w dole dostrzegł małe sylwetki ludzi w niebieskich mundurach i czapkach. To byli mali gliniarze.

Ale Dżoker doskonale wiedział, że policjanci urosną, jeśli tylko będą mieli szansę. Już zaczęli wspinać się po schodach. Zaraz będą strzelać, aresztować, mówić ci o twoich prawach i wykonywać swoje policyjne czynności. Chyba że on wcześniej się stąd wydostanie.

Otworzył klapę. 568-569-570-571. Jest! Wszedł do oświetlonej światłem księżyca dzwonnicy, do małego pokoju z czterema zabitymi deskami oknami, zaprojektowanego tak, by osłaniać dzwon przed deszczem, lecz nie tłumić dźwięku. Były tam również drzwi prowadzące na dach - znakomicie, chciał przecież uciec helikopterem.

Pośrodku wisiał ogromny dzwon zawieszony na specjalnym uchwycie. Ale po obu jego stronach były jeszcze dwa mniejsze uchwyty. Oba puste. Gdzie się podziały dzwony?

Obróciwszy się Dżoker niemal potknął się o nie. Stały tuż obok klapy.

Co za wygoda! Dwa dzwony tak blisko brzegu. Tak łatwo o wypadek!

Dżoker zachichotał. Czy tańczyłeś kiedyś z diabłem w bladym świetle księżyca?

Dzwony były ciężkie jak cholera! Pchnął jeden z nich. Żelazo szybko stoczyło się w dół. Spadając roztrzaskiwało spróchniałe drewna.

Dżoker zaryczał z radości. To było nawet lepsze od kręgli!

Gordon ledwo zdążył wyprowadzić ze schodów swoich ludzi.

Hałas był niebywały. Dzwon zwał się po schodach, z hukiem obijając się o drewniane deski i kamienne ściany, zrywając po drodze stopnie i tynk. W pewnym momencie wpadł na spróchniały fragment schodów wyrwijąc w nich dwumetrową otchłań.

Zanim roztrzaskał się na kamiennej podłodze wieży, narobił strasznych zniszczeń. Może policjanci mogliby jakoś pokonać dwumetrową wyrwę w schodach na dole i dwie inne, podobne wyrwy, które Gordon dostrzegł w wyższych partiach wieży. Ale reszta schodów też już nie była solidna. Ich kawałki sterczały przechylone ku ścianom, wszędzie brakowało desek, wszędzie porobiły się dziury.

Tych schodów nie można już było używać. Batman i Dżoker będą musieli stoczyć walkę samotnie.

O ile oczywiście, pomyślał Gordon, obaj jeszcze żyli.

Thomas, Thomas, Thomas.

Słyszał jak serce wali mu w piersiach. Ledwo uskoczył przed spadającym dzwonem.

Thomas, ktoś idzie. Nie mogę biec. Człowiek z bronią.

Był prawie na szczycie schodów. Gdyby tylko mógł zapomnieć o bólu. Zamknął oczy.

Nie mogę biec. Człowiek z bronią.

Z trudem otworzył oczy i szedł po schodach. Jeden stopień, potem drugi i następny. Na chwilę przysiadł na okiennym parapecie. Schody kończyły się zamkniętą klapą. Już niedaleko.

Człowiek z bronią. Znał ten uśmiech.

Był na schodach. Jakoś doszedł do klapy. Pchnął ją. Była przymocowana. Spróbował jeszcze raz, ale nie miał siły.

Znów zamknął oczy.

Znał ten uśmiech. Czy tańczyłeś kiedyś z diabłem...

- ... w bladym świetle księżycy?

Dzokerowi zawsze te słowa sprawiały przyjemność. Poza tym chciał powiedzieć głośno swoje hasło. Z pewnością kogoś zabił dzwonem.

Wydawało mu się, że pod klapą usłyszał hałas.

Nic nie mógł poradzić. Ciekawość zwyciężyła. Chciał zobaczyć, co to było.

Zepchnął z klapy drugi ciężki dzwon i unióśł ją. W dole nie było nikogo. W porządku! Czas iść!

- Chyba utłukłem tego nietoperza dzwonem! - krzyknął ze śmiechem.

Szkoda, że nie było nikogo, kto mógłby dzielić jego triumf. A właśnie, gdzie się podział ten facet z helikopterem? Czyż nie wiedział, że siedząc w zmurszałej dzwonnicy człowiek może poczuć się samotnie?

Właściwie, pomyślał Dzoker, było tu okropnie.

Spojrzał ku ciemnym krokwiom. To takie miejsce, które nigdy nie widzi światła dziennego.

- Nie ma was tu chyba więcej, co? Może jakiś tatuś albo mamusia nietoperza?

No, trochę śmieszniej.

Nieznany głos uciął jego śmiech.

- Moi rodzice nie żyją. Ale ty o tym pamiętasz, prawda, Jack?

Dzoker okręcił się wokół. Na zewnątrz, na gzymsie otaczającym wieżę stał Batman.

Czy ten facet miał nadprzyrodzoną siłę, czy co? Dzoker zauważył linę przyczepioną do jego pasa.

- Wdrapałeś się tu po linie! - Roześmiał się. - Ty małpo! Boże, jak ty wyglądasz! Koszmar! - Uderzył się w kolano. - W sklepie dla przebierańców oszaleją, gdy zobaczą, co zrobiłeś z ich kostiumem.

Ale Batman nie roześmiał się. Podszedł do Dżokera. I wtedy uśmiechnął się lekko.

- Tak - powiedział cicho - prosili mnie tam również, żebym przyniósł do przeróbki twoją twarz. Nawet gdybym miał ją z ciebie zedrzeć.

Dzoker nie mógł uwierzyć własnym uszom. Ten facet mu groził? Po wszystkim, co mu zrobił?

- Ty maniaku! - krzyknął. - To ty wrzuciłeś mnie do kadzi! Ty mnie stworzyłeś!

Ciągle uśmiechając się Batman skinął głową.

- Ja stworzyłem ciebie. A ty stworzyłeś mnie. Dzoker spojrzał zdziwiony. Co ten facet mówi?

- Co to znaczy? - spytał. - Powiedziałem, że mnie stworzyłeś, więc ty musiałeś odpowiedzieć, że ja stworzyłem ciebie? To dziecinne. - Pokiwał Batmanowi palcem. - Jesteś... jesteś chory!

Batman uśmiechnął się.

Dzokerowi nie podobał się ten facet nietoperz, który w ogóle nie denerwował się, gdy on był w pobliżu. Który nie krzyczał i nie uciekał. I nawet nie wzdrygał się.

On się po prostu uśmiechał. To przestawało być zabawne.

Rozmowa z Batmanem była jak rozmowa z samym sobą.

- Pozabijamy się nawzajem, Jack? - spytał Batman.

- Jack? - odpowiedział Dżoker odrobinę zdenerwowany, odwracając się. - Jacka nie ma. Pod jego nieobecność zarządzam jego ciałem.

- Kiedy go spotkasz - odpowiedział Batman, postępując krok do przodu - powiedz mu, że zamierzam kopnąć go w tyłek.

Batman skoczył w kierunku Dżokera. Dżoker rozkołysał wielki dzwon chcąc ugodzić nim w obolałe ciało Batmana.

Batman uskoczył wprawdzie, ale wyleciał z dzwonnicy na zewnętrzny gzyms.

Dżoker obiegił dzwon dookoła, aby zobaczyć, co się stało.

Batmana nie było.

Usłyszał warkot zbliżającego się helikoptera. Sięgnął po radiotelefon.

- Nadlatuj - rozkazał - będę na dachu. Nadszedł czas, aby stąd wyjść.

I wówczas usłyszał za sobą głos.

- Czy tańczyłeś kiedyś z diabłem w bladym świetle księżyca?

Złapał Dżokera i przyparł go do ściany. Długo czekał, aby powiedzieć te słowa do właściwej osoby. Wolną ręką zatrzasnął obręcz kajdanków wokół przegubu Dżokera. Druga obręcz była już zamknięta na ręce Batmana.

- No, cóż - dodał Batman - teraz stoisz przed swoją wielką szansą.

Dżoker walczył. Okręcał i szarpał ręką, ale kajdanki mocno trzymały.

- To nierozsądne - oświadczył w końcu. - Zmuszasz mnie do działania.

Wyciągnął z klapy plastikowy kwiat. Z kwiatu wytrysnęła ciecz, spadając na łańcuch, który ich łączył. Metal zaskwierczał. To był kwas.

Ale Dżoker nie mógł się wymknąć tak łatwo. Batman okręcił skutego przeciwnika przed sobą i przytrzymał go z tyłu wolną ręką, tak że obaj znaleźli się w uścisku.

Dżoker uderzył go z całej siły, na jaką mógł się zdobyć z tak bliskiej odległości.

Batman oddał cios. Uderzył go prosto w szczękę.

Dżoker potknął się, po czym z szaloną mocą szarpnął ręką w kajdankach.

Skwierczący metal rozerwał się z trzaskiem.

Dzoker podbiegł do okna dzwonnicy i wyrwał zeń ciężką, drewnianą belkę. Rzucił nią w kierunku Batmana.

Batman spróbował się uchylić. Chore kolano ugięło się pod nim. Deska spadła mu na głowę.

Gdzieś daleko Batman usłyszał jakiś dźwięk. Najpierw pomyślał, że to znów głos jego matki, utrwalony w pamięci. Ale ten dźwięk był zbyt wysoko i zbyt blisko. Znał go dobrze.

Uchylił się od następnego ciosu Dzokera. Dało mu to tyle czasu, by włączyć sygnał na pasie.

Już nadleciał helikopter! Dzoker dostrzegł drabinę dyndającą obok ściany wieży, pomiędzy dwoma gargulcami. Takie sympatyczne gargulce. Dzoker uważał, że są w jego guście.

Złapał się za szczeble drabiny i zaczął wchodzić z wieży na dach.

Rozejrzał się. Chciał pomachać na "do widzenia".

Posłyszał nad sobą hałas głośniejszy od warkotu helikoptera - strasznie wysoki dźwięk podobny do krzyku z piekła. Zbliżała się do niego jakaś chmura - lecąca, trzepocząca, wyjąca chmura.

Nietoperze. Setki nietoperzy sfrunęły z dzwonnicy i krążyły wokół niego. Otoczyły go! Próbował je odepchnąć, ale były wszędzie. Zszedł z drabiny, usiłując dostać się z powrotem do wieży. Musiał znaleźć jakieś wyjście.

Jest! Strumień nietoperzy rozerwał się tuż przed nim. Dzoker zrobił krok ku wolności, ale owa przestrzeń zamknęła się równie szybko, jak powstała. Wyrósł w niej Batman.

Batman złapał go za kłapy, odrzucając od drabiny i drogi ucieczki. Pchnął go na drugi koniec wieży. Dzoker skręcił się w jego uścisku i zobaczył głowę gargulca obok swojej twarzy. Batman rzucił go na potwora. Suchy kamień skruszył się.

Dzoker ześliznął się w dół po dachu, oszołomiony uderzeniem. Ale uderzenie kosztowało Batmana zbyt wiele. Stracił równowagę. Dzoker był wolny.

Spojrzał w górę. Batman stanął na nogi i znów szedł w jego stronę. Nie miał już żadnego wyjścia, nie mógł dostać się do drabiny, uciec.

Dzoker był już martwy. Spotkał w końcu kogoś, kto stosował jego reguły gry - wszystko dla zwycięzcy.

Ale jego pierwsza zasada brzmiała: "Dzoker zawsze wygrywa". Jeśli więc miał umrzeć, to zaprosi w tę podróż Batmana.

Rzucił się z dachu z całą siłą, jaka mu jeszcze została, porywając za sobą Batmana.

- Zarezerwowałem dla ciebie ostatni taniec! - krzyknął, gdy razem zsunęli się z dachu.

I zaczął się śmiać.

19.

Spadali na ulicę. Za kilka sekund mieli być martwi. Batman wystrzelił hak z liną ukrytą w rękawie. Hak ślizgał się wzdłuż brzegu dachu, szukając miejsca, w które mógłby wbić swoje ostrze.

Dzoker śmiał się. Spadał dalej, gdy Batman rozpostarł pelerynę.

Hak zaczepił się w paszczy gargulca.

Batman przestał spadać. Zawisł w powietrzu.

Dzoker śmiał się dalej, przez cały czas.

Aż przestał.

Batman krzyknął triumfalnie.

Dzoker stale uśmiechał się. Teraz gdy nie żył, jego uśmiech podobny był do uśmiechu dziecka.

Vicki zrobiła serię zdjęć roztrzaskanego ciała Dżokera. Takie materiały zdobywają nagrody Pulitzera.

- Batman upadł na ziemię! - ktoś krzyknął. - Tam!

Bruce spadł? Vicki pobiegła w kierunku, skąd dochodził głos. Nad leżącym twarzą do ziemi ciałem w czarnej pelerynie zebrał się tłum. Komisarz Gordon torował sobie drogę wśród gapiów. Vicki ruszyła jego śladem.

- Odwróćcie go! - krzyknął jeden z ciekawskich. - Zobaczymy, kim jest ten człowiek.

Kilka osób zaczęło odwracać ciało. Vicki wysunęła się na czoło tłumowi. Czy powinna robić zdjęcia? Pomyślała, że jeśli nie złapie kilku ujęć, to zaleją ją pytaniami. Gordon ukląkł przy ciele, odpędzając gapiów.

Mężczyzna jęknął, gdy komisarz zdjął mu z twarzy maskę.

Flesz Vicki rozświetlił jego twarz. To nie był Bruce Wayne. To był Alexander Knox.

W nagłym błysku Knox zamrugał powiekami:

- Czy zdążę to jeszcze wsadzić do numeru?

To była pierwsza konferencja prasowa Gordona od dłuższego czasu.

- Witam przedstawicieli prasy - zaczął Dent. - Komisarz Gordon i ja chcemy wam przekazać kilka informacji.

Odczekał, aż dziennikarze zebrani wokół schodów Ratusza uciszą się nieco; potem ciągnął:

- Przede wszystkim, chciałbym wyjaśnić drobne nieporozumienie. Reporter Gotham Globe Alexander Knox nie jest Batmanem.

Dziennikarze roześmieli się. Stojący obok Gordona i Denta Knox skłonił zabandażowaną głowę w drwiącym pozdrowieniu.

- Z drugiej strony - zauważył sucho - Batman nie jest Alexandrem Knoxem.

Teraz przyszła kolej na Gordona.

- Nasi funkcjonariusze wyzdrowieli i, choć niektórzy z nich ślubowali nie pić kawy, wszyscy wrócili do pełnienia obowiązków.

Dziennikarze znów roześmieli się. Wreszcie, pomyślał Gordon. Takie wydarzenia były prawdziwą przyjemnością dla niego i dla Gotham.

Były dowodem na to, że trzeba wierzyć. Zawsze powtarzał sobie, że jeśli wytrwa, znajdzie w swojej pracy satysfakcję.

Allie Knox był zaskoczony widząc obok siebie znajomą, piękną twarz.

- Vicki? - zagadnął ją. - Obsługujesz konferencję prasową?

Uśmiechnęła się do niego słodko.

- Nie - odpowiedziała łagodnie - zaraz znikam. Nachyliła się i pocałowała go - naprawdę go pocałowała.

Po raz pierwszy, odkąd pamiętał, zabrakło mu słów.

- To było coś! - powiedziała Vicki odwracając się. - Do zobaczenia wkrótce.

- Zaczekaj! - krzyknął Knox. Nie mógł jej pozwolić odejść. Po takim pocałunku. - A co z nami?

Vicki zdążyła się już oddalić. Może, pomyślał Knox, potrzebowała silniejszego argumentu.

- Co z nagrodą Pulitzera? - dodał. W końcu obejrzała się.

- Odbierz i moją, Allie! - odkrzyknęła. I ruszyła dalej.

Zeskoczył ze schodów ratusza. Drgnął, bo zaboląła go głowa.

- A co ze zdjęciem Batmana? - krzyknął.

- Jeśli chce, żeby mu zrobić zdjęcie - odpowiedziała Vicki, odwracając głowę - wie, gdzie mnie znaleźć.

Skręciła za róg i zniknęła mu z oczu. Jeszcze jeden rozdział zamknął się w życiu asa reporterów Alexandra Knoxa - jeszcze jedna miłość przeminęła, zanim zdążyła się zacząć. Uznał, że byłoby niedobrze, gdyby nie oddał żadnego materiału do popołudniowego wydania.

Spojrzał znów na Harveya Denta, który z powrotem wziął do ręki mikrofon.

- Dostaliśmy dziś rano list od Batmana - zaczął Dent wyciągając z kieszeni marynarki złożony kawałek papieru. Zaczął czytać. - "Gotham zasłużyło na to, by odetchnąć od zbrodni. Ale jeśli znowu zło położy się cieniem na sercu miasta, wezwijcie mnie!"

Jeśli zło położy się cieniem na sercu miasta? Jak można być tak melodramatycznym? To dopiero będzie artykuł! Czytelnicy kochają takie rzeczy.

- Mam pytanie - krzyknął w kierunku podium. Znacznie lepiej czuł się na konferencji prasowej jako pytający niż odpowiadający. - Jak będziemy go mogli wezwać?

- Zostawił nam sygnał - odpowiedział Gordon. Podszedł do drugiego końca schodów, gdzie zamontowany był reflektor. Włączył światło. Na ścianie gothamskiej katedry rozblysł złoty księżyc otaczający kształt nietoperza.

To też się ludziom spodoba, pomyślał Knox. Może Vicki odeszła, ale Batman nie.

Nagrodo Pulitzera, oto jestem.

*

Zachodziło słońce. Vicki szła wolno przez miasto. Miasto, które poczuło się nareszcie bezpieczne. Dwaj mali chłopcy wybiegli z alei, prawie na nią wpadli. Obaj mieli na sobie porwane koce. Vicki zrozumiała, że miały one imitować peleryny.

- Przepraszam panią - odezwał się jeden z chłopców. - Bawiliśmy się w Batmana.

Patrzyła, jak się oddalają. To dobrze, że dzieci znów mogą się tak bawić.

Nad głową usłyszała odgłos butów lądujących na betonie. To był Batman.

Obok niej zatrzymał się samochód - limuzyna. Zza kierownicy pomachał do niej Alfred.

- Pomyślałem, proszę pani, że szampan będzie na tę okazję najodpowiedniejszy - zaproponował.

Vicki spojrzała w górę. Batman zniknął. Wsiadła do samochodu. Butelka stała w wiaderku z lodem. Była już otwarta.

- Pan Wayne prosił, aby pani przekazać, że trochę się spóźni - wyjaśnił Alfred.

Vicki naląła sobie szampana.

- Nie jestem zaskoczona, Alfredzie - odpowiedziała. - Nie jestem zaskoczona.

Zgasili znak Batmana, gdy słońce zaszło nad Gotham, nad spokojnym Gotham. Na ulicach ludzie śmiali się, grała muzyka, toczyło się życie. A ze starej katedry patrzyły w

milczeniu na miasto gargulce. Dawno temu wierzono, że gargulce chronią miasto przed złem.

Jeden z gargulców poruszył się.

Ja jestem Batmanem.